



NAJBARDZIEJ ZASKAKUJĄCE HISTORIE
PISZE SAMO ŻYCIE...

JOANNA
MISZCZUK

Dwie
rodziny

Prószyński i S-ka

JOANNA
MISZCZUK

Dwie rodziny

Prószyński i S-ka

Copyright © Joanna Miszczuk, 2017

Projekt okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Magdalena Russocka/Trevillion Images;
Rick Wang/Shutterstock.com; RossHelen/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8123-575-4

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Gdyby nawet Boga nie było,
należałoby go wymyślić.*
Wolter

Dla Ireny, mojej mamy

Pamięci wszystkich prześladowanych
w imię „wyższych celów”

Każdy z nas w coś wierzy. Religia interpretuje kwestie boskie. Jednak religia to dzieło ludzi, tak samo jak nauka czy polityka. Kto dał nam prawo osądzać, która z tych interpretacji jest właściwa?

Ta książka to opowieść o miłości. To dzieje zwykłych przeciętnych ludzi, takich jak my. Czy ich los był z góry przesądzony jakimś wyższym planem? Nie wiem. Wiem jedynie, że żyli w określonych krajach, zdominowani nakazami swoich czasów oraz polityki i religii, która te czasy i kraje definiowała. Oczywiście cała powieść to fikcja. Tło historyczne starałam się sprawdzić rzetelnie, ale jeśli znajdą się jakieś nieścisłości, proszę o wybaczenie. To prawda, że tak nie było, lecz przecież mogło być. Tamte czasy i tamte realia sprawiają, że to możliwe.

Dzisiaj

Marzec 2005, mieszkanie Zofii i Jana Dembskich we Wrocławiu

- Trzy bez atu – zameldowała z satysfakcją doktor Zofia Dembska.
- Pas – mruknął z rezygnacją Marek. Nic innego nie mógł powiedzieć. Nie miał nic, dosłownie nic w ręce, same blotki. No cóż, kto nie ma szczęścia w kartach... Uśmiechnął się w duchu.
- Pas – potwierdził z uśmiechem Jan Dembski.
- Ewa, dziewczyna Marka, córka gospodarzy, wzruszyła ramionami.
- Pas, a niby co innego mam powiedzieć? – zwróciła się do Marka siedzącego naprzeciwko.
- Patrzyli w skupieniu, jak doktor Dembska mistrzowsko prowadzi rozgrywkę. Płynnie przechodziła ze stołu na rękę. Oba impasy niezbędne do zamknięcia partii wyszły. Ugrała.
- No to załatwiliśmy was na cacy, dzieciątka. – Jan roześmiał się z satysfakcją, podliczając punkty. – To już trzeci rober dla nas, cieszcie się, że nie gramy na kasę.
- Zawsze nas załatwiacie – odparł Marek. – Nic dziwnego, po pierwsze, wy gracie razem trzydzieści lat, a my trzy. Trening czyni mistrza.
- Nie tłumacz się, Marcuszu. – Doktor Dembska poklepała go po dłoni. – Jak na nieopierzone pisklaki brydżowe, dajecie sobie niezłe radę. Nawet można powiedzieć, że jesteście całkiem zgrani.
- No właśnie... – Marek dostrzegł okazję, popatrzył porozumiewawczo na Ewę i nabrał powietrza, żeby wreszcie przejść do tematu, który przez cały wieczór koniecznie chciał omówić.
- Poza tym – weszła mu w słowo Zofia – przegrana w brydża to nie tragedia. Wiesz, co mówią, kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma w miłości.
- No właśnie – potwierdził dobitnie Marek. – I na ten temat chciałem z wami dzisiaj koniecznie porozmawiać.
- To co, jeszcze jeden roberek? – wtrącił z rozpędu ojciec Ewy. – Zosia nie ma jutro dyżuru, możemy posiedzieć do ranka.
- Oj, tato – przerwała mu Ewa – możemy grać i do niedzieli, ale teraz daj mu powiedzieć. Mamo, czy możecie przez chwilę nas posłuchać? Ostatnio rozmawialiśmy dużo z Markiem i chcemy znać waszą opinię.
- Ups, sorry – zmitygował się Jan. – Wlazłem ci w słowo, Marek, przepraszam. Wiesz, jak to jest, w ferworze walki. Trzy wygrane robry, to się rozgrzałem. – Zerknął kątem oka na córkę, która kpiąco kiwała głową. – No dobra, już się zamykam. Co jest?
- To jeszcze całkiem nieoficjalnie. – Marek chrząknął nerwowo. – Już trzy lata jesteśmy razem. Ewa skończyła studia. Chcielibyśmy się pobrać. Co wy na to?
- A ona co na to? – spytała spokojnie doktor Dembska po chwili milczenia.
- Gdybym miała coś przeciwko temu, to Marek słowem by nie wspomniał o sprawie – odrzekła stanowczo Ewa, podnosząc się ze swojego miejsca. Stanęła za plecami Marka, położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się do rodziców. – Już dawno powiedziałam: „tak”.

Kochamy się i chcemy być razem. Poprosiłam Marka, żebyśmy przed oficjalnymi zaręczynami z pompą, pierścionkiem i jego rodzicami, najpierw pogadali we czwórkę przy brydzyku. Tak życiowo i racjonalnie. No to co wy na to?

Zofia wypuściła przez chwilę wstrzymywany oddech.

– Cudownie! Możemy wam tylko pogratulować. – Przytuliła córkę, podczas gdy Jan poklepywał Marka po ramieniu. – Ewuniu, kochanie, wybrałaś sobie wspaniałego mężczyznę. Brawo.

Po rundzie uścisków, całusów i gratulacji znowu usadowili się przy brydżowym stoliku. Kiedy emocje nieco opadły, doktor Dembska, jak to ona, systematycznie i konsekwentnie zaczęła drążyć temat.

– No dobrze, chcecie się pobrać. Kiedy?

– Jesienią. Konkretnego terminu jeszcze nie wybraliśmy – odparła Ewa. – Najpierw zaręczyny. No i oczywiście czekam na odpowiedź z uczelni. Jeśli uda mi się dostać etat, to świetnie. Jeśli nie, to muszę zacząć się rozglądać za pracą. No dobrze, miałaś rację, jak zwykle. W Polsce filozof to głupi zawód. Gdybym mieszkała gdziekolwiek indziej, ceniono by mnie już za sam dyplom, a tutaj przyjdzie mi pewnie cudze dzieci etyki uczyć w szkole. Wiem, wiem, łatwo nie będzie.

– Nie będzie – przytaknęła Zofia. – Czyli zamierzasz najpierw trochę popracować, a potem dzieci, dom?

– W zasadzie tak. Z dziećmi na razie nam się nie śpieszy, a dom... – Ewa spojrzała porozumiewawczo na Marka.

– No właśnie – stwierdził. – Dom to nasz priorytet. Przecież nie sądziliście chyba, że po ślubie wprowadzę się do pokoju Ewy?

– Dlaczego nie?! – wtrącił się Jan Dembski. – Wcale nam nie będziesz przeszkadzał. Może być nawet miło. Dużo brydżyków... – Z nadzieją zawiesił głos.

– Nie, tato, to nie jest dobry pomysł – zaprotestowała stanowczo Ewa.

– Dziękuję za zaproszenie. – Marek się roześmiał. – Ale to rzeczywiście nie byłby dobry pomysł. Od siedmiu lat mieszkam w akademiku albo na stancjach. Kolejna komuna, nawet w tak doskonałym towarzystwie, nie stanowi szczytu moich marzeń. Chciałbym mieć własny dom, mój, nasz, mój i Ewy. Rozumiecie, prawda?

– To oczywiście – skwitowała Zofia. – Tylko że własny dom, czy nawet mieszkanie, oznacza dużo pieniędzy. Mam znajomości w TBS-ach, buduje się dużo nowych osiedli, ale wkład na czterdziestometrowe mieszkanie to prawie osiemdziesiąt tysięcy złotych. Wam przydałoby się trochę większe. Czyli mówimy o ponad stu tysiącach.

– Wiem – odrzekł pogodnie Marek. – Świetnie, że ma pani znajomości, chociaż ja właściwie myślałem o czymś innym. Chciałem kupić działkę i budować dom. Prawie wszystko potrafię zrobić sam, wynajmę dwóch pomocników i podołam. Finansowo wyjdzie na to samo, a będzie własne.

– Bardzo rozsądnie. – Doktor Dembska spojrzała na niego z uznaniem. – Przestań mi paniować, wchodzisz do rodziny. Mów mi „mamo” albo po imieniu, jak ci wygodniej.

– No właśnie – poparł ją mąż. – I mnie też. To znaczy, mów mi po imieniu, bo z tatą to jednak będę się głupio czuł.

– Zgoda. Dzięki – odrzekł ze śmiechem Marek. – Pewnie się jeszcze jakiś czas będę mylił.

– To dobrze, Mareczku. – Zofia w zadumie kreśliła palcem kółeczka na stole. – Jednak zapomniałeś chyba o cenie gruntu. Nawet jeśli projekt, budowa i tak dalej zamkną się w stu

tysiącach, w co wątpię, to działka we Wrocławiu będzie kosztowała drugie tyle, jak nie więcej. No chyba że chcecie się wyprowadzić na wieś?

– Nie, zostaniemy we Wrocławiu, a właściwie prawie we Wrocławiu. – Ewa wyciągnęła z torby teczkę z dokumentami. – Czekać, zaraz wam pokażę.

– Macie już coś na oku? – spytał z zaciekawieniem ojciec, spoglądając jej przez ramię na plik papierów.

– Więcej niż na oku. Mamy prawie zaklepane, tylko jest problem. – Westchnęła, rozkładając na stole plan Wrocławia.

Rodzice stanęli za plecami Ewy i uważnie śledzili ruchy jej palca.

– To tutaj, na Stabłowicach. Powstaje tu całe nowe osiedle domków jednorodzinnych. Infrastruktura, drogi, uzbrojenie, wszystko już jest. Komunikacja z miastem genialna, nawet samochodu nie trzeba. Sklepy, lekarze, banki, wszystko na miejscu, a w dalekich planach zagospodarowania jest nawet nowy stadion i szpital, że nie wspomnę o obwodnicy.

– Wygląda całkiem nieźle. – Zofia z uznaniem pokiwała głową. – Lokalizacja sensowna. A co z projektem, budową?

– To najmniejszy problem. – Marek wyprostował się dumnie. – Projekt będzie za darmo. Oprócz masy znajomych z czasów studiów na architekturze, mam swojego Gwidona, wiecie przecież. On mi da gotowy projekt. A budowa, przecież powiedziałem, że większość prac zrobię sam. To nie problem.

– Problem jest taki, że trzeba zapłacić natychmiast. A my planowaliśmy dopiero jesienią, po ślubie. – Ewa westchnęła. – No i teraz nie wiemy, co dalej.

– Jak to co? – Jej ojciec rozłożył szeroko ręce. – Pójdziemy do banku i wypłacimy twoje oszczędności. Odkładaliśmy pieniądze na twoją przyszłość. Masz ponad pięćdziesiąt tysięcy. Miałaś to dostać, kiedy będziesz chciała się usamodzielnic, no to chyba właśnie teraz. Prawda, Zosiu?

– Naprawdę?! Nam potrzeba tylko trzydzieści. Ojej, naprawdę? – Ewa rzuciła się ojcu na szyję. – Marek, słyszysz?! Będziemy mieć dom!

– Słyszę – odrzekł poważnie. – Ale tak nie może być. Z prawdziwą wdzięcznością przyjmujemy te pieniądze jako pożyczkę. Jesienią oddam.

– Nie unoś się ambicją, Marek. – Doktor Dembska spojrzała poważnie w oczy przyszłego zięcia. – To pieniądze Ewy. Rodzice mają prawo dać prezent własnemu dziecku. A dom ma być wasz, wspólny. Dlatego przestań być taka Zosia Samosia. Pozwól Ewie również zainwestować w waszą przyszłość. Poza tym skąd jesienią weźmiesz tyle pieniędzy? Zamierzasz w pół roku zostać milionerem? Dziecko, przecież ty jeszcze studiów nie skończyłeś.

– I nie skończę – oświadczył dobitnie Marek.

– Jak to? Dlaczego? Co na to twoi rodzice? Ewa, i ty się na to zgadzasz? – Zofia w zdenerwowaniu podniosła głos.

– To jego życie... – szepnęła dziewczyna.

– Co to znaczy „jego”? To twoje życie, dziecko. Chcesz za niego wyjść!

– Ewa, pozwól. – Marek stanowczym tonem przerwał dyskusję, której temperatura niebezpiecznie wzrosła. – Potrafię sam mówić w swoim imieniu. Ani moi rodzice, ani rodzice mojej przyszłej żony, których zresztą bardzo szanuję, nie będą mi dyktowali, jak mam żyć. To moja decyzja i konsultować ją będę jedynie z Ewą. Ale rozumiem, że należy wam się wyjaśnienie. Wiecie, że studiuje już siedem lat. Żadnego z kierunków, które sobie wybrałem, nie ukończyłem. Jednocześnie prawie od dzieciństwa pracuję w stolarni. Najpierw był to warsztat

mojego ojca, a potem, jak dorosłem, w każde wakacje wyjeżdżałem na saksy i pracowałem przy remontach, żeby utrzymać się na studiach. Grosza od rodziców nie wzięłem, sam na wszystko zarobiłem. Moi rodzice i tak uważają, że studiowanie to głupi kaprys, bo mam fach w ręku. To ja chciałem czegoś więcej, ale teraz już tego nie potrzebuję. Bo to, o czym marzyłem, już znalazłem. Ewa jest wszystkim, czego chcę. Dlatego chcę jej zapewnić stabilną finansowo przyszłość. Jeden dyplomowany filozof w rodzinie wystarczy. Gdybym chciał uczyć się dalej, to pewnie i tak wróciłbym na architekturę, od której zaczęła się moja studencka kariera. Tylko po co? Lubię pracę w budowlance, aranżacja wnętrz i wykonanie wszystkiego od A do Z to moja pasja. Mam niezbędną wiedzę praktyczną i umiejętności. Papiery stolarza, murarza i wszystkie inne uprawnienia jestem w stanie wyrobić sobie w ciągu paru miesięcy. Dyplom architekta? Cóż, może kiedyś, zaocznie. Teraz jest ważne, żeby zacząć dorosłe i odpowiedzialne życie. Dlatego postanowiłem przerwać studia. W kwietniu jeszcze pozdamy ostatnie egzaminy, tylko po to, żeby mieć ten pierwszy rok filozofii zaliczony. Nie zrywam mostów, nie zamykam za sobą żadnych drzwi. Wszystkie kierunki, na których studiowałem, są zamknięte zaliczonymi egzaminami i będą trwały w zawieszeniu, dopóki życie o nie się nie upomni. W maju ostatni raz wyjeżdżam na zarobek do Francji, do Gwidona. Ma dla mnie robotę, która mi przyniesie pięćdziesiąt tysięcy euro czystego zysku. To prawie ćwierć miliona złotych. Wrócę jesienią, zbuduję nam dom, otworzę firmę remontowo-budowlaną i zaczniemy z Ewą nasze wspólne życie. Przemyśleliśmy to i zaplanowaliśmy wspólnie. Dzisiaj poprosiłem was o rękę córki, ale nie proszę ani o pomoc, ani o zgodę na przyszłość, którą sobie wybraliśmy.

Jan w milczeniu dolał wina do kieliszków.

– Twoje zdrowie, chłopie. Wasze zdrowie, dzieci – wznosił toast, spoglądając z uśmiechem na żonę. – Nawet jeśli o to nie prosisz, Marku, naszą pomoc i wsparcie masz zagwarantowane.

Zofia pochyliła się w stronę Marka i objęła go serdecznie.

– Przepraszam – szepnęła mu do ucha. – Masz rację, to wasze życie.

– To co? Jeszcze jednego roberka? – spytał ze śmiechem Jan Dembski.

– No to jeszcze jednego – zgodził się Marek.

– Jesteście niemożliwi z tym brydżem. – Ewa pokręciła głową. – Który to już raz jedynie Kochanowski was od brydża odrywa?

– Jak to, Kochanowski? – zacięła się Zofia.

– No wiesz, mam – Ewa zachichotała – „już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie”, to z *Trenów*. Was też z reguły dopiero świt od brydża odrywa. Pierwsza, która się wyłoży, idzie robić kanapki, zgoda?

– Zgoda – mruknęła Zofia, rozdając karty.

Brydż był od zawsze ukochaną rozrywką doktor Dembskiej. Potrafiła doskonale koncentrować się na kartach, a jednocześnie traktowała czas, kiedy grała, jako okazję, by oczyścić umysł z wszelkich spraw zawodowych i codziennych problemów. Przy brydżu jej myśli błędziły po oceanach fantazji. Dzisiaj było inaczej. Nie martwiła się o przyszłość córki. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej jedynaczka będzie pod dobrą opieką.

Od trzech lat obserwowała ten związek i widziała w nim jedynie miłość, szacunek, wzajemne zrozumienie i wsparcie. Ci dwoje doskonale do siebie pasowali. O Ewie wiedziała wiele, choć nie wszystko. Dembscy adoptowali ją jako mniej więcej sześciolletnią, głuchą i upośledzoną dziewczynkę, kiedy z ramienia organizacji Lekarze bez Granic pracowali w obozie dla uchodźców z Kambodży. Jej przeszłość spowijała mgłą tajemnicy. Życie Ewy rozpoczęło się tak naprawdę dopiero wtedy, gdy jako dziewięciolatka przeszła szereg operacji, które umożliwiły jej

normalne życie. Od tego momentu Zofia знаła swoją córkę doskonale. Dzisiejsza rozmowa uświadomiła jej jednak, jak niewiele wie o jej narzeczonym.

Marek. Wieczny student, stale na pierwszym roku. Przeleciał się już przez architekturę, fizykę, matematykę, prawo, nauki polityczne, a teraz wylądował na filozofii. I co najciekawsze, na wszystkich tych kierunkach śpiewająco zdawał egzaminy, bez żadnych dodatkowych ulg, bez żadnych pleców. Niewiarygodne. Zofia uparła się, by zrozumieć ów fenomen. Brydź, jak brydź. Po licytacji męczy się głównie rozgrywający, więc rozrywka sprzyjała towarzyskim pogawędkom.

– Mareczku, a przyznaj się, czemu tak latasz od kierunku do kierunku jak przetrącony? – zapytała życzliwie.

– Wcale nie jak przetrącony – zaprotestował. – Zauważ, że ja bardzo logicznie latam.

– No bardzo logicznie – odparła sceptycznie Zofia. – Nie ma nic logiczniejszego od połączenia ścisłej matematyki z humanistycznym prawem, o filozofii nie wspomnę.

– I tu, z całym szacunkiem, bardzo się mylisz! – Marek rozparł się wygodnie w fotelu. – Otóż architektura, od której zacząłem swą edukację wyższą, to naturalna konsekwencja mojego dążenia do perfekcji w zawodzie, niejako przekazany mi w genach przez ojca. Postanowiłem zostać architektem po to, aby być doskonalszym stolarzem. Jednak w tak zwanym międzyczasie, gdzieś w połowie drugiego roku, okazało się, że studiowanie architektury bez uwzględnienia podstaw otaczającej ją rzeczywistości jest błędem. Budowle bowiem zajmują konkretne miejsce w otaczającym je świecie i sensowne byłoby, żeby odpowiednio je w ten świat wkomponować. Stąd logiczną konsekwencją nadrobienia luk w moim podstawowym wykształceniu było studiowanie fizyki. Dlatego po dwóch latach architektury postanowiłem zrobić przerwę i zagłębić się w fizykę. Proste i oczywiste.

– Proste i oczywiste! – roześmiała się Zofia. – To dlaczego nie wróciłeś na architekturę po nadrobieniu luk?

– Bo pogłębiła mi się świadomość o mojej niewiedzy – wyjaśnił ponuro Marek. – Fizyka jest, jak wam zapewne wiadomo, nauką przyrodniczą, nie ścisłą, po łacinie *physis* to natura. Ponieważ świat wokół mnie jest najciekawszym przejawem istnienia, na jaki trafiłem, zdecydowałem się na fizykę. Jednak w czasie moich studiów okazało się, że wszelkie prawidłowości tej nauki opierają się na wyznaczaniu liczb, wektorów i tensorów. Czyli na matematyce. Co mnie okropnie zniesmaczyło, bo znowu doszedłem do wniosku, że mam luki w wykształceniu ogólnym, i postanowiłem je uzupełnić. Zostawiłem więc fizykę, odkładając ją na później, i zająłem się matematyką. Proste i oczywiste.

– Proste i oczywiste – zgodziła się Zofia. – To dlaczego rzuciłeś matematykę?

– A to już bardziej skomplikowane. – Marek westchnął ciężko. – Wstępując w progi naszej ukochanej Alma Mater, mocno liczyłem na to, że będę traktowany jak student, czyli że będę studiować. Tymczasem wykładowcy matematyki byli, niestety, innego zdania. Wyobraź sobie, że oni chcieli mnie nauczać. Czyli wymagając ode mnie rzeczy całkiem bezsensownych typu obecność na zajęciach, całkowicie uniemożliwiali mi studiowanie. Postanowiłem się bronić. Do obrony konieczne mi były argumenty w postaci pełnej wiedzy na temat moich praw obywatelskich oraz środków prawnych, które pozwolą mi je egzekwować. No i znowu odczułem brak wiedzy na ten temat. Czyli lukę w wykształceniu. No przecież nie będę profesorem z zemsty pinezek pod siedzenie podkładał. Należało im uświadomić ogrom ich występku. Zatem zdecydowałem się chwilowo zaniechać kształcenia matematycznego. Aby móc rzetelnie studiować matematykę, musiałem poznać podstawy prawa! Proste i oczywiste.

- Proste i oczywiste – powtórzyła Zofia. – To dlaczego rzuciłeś prawo?
- A to już banalne. – Marek pobłażliwie machnął ręką. – Otóż okazało się, że prawo od zarania dziejów jest zależne od polityki. Należało więc gruntowniej zgłębić temat.
- No to wszystko jasne – ucieszyła się. – Jeszcze mi tylko wytłumacz, dlaczego filozofia. Bo teraz jesteś na etapie rzucania filozofii, prawda?
- Pani doktor – Marek spoważniał – to nie jest tak, że ja się tylko objąłem po uczelniach. Ja szukałem. I tak naprawdę wcześniej sam nie wiedziałem czego. Świat jest taki cholernie ciekawy. Jeszcze niedawno nie miałem pojęcia, co będę robił w życiu. Ale cokolwiek by to miało być, moim pierwszym celem jest zrozumieć, czego chcę. Miałem nadzieję, że podstawy dadzą mi tę wiedzę. Filozofia jest podstawą. Ona nie przynosi odpowiedzi, za to stawia wszelkie możliwe pytania. Miałem nadzieję, że wśród nich znajdę też swoje.
- I znalazłeś? – spytała Zofia, z lekką kpiącą nutką w głosie.
- Znalazłem – stwierdził, uśmiechając się do niej. – I chociaż nie dosłownie filozofia mi to pytanie podsunęła, to znalazłem. Nie takiego pytania oczekiwałem, ale znalazłem i jestem szczęśliwy. Na odpowiedź mam całe życie. – Spojrzał ciepło w oczy Ewy.

Kocha ją, pomyślała Zofia. Kocha ją prawie tak bardzo, jak my ją kochamy. Proste i oczywiste. Marek to dobry wybór.

Dzisiaj

Maj 2005, apartament Gwidona Bendieux w Paryżu

Ta robota miała być ostatnia. Co prawda powtarzał to sobie każdego roku od siedmiu lat, ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz była Ewa. Koniec z życiem wagarowca. Tą ostatnią francuską fuchą zarobił na dom, na ich wspólną przyszłość. Potem ślub i zwyczajne życie z nadzwyczajną kobietą. Zakochał się jak wariat. Najpierw wrażenie zrobiło opakowanie. Ewa była inna niż te wszystkie dziewczyny, z którymi wcześniej się spotykał. Ładna, no pewnie, że ładna. Jednak to nie jej uroda zwróciła jego uwagę. To była jakaś nieuchwytna gracia, coś kociego i miękkiego w każdym ruchu, a jednocześnie stanowcza duma. Niesamowite, wydawałoby się, że nie da się tego połączyć, a jednak Ewa była właśnie tym – połączeniem miękkości z siłą stali. Uwielbiał ją. Długo musiał ją adorować, zanim zgodziła się na pierwszą randkę. Już wtedy wiedział, że wpadł. Koniec z zabawą w lekkoducha. Chciał spędzić całe życie tylko z nią, dać jej wszystko, opiekować się nią, chronić ją i nosić na rękach. I za żadną cenę nie zamierzał się z nią rozstawać, nawet na dzień.

Mimo to zdecydował się na wyjazd. Oczywiście, że mógłby znaleźć pracę w Polsce, trudno byłoby nie znaleźć z jego umiejętnościami. Ale to zapewniłoby im jedynie wegetację, życie z dnia na dzień, bez nadziei na pewną i bezpieczną przyszłość. Teraz poświęci pół roku, a pieniądze, które przywiezie, dadzą im dom i umożliwią start jego własnej firmy. Dyplomu nie zrobił i nie zrobi, bo będzie musiał utrzymać rodzinę. Coś za coś – albo rybki, albo akwarium. Zarejestruje jednoosobową firmę i będzie przyzwoicie zarabiał na kompleksowych remontach. Trudno, marzenie o własnym biurze architektonicznym trzeba odłożyć ad acta.

Dlatego teraz znowu, jak co roku, wylądował we Francji. Gwidon Bendieux, znany architekt, który regularnie od siedmiu lat w każde wakacje dawał mu dobrą pracę, traktował go jak przyjaciela, nie jak pracownika. Pierwsze zlecenie, które Marek od niego dostał, remont własnego apartamentu Gwidona, było sprawdzianem umiejętności Polaka. Zdał z wyróżnieniem. Odtąd w każde wakacje realizował projekty tamtego.

Mieszkał w służbówce w olbrzymim ośmiopokojowym apartamencie swego szefa i wieczorami wielokrotnie toczyli długie dyskusje o architekturze, życiu, niewdzięcznych dzieciach i świecie. Marek wiedział, że Gwidon ma syna Adama, lecz nigdy go nie poznał. Architekt niewiele mówił o swojej rodzinie. Jednak ze strzępków rozmów Marek wiedział, że Adam wychowywał się bez matki, że był trudnym dzieckiem, zbuntowanym nastolatkiem i upartym młodym mężczyzną.

Marek dotarł do apartamentu Gwidona późnym popołudniem. Zaledwie zdołał się rozpakować i odświeżyć, kiedy gospodarz zapukał do drzwi pokoiku.

– Marku, masz już jakieś plany na dzisiejszy wieczór? – zapytał monsieur Bendieux.

– Chciałem jeszcze tylko zadzwonić do mojej narzeczonej i odmeldować się, że bezpiecznie dotarłem, a potem będę do twojej dyspozycji. Dlaczego?

– Zawsze jak przyjeżdżałeś, wychodziliśmy razem na kolację do miasta, ale dzisiaj chciałbym to przełożyć. Może byśmy tym razem trochę odeszli od naszej tradycji i zjedli w domu?

– Nie ma sprawy. Oczywiście. – Marek spojrział uważnie na przyjaciela. Gwidon bardzo się postarał przez ten rok. – Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Doskonale, mój drogi. A to, że ty tu jesteś, sprawia, że czuję się dużo lepiej niż ostatnimi czasami. Pogadamy przy kolacji. Zorganizuję wszystko, a ty porozmawiaj ze swoją dziewczyną.

– Nie będę długo rozmawiał, mogę ci później pomóc.

– Daj spokój. Nie będę na starość uczyć się gotowania. Zamówię jedzenie z restauracji. Może być włoskie?

– Przecież wiesz, że uwielbiam włoską kuchnię. Polegam na twoim wyborze, zamów, co chcesz. Dołączę do ciebie za chwilę.

– Przyjdź do salonu. W jadalni jest za dużo przestrzeni. Posiedzimy sobie w bardziej kameralnym miejscu – powiedział Gwidon, zamykając za sobą cicho drzwi.

Marek osuszył włosy ręcznikiem, który przyniósł z łazienki. Starannie rozwiesił wilgotną płachtę w okiennej wnęce. Przesunął dłonią po gładkim drewnie. Dobrze pamiętał, jak siedem lat temu sam montował ten parapet. Cały ten ogromny apartament przebudował gruntownie, zgodnie z planami Gwidona, prawie sam. Hydraulicy tylko podłączyli stary budynek do miejskiego ogrzewania. Przestronne wielopokojowe apartamenty na ogół zostały podzielone na małe paryskie mieszkanek, jedynie Gwidon zatrzymał swój w stanie prawie nienaruszonym.

Ze wszystkich mieszkań trzykondygnacyjnej kamienicy zniknęły cudowne stare piece, wyparła je nowoczesność. Tylko stary architekt oparł jej się stanowczo. Z pomocą Marka i jednego pomocnika wyremontował mieszkanie, zachowując jego dawny styl. Piękne marmurowe kominki nadal działały, a obrzydliwe współczesne kaloryfery zostały skutecznie zasłonięte ażurowymi drewnianymi osłonami. Stare podłogi z czasów przełomu wieków odnowiono, oddając im dawny blask. Gwidon uparł się, by urządzać mieszkanie w dawnym francuskim kolonialnym stylu. I choć Marek początkowo nie akceptował tego pomysłu, z czasem wczuł się w niepowtarzalny klimat, który stworzyła taka aranżacja, i z powodzeniem sugerował łączenie nowoczesnych rozwiązań ze starym tłem. Wyszło im coś pięknego.

Usiadł przy biurku i uruchomił komputer, który Gwidon pozostawił do jego dyspozycji. Na ekranie w teczce z napisem „Marek” odkrył nowy podfolder. To pewnie szczegóły ich tegorocznego projektu. Większość już widział, Gwidon przesłał mu podstawowe dane mejlem. Obejrzy sobie dokładnie później, teraz musi pogadać z Ewą. Uruchomił gadu-gadu.

„Ewuniu, już jestem na miejscu” – wystukał wiadomość.

Okienko komunikatora zamigotało natychmiast.

„Jestem. Czekałam już na ciebie. To co, włączamy Skype’a?” – odpisała.

„No to próbujemy” – odpowiedział i rozpoczął logowanie do aplikacji.

W zeszłym roku komunikowali się jedynie przez gadu-gadu. Tuż przed wyjazdem Marka oboje rozpoczęli użytkowanie nowego komunikatora, który znał już od zeszłorocznej wizyty we Francji. Polski Skype miał zacząć oficjalnie działać dopiero za miesiąc, ale Markowi udało się zainstalować francuską wersję programu na komputerze Ewy. Bardzo liczył, że połączenie się uda i że to ostatnie rozstanie z narzeczoną nie będzie tak bolesne i pełne tęsknoty dzięki codziennym rozmowom.

Obraz migotał i trząsł się, chwilami zastygał nieruchomo na długie sekundy, głos, przerywany jak czkawka pijaka, zanikał, niekiedy sylaby przeciągały się, tworząc monotonne buczenie, ale to była ona. Jego Ewa na ekranie komputera. Nie mógł jej dotknąć ani przytulić, ale była. Jeszcze

na dobre nie przyjechał do Paryża, a już tęsknota oplotła go grubym powrozem. Zaczynał liczyć dni do powrotu. Połączenie okazało się kiepskie. Pogadali pięć minut i umówili się na jutro, może będzie lepiej. Marek wyłączył komputer. W głębi mieszkania zabrzmiał sygnał gongu. Pewnie dostarczono jedzenie, które zamówił Gwidon. Marek wyciągnął z plecaka butelkę dobrej polskiej wódki i poszedł do przyjaciela.

Na dużym drewnianym stole w salonie leżały porozkładane olbrzymie płachty papieru z projektami. Gwidon krzątał się przy niskiej ławie otoczonej wygodnymi skórzanymi kanapami. Obok już poustawianych naczyń z orzeszkami, owocami i przystawkami kładł właśnie dwa płaskie kartony z pizzą, nie zawracając sobie głowy talerzami.

– Pizza – oświadczył z dumą, kiwając głową Markowi. – Jak zamawiałem, chciałem cię zapytać, jaką chcesz, ale słyszałem, że rozmawiasz, więc ci nie przeszkadzałem. O ile nic się nie zmieniło, to klasyczna fungi z potrójnym serem powinna ci smakować.

– Od naszego Włocha? – upewnił się Marek.

– Oczywiście, że od naszego. Nie będę przecież ryzykował niesprawdzonych dostawców.

– Och, pizza fungi, moja ulubiona – Marek oblizał się spektakularnie. – To wino nam do kolacji nie pasuje. Mam coś lepszego. – Zamachał butelką wódki.

– No i bardzo dobrze. Z ust mi to wyjąłeś. Też kupiłem. – Gwidon roześmiał się, wskazując na mrozącą się w kubku butelkę białego absoluta.

– No to jedzmy, póki ciepłe. – Marek rozsiadł się wygodnie na kanapie. – Widzę, że przygotowałeś nam już na dzisiaj zajęcia. – Skinął ręką w kierunku stołu zasłanego papierami.

– Spokojnie, to nie na dzisiaj. Może poczekać do jutra – odrzekł Gwidon, nalewając alkohol do kieliszków. – Tymczasem wypijmy za kolejne spotkanie. Dzisiaj świętujemy. Praca nie zajac. Opowiadaj, co się działo przez ten rok.

– W skrócie bez zmian. – Marek przełknął kolejny kawałek doskonałej pizzy. – A jednocześnie same zmiany, i to poważne. Oświadczyłem się Ewie, to ta sama dziewczyna, co dwa i trzy lata temu, więc czas najwyższy. Po twoim zleceniu zamierzam się ożenić i wybudować nam dom. No i rzuciłem studia. To by było na tyle.

– Jak to, rzuciłeś? – zdziwił się Gwidon. – Chyba wróciłeś na studia, po tych wszystkich eksperymentach z prawem, fizyką i cholera wie czym. Chciałeś powiedzieć, że wróciłeś na architekturę. Dobrze rozumiem?

– Nie, źle rozumiesz, Gwidon. Rzuciłem całkiem. Zamierzam otworzyć firmę budowlaną, żeby utrzymać rodzinę. Wydoroślałem chyba?!

– Marek, przecież całe życie chciałeś być architektem. – Gwidon popatrzył z rozpaczą na swojego protegowanego. – Jak możesz tak pochopnie rezygnować ze wszystkich swoich planów, z całej przyszłości. Dla jednej dziewczyny?

– Nie, nie dla dziewczyny, dla miłości. Kocham ją. To ta właściwa, ta jedyna. Kiedy ją poznasz, sam zrozumiesz – tłumaczył Marek.

– Może. – Przyjaciel westchnął sceptycznie. – Miłość jest ważna, ale myślę, że popełniasz błąd. Jeśli ta dziewczyna cię kocha, to pozwoli ci na samorealizację. Mogłaby te parę lat poczekać. Ty zaś jako architekt byłbyś nieoceniony. Przemyśl to jeszcze. Zrób dyplom, chłopcze. Masz zagwarantowaną pracę u mnie, przejmiesz wszystkich moich klientów. Jak możesz z tego rezygnować?

– Gwidon, bardzo sobie cenię twoją wielkoduszność, ale nie próbuj mnie przekonywać. To mój samodzielny wybór. Ewa też próbowała mnie namawiać, argumentowała dokładnie tak jak ty, no może bez oferty pracy. – Uśmiechnął się. – Ale to moja decyzja. To ja nie chcę już dłużej

czekać. Życie zbyt szybko ucieka. Chcę żyć, już, teraz, a nie za pięć czy dziesięć lat. Chcę być z nią każdego ranka i wieczora. Chcę czuć jej zapach na mojej poduszce w nocy. Nie próbuj mnie przekonywać. To moje ostatnie zlecenie.

– Nie pozostawiasz mi dużego wyboru. Od roku odkładam swoją emeryturę. Trzymałem to biuro architektoniczne tylko dla ciebie, ostatnie pięć lat właściwie projektuję tylko dla ciebie. Wiesz, że już nie muszę pracować, mam dosyć pieniędzy do końca życia. – Gwidon zaciągnął się głęboko papierosem, a potem z sykiem wypuścił dym. – Jesteś dla mnie jak syn, chłopcze. No cóż, zrobimy razem ten ostatni projekt. Może jeszcze zmienisz zdanie. Jeśli nie, to niech tak będzie. Nasze drogi się rozejdą. Może to i dobrze, że właśnie ten projekt będzie ostatni. Zabawne, pewnie tak miało być, że pożegnanie z jednym synem będzie pojednaniem z drugim... – urwał.

– Jak to? Nie rozumiem. – Marek popatrzył ze zdziwieniem na przyjaciela.

– Pewnie, że nie rozumiesz. Przez te parę lat rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o moim synu. – Gwidon prychnął. – Nie chciałem o nim rozmawiać. Nie twoja wina, wmówiłem sobie, że nie mogę nic zrobić. Moje własne dziecko odrzuciło mnie jak zbędny śmieć. Nie chciał mnie w swoim życiu, nie chciał moich pieniędzy ani mojego doświadczenia, nic. Ty za to byłeś dla mnie jak ten syn, którego sobie wymarzyłem. Głodny wiedzy, utalentowany, pracowity i taki pełen zapału. Dostrzegłem w tobie potencjał, jakiego jemu zawsze brakowało. Wmówiłem sobie, stary głupiec, że to wszystko, co mogę mu dać, dam tobie, żeby się nie zmarnowało. A teraz, właśnie teraz, ty chcesz odejść, a on chce wrócić. Tylko że nigdy mi nie zastąpi ciebie.

– Posłuchaj – Marek spuścił głowę – niewielu jest ludzi, których tak szanuję jak ciebie. Takiego ojca, takiego mentora jak ty można sobie jedynie wymarzyć. Zrobię dla ciebie wszystko co w mojej mocy, ale nie poświęcę siebie. Mam tylko jedno życie i ono musi zostać moje.

– Spokojnie, chłopcze, nie wymagam od ciebie żadnych poświęceń. Każde dziecko musi pójść swoją drogą. Nie jestem idiotą, nie będę próbował na siłę cię zatrzymać. Pomóż mi tylko zrealizować ten ostatni projekt. Nie zaufam nikomu innemu, tylko tobie, a żeby się wszystko udało, trzeba działać podstępem. – Gwidon zrobił tajemniczą minę.

– Mówisz dziś samymi zagadkami. – Marek wzruszył ramionami. – Wyjaśnij po kolei, o co chodzi.

– No dobrze, po kolei. Od czego by tu zacząć... – Gwidon zapalił kolejnego papierosa. – Już wiem. To był nasz trzeci projekt, pamiętasz? Tego lata siedziałeś dwa tygodnie bez pracy i kłamię na czym świat stoi. Próbowałeś nawet szukać pracy w knajpach, bo ściągnąłem cię do Paryża, a potem się okazało, że nie miałem dla ciebie zlecenia od ręki.

– Pamiętam. Coś się przesunęło i ty też byłeś zły jak wilk – potwierdził Marek. – Potem wysłałeś mnie na robotę do tej wiejskiej posiadłości przyjaciół. Piękny dom.

– No właśnie. Ten projekt, który wypadł, to było mieszkanie mojego syna – oznajmił Gwidon.

– Rozumiem. Ale co to ma do rzeczy? – zapytał po dłuższym milczeniu Marek.

– Wszystko! – odparł architekt. – No dobra, może faktycznie trochę to niejasne. Muszę ci chyba opowiedzieć więcej. To bardzo osobiste.

– Wiesz przecież, że nikomu nic nie powtórzę.

– Wiem. – Gwidon westchnął ze znużeniem. – No to słuchaj. Mój syn Adam miał w zasadzie trudne dzieciństwo. Miał tylko mnie. Jego matka zmarła, jak skończył roczek, a ja uciekłem w pracę i chyba go trochę zaniedbałem. Wysyłałem go do szkół z internatem, najlepszych, jakie były, ale z dala od domu. Postawiłem mur z pracy między mną a dzieckiem, no i sam sobie jestem winien. Odrzuciłem go, to się na mnie zemścił. Miał przyjechać na roczny urlop

dziekański i praktykę do Paryża, a ja, idiota, zgodnie ze swoim schematem zachowania, zamiast wziąć Adama do domu i nawiązać wreszcie jakąś sensowną relację, potraktowałem go jak obcego. Znalazłem odpowiednie mieszkanie i postanowiłem go tam umieścić. Nic dziwnego, że się na mnie wypiął. Rzucił studia, ożenił się niespodziewanie i wprowadził do małżonki, która zamieszkiwała norę w slumsach. Żył z zasiłków, kradł, ćpał i Bóg jeden wie, co jeszcze wyprawiał. Próbowałem go z tego wyrwać, bezskutecznie. Raz do roku spotyka się ze mną oficjalnie i odrzuca każdą moją propozycję. Cały czas jest z dziewczyną, z którą się ożenił. Nawet jej mi nie przedstawił. Jednak z roku na rok sytuacja się zmienia. I to, na szczęście, na lepsze. – Architekt przerwał opowieść i pogrzył się w rozmyśleniach.

Marek przez chwilę przetrawiał otrzymane informacje. Każdy ma swoje problemy. Jak bardzo musiała ta sytuacja dręczyć Gwidona, jak bardzo musiał się wstydzić swojego postępowania, że mimo tak dużej zażyłości, jaka ich łączyła, nigdy słowem nie wspomniał o swoich problemach rodzinnych. Marek aż bał się pytać, bał się przerwać ciszę, która teraz zapadła. Rozlał kolejną wódkę do kieliszków, uzupełnił colę w szklankach. Potem pobierał kartonowe opakowania po pizzy, wziął popielniczkę i poszedł do kuchni wyrzucić śmieci. Po chwili wrócił, postawił czystą popielniczkę przed przyjacielem i podsunął w jego kierunku otwartą paczkę papierosów.

– Dzięki – Gwidon otrząsnął się z zamyślenia i wyłuskał marlboro z pudełka. – Nie miałeś pojęcia, jaką jestem świnią, nieprawdaż?

– Przestań gadać bzdury – odparł Marek. – Gdzie jest napisane, że musisz być połączeniem Dalajlamy z Matką Teresą z Kalkuty. Byłeś samotnym ojcem, wychowującym dziecko. Zapewniłeś mu wykształcenie. Nie przesadzaj, nie można zrobić wszystkiego.

– Nie broń mnie. Miłości mu nie dałem – mruknął jego przyjaciel.

– No i co z tego? Przecież obaj żyjecie, wciąż jest czas.

– Prawda! – Gwidon strzepnął popiół do popielniczki i podniósł kieliszek. – No to za miłość! Opowiem ci resztę, chcesz?

Marek kiwnął potakująco głową.

– To mieszkanie do remontu kupiłem pięć lat temu. Doskonała lokalizacja, Dzielnica Łacińska, w samym centrum, stare budownictwo, wysokie sufity. Trochę małe, zaledwie pięćdziesiąt metrów, ale ma niesamowity potencjał. Chciałem je przebudować, a potem sprzedać z zyskiem, i to miało być twoje zlecenie, ale właśnie w tym czasie zrobiło się to całe zamieszanie z Adamem. No i tak się to wlokło do tego roku. Zaproponowałem mu najpierw, żeby się wprowadził z żoną do mnie. W końcu wiecznie żył nie będę, kiedyś tam umrę, więc i tak apartament będzie jego, to niech się przyzwyczajają. Tu są jego korzenie. Widzisz, ta kamienica jest bardzo stara, kiedyś cała była własnością mojej rodziny. Potem, po różnych wojnach i kolejach losu, zostało nam tylko to piętro. Wszyscy krewni powymierali, jestem tylko ja i Adam. Może to sentymentalizm, ale uważam, że powinienem zatrzymać to mieszkanie, dla niego. Sam wiesz, że dla mnie jest dużo za duże.

– Powiedziałeś mu to?

– Oczywiście. – Gwidon wzruszył ramionami. – Nawet mnie nie wyśmiał. Po prostu zignorował moją propozycję i z tą swoją wyższością, nawet sobie nie wyobrażasz, jak on potrafi onieśmielająco wyglądać, powiedział krótko i zdecydowanie: „Wykluczone, nigdy nie będę z tobą mieszkał”. Potem chciałem, żeby zamieszkali w tym mieszkaniu w Dzielnicy Łacińskiej. I znowu usłyszałem: „Wykluczone, nie potrzebujemy twojej litości i w żaden sposób nie zamierzamy poprawiać ci samopoczucia”.

– Przestań się dręczyć, zrobiłeś, co mogłeś – uspokajał go Marek.

– Zrobiłem nawet więcej – burknął Gwidon. – Przepisałem to mieszkanie na Adama jako prezent ślubny. Wiesz, co zrobił? Odmówił przyjęcia! Pięć lat za nie płacę, przepiękna chałupa stoi pusta, a mój syn klepie biedę na obrzeżach Paryża.

– Słuchaj, przecież to absurd. Przestań się obwiniać o cokolwiek. Możesz osła doprowadzić do wodopoju, ale pić musi sam. Przyjdzie czas, szczeniak dorośnie, zrozumie i sam do ciebie przyjdzie. – Marek pokiwał głową.

– No więc właśnie przyszedł czas – odparł architekt. – Przyszedł do mnie, ale to wszystko nadal nie jest takie proste, jak się wydaje. Po długim okresie buntu Adam wrócił na łono rodziny, czyli do tatusia, i łaskawie przyjął prezent ślubny, chociaż od pięciu lat odmawiał. Jedyne powód, dla którego to robi, to ten, że spodziewają się dziecka. Gdyby chodziło tylko o niego samego, nic by ode mnie nie wziął. Pies go drapał.

– Olej to! Wszystko jedno dlaczego, grunt, że wziął. Pierwsze drzwi są otwarte, dalej już będzie tylko lepiej.

– W zasadzie masz rację. – Gwidon westchnął. – Nawet sobie nie wyobrazasz, ile nerwów mnie kosztuje każda rozmowa z Adamem. Jest taki dumny i uparty, a jednocześnie wrażliwy jak mimoza. Wiem, że z czasem wszystko się ułoży, ale zanim ten czas przyjdzie, to mnie pewnie pięć razy szlag trafi. Musisz mi pomóc.

– Jak? – Marek się zdziwił. – Nie znam twojego syna, nie przemówię mu do rozumu. A jak jeszcze się wyda, że jestem twoim protegowanym, to będę jego najgorszym wrogiem.

– Ależ ja nie chcę, żebyś go do mnie przekonywał. Chcę, żebyś dla niego pracował!

– Ja? Dlaczego? Gdzie? – Marek zrobił wielkie oczy. – Przecież ja mam z tobą umówiony projekt do zrobienia. Dogadaliśmy się na równe pięćdziesiąt pięć tysięcy za czystą robocizną do października. Nie mam czasu na pracę dla obcych. Chcę się żenić!

– No właśnie, to jest ten projekt! – wyjaśnił Gwidon. – Zastanów się tylko. Oczywiście, że zaprojektowałem mu różne zmiany, ale nawet nie mam szansy pokazania ich temu uparciuchowi. Wziął mieszkanie i won, tatuś, nic więcej od ciebie nie chcę. A ceny paryskich pracowników sięgają absurdu! Adam ma własne pomysły na niezbędną przebudowę, ale po pierwsze, brakuje mu wiedzy, a po drugie, umiejętności i pieniędzy. Kiedyś studiował literaturę średniowieczną, a od pięciu lat pracuje jako kelner w knajpie. I uważa, że wykona remoncik własnymi rękami, żeby było taniej. Włosy mi pod pachą dęba stają, jak sobie wyobrażam, ile problemów w przyszłości spowoduje ten spontaniczny zryw budowlano-remontowy mojego upartego synka. Tam trzeba zrobić kompletną demolkę i położyć wszystkie instalacje na nowo. Miejsca na pokój dziecienny brak, przydałyby się antresole. Musi wszystko powyliczać statyk, a on sam chce to zrobić!

– Chodź, nie da rady inaczej! – Marek pociągnął przyjaciela w stronę stołu. – Pokaż mi statykę i rzuty.

Przez kolejne pół godziny analizowali plany i dyskutowali o różnych rozwiązaniach. Kiedy znowu usiedli na kanapie przy ławie, ustalwszy wstępnie wszystkie szczegóły projektu, Marek podsumował:

– Dobrze oszacowałeś. Minimum sto pięćdziesiąt tysięcy euro. Musisz liczyć dziewięćdziesiąt na materiały, na robocizną już się ze mną umówiłeś, ceny nie zmienię. Każdemu innemu zapłaciłbyś sto tysięcy, wiemy to obaj.

– Wiemy – potwierdził Gwidon. – Tobie też zapłacę, ale nie chciałem o tym mówić przez telefon. Bo jak ci już mówiłem, konieczny jest podstęp. Adam nie weźmie ode mnie grosza. Musisz się z nim sam umówić, tak żeby się nie zorientował, że ja ci płacę. On sobie przewidział

budżet na dziesięć do piętnastu tysięcy.

– Oszalałeś? – zachnął się Marek. – Kelner nie kelner, ale przecież nie jest idiotą. Jak ja mam mu powiedzieć, że robota, do której materiał musi kosztować stówę, kosztuje z materiałem dychę?! To się nie uda!

– Uda się – stwierdził z mocą Gwidon. – Dlatego tak to zaprojektowałem. Sam się czepiałeś, że mogłoby być szybciej, gdybym uwzględnił płyty gipsowo-kartonowe. Teraz już wiesz, dlaczego drewno i cegła. Bo mu wmówisz, że materiał jest z rozbiórki i dlatego tańszy.

– Zwariowałaś do reszty. U was rozbiórkowe jest droższe niż nowe! – opierał się Marek.

– Owszem, ale on o tym nie wie – tłumaczył Gwidon. – A poza tym wcale mu nie powiesz, że to rozbiórkowe jest od nas. Powiesz, że ściągasz materiał z Polski. Jemu się wydaje, że Polacy pracują za grosze, ma doświadczenia ze swojej branży. Umówiłem was na jutro w mieszkaniu. Zobaczysz, że się uda. Jak mu wmówisz, że materiał będzie kosztował pięć tysięcy, to dla niego twoja miesięczna wypłata w granicach półtora będzie absolutnie w porządku, bo tak zarabiają kelnerzy z Polski. Zgodził się z tobą spotkać tylko dlatego, że powiedziałem, że mój polski podwykonawca polecił cię jako taniego robotnika, a ja sam nie mam z tobą nic wspólnego. Zawiozę cię, co prawda, i wejdę z tobą na górę, ale niech cię ręka boska broni zdradzić, że się znamy. Dla niego jestem zleceniodawcą twojego szefa, który przeze mnie załatwił ci remont u Adama. Żadna przysługa z mojej strony. Moich planów nie chciał przyjąć, ale wysłałem mu mejlem dwie wersje próbne, więc jest duża nadzieja, że przynajmniej poogląda i parę pomysłów uzna za swoje.

– Gwidon, jesteś niemożliwy. – Marek rozłożył ręce. – Mogę spróbować, ale niczego nie gwarantuję. Pokaż jeszcze raz te plany. Spróbujemy zrobić fikcyjny kosztorys dla debili.

Dzisiaj

Maj 2005, mieszkanie Adama Bendieux w Paryżu w Dzielnicy Łacińskiej

Zaparkowanie w Dzielnicy Łacińskiej jest równie łatwe jak przepchnięcie tłustego jamnika przez rurę standardowego odkurzacza. Co prawda paryska metoda parkowania, poprzez popchnięcie tego z przodu i przesunięcie tego z tyłu, stwarza wiele interesujących możliwości, ale dla terenowej kobyły, to znaczy land rovera należącego do Gwidona, szanse nadal były znikome. Umówili się z Adamem na jedenastą i mimo że wyjechali półtorej godziny wcześniej, po półgodzinnym krążeniu ciasnymi uliczkami i bezskutecznym objeżdżaniu płatnych parkingów Gwidon dał za wygraną.

– Idź sam, bo się spóźnimy, a Adam jest upierdliwy – polecił Markowi, zatrzymując się przy rzędzie zaparkowanych pojazdów. – Jak tylko znajdę wolne miejsce, dojdę do was. Powołaj się na mnie i wyjaśnij sytuację. Może to i lepiej, że pójdziesz sam, bo ja na niego działam niczym płachta na byka. Drugie piętro, środkowe drzwi. Leć, bo ten gość za mną nerwowo jakiś – dodał, patrząc w lusterko. – I czego trąbisz, idioto! Jadę już, jadę! – krzyknął do nerwowego kierowcy, wymachując rękami.

Marek wszedł do bramy i zaczął się wspinać po schodach, podziwiając gładkie drewniane poręcze secesyjnej balustrady. Drzwi do mieszkania były lekko uchylone. Marek zadzwonił, a następnie zapukał, ale nie doczekawszy się zaproszenia, punktualnie o jedenastej wszedł do mieszkania, głośno oznajmiając swoją obecność.

– Halo, jest tam kto?! Monsieur Bendieux?! Przychodzę w sprawie remontu. Halo?!

Przeszedł przez mroczny korytarz i pchnął kolejne drzwi. Pokój był wypełniony jasnym światłem. Pod wysokimi sufitami tańczyły w słońcu drobinki kurzu. Wysokie wykuszowe okna były brudne, ale mimo to blask go oślepił. Usłyszał w głębi mieszkania odgłos spuszczonej wody i kroki. Popatrzył w stronę drzwi, które szeroko się otworzyły. W drzwiach stała... Ewa. Marek patrzył osłupiały w twarz swojej narzeczonej. To nie było złudzenie. Światło słoneczne padało prosto na nią, a Marek, zwrócony plecami do okna, widział dokładnie każdy szczegół jej śniadej twarzy. Krótka, zalotna fryzura z czarnymi lokami okalającymi policzki. Duże poważne bursztynowe oczy, w których pobłyskiwały w słońcu zielonkawe iskierki. Dżinsy i biała męska koszula, jej ulubiony strój domowy. Ewa! Jak to możliwe?

– Ewa? – wyszeptał z niedowierzaniem.

– Przepraszam, musiałem skorzystać z toalety – odezwała się Ewa miękkiem męskim barytonem. – Pan zapewne jest tym robotnikiem z Polski?

Marek patrzył jak urzeczony w twarz mężczyzny. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Dzień dobry – powiedział chłodno mężczyzna. – Jestem Adam Bendieux. A pan się nazywa?
– urwał wyczekująco.

Marek milczał. Szeroko otwartymi oczami lustrował każdy centymetr postaci stojącego przed nim człowieka. Twarz Ewy, jej wzrost, oczy, włosy, usta – wszystko Ewy. No tak, grdyka

bardziej wystająca. Luźna koszula mogła skrywać biust, którego mogło jednak nie być, i biodra, też zapewne węższe niż biodra Ewy. Gdyby nie ta grdyka, to byłby stuprocentowo pewien, że stoi przed nim Ewa. Gdyby nie grdyka i nie głos...

Tymczasem Adam się niecierpliwił.

– Pan mnie w ogóle rozumie? *Parlez-vous français?* Mówi pan po francusku? Może po angielsku? *Do you speak English?* – irytował się coraz bardziej. – No to skandal, przysyłają mi faceta do rozmowy, z którym się nie da porozmawiać. Typowe. Halo, człowieku?! Czy ty w ogóle mnie rozumiesz? Ty jesteś Polak od Gwidona Bendieux? Hej?! Ty, od Gwidona. Gwidon Bendieux, architekt. Rozumiesz?

Marek patrzył oszołomiony na poruszające się gwałtownie wargi. Usta Ewy. Krzyczały na niego, coś chciały. Dopiero po jakimś czasie w jego mózgu włączyła się fonia. Przez pierwsze sekundy rejestrował jedynie wizję. Ewa. Nadal nie był w stanie nic powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że musi jakoś zareagować. Sięgnął więc do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej portfel. Stamtąd wyjął zdjęcie Ewy i podał mężczyźnie. Adam odruchowo chwycił fotografię i spojrzał na nią przelotnie.

– Tak, to ja. – Pokiwał głową. – Nie ma nieporozumienia. Dostałeś zdjęcie od Gwidona. Tak, to JA. – Popukał palcem w zdjęcie, a następnie w swoją pierś. – Ja jestem Adam Bendieux. Tutaj. – Tupnął kilka razy w podłogę. – To mieszkanie, moje, do remontu, rozumiesz?

Drzwi uchyliły się szerzej i stanął w nich Gwidon.

– Dzień dobry, Adamie – powiedział łagodnie. – Przepraszam za spóźnienie, nie mogłem znaleźć miejsca do zaparkowania. I jak wam idą negocjacje z Markiem?

– Dzień dobry, ojciec – warknął ze złością tamten. – Jakie negocjacje?! Przecież ten facet słowa nie rozumie w żadnym ludzkim języku, ani po francusku, ani po angielsku. No, niezłego fachowca mi podesłałeś!

– Ależ?!... – Zdziwiony Gwidon spojrzał na Marka, który stał bez ruchu na środku pokoju, intensywnie wpatrując się w zirytowanego Adama.

– No tak! – syczał młody Bendieux. – Musi być niebywale zdolny i inteligentny, skoro udało mu się w ciągu pięciu minut odkryć, że ja i facet na zdjęciu, które mu dałeś, to jedna i ta sama osoba – stwierdził ironicznie, wyciągając fotografię w stronę architekta. – Zresztą mam wrażenie, że nawet tego jeszcze nie jest pewien. To skandal, ojciec! Zabierz tego człowieka z mojego domu i przestań wreszcie próbować mi pomagać.

Gwidon podszedł do syna i wyjął z jego dłoni zdjęcie, którym Adam wymachiwał. Obejrzał je uważnie i spojrzał pytająco na Marka.

– Marek? – zapytał. – Skąd to masz, przecież ja ci nie dawałem...? Co to ma znaczyć? Skąd masz zdjęcie Adama?

Marek niechętnie przeniósł wzrok z Adama na przyjaciela.

– Przepraszam, Gwidon – wychrypiął z wysiłkiem. – Nie rozumiem, to ty mi wytłumacz, co to znaczy. To moje zdjęcie. To nie Adam. To Ewa, moja narzeczona. Ewa Dembska.

Tamten zbladł i zachwiał się gwałtownie. W panice wodził wzrokiem od Adama do Marka, to znów spoglądał na fotografię.

– Ewa? – wyszeptał. – Ewa? Przecież to niemożliwe. Ona nie żyje! Widziałem na własne oczy, jak ją zastrzelili.

Przodkowie

Wrzesień 1270, siedziba Umara Maliki, ulema¹ na dworze emira Tunisu, Muhammada

Wrzaski mordowanych niewiernych, śmiech żołdaków, huk rozbijanych sprzętów i odgłosy rzezi z każdym krokiem cichły. Im bardziej oddalał się od rozpalonego afrykańskim słońcem dziedzińca w rozległej posiadłości, tym bardziej dygocząca w upale cisza łagodziła jego rozedrgane nerwy. Chęć walki, która była jego jedynym celem jeszcze godzinę temu, pierzchła. Żądza mordu i agresja umknęły zastąpione zwątpieniem i niechęcią. Miał dosyć! Całe jego życie było jedynie pragnieniem zemsty, dopiero teraz zdawał sobie z tego sprawę.

Jego żona, Amicis, która tak naprawdę nigdy nie była jego żoną, zawsze uważała, że przemoc nie jest słuszną drogą. Amicis żyła tylko dla Boga. Poślubiona Robertowi jako dwunastolatka, już wówczas twierdziła, że żyje tylko dla Boga i to Jemu chce się poświęcić do końca swoich dni. Szanował ją bardzo. Ich ślub zaaranżowały dwa wielkie rody, para dzieciaków została mężem i żoną. Dzięki temu małżeństwu Robert z czasem zaczął rozumieć siebie samego. To mała Amicis, której jedynym życiowym pragnieniem było wypełniać wolę boską, pomogła mu zrozumieć, że całe jego życie jest kłamstwem, chęcią zemsty.

Robert d'Artois urodził się osiem miesięcy po śmierci swojego ojca, poległego w służbie króla Ludwika IX podczas szóstej krucjaty. Wychowywany przez ambitną matkę, marzącą jedynie o potędze rodu, i przez duchownych, którzy zaszczyli mu nienawiść do niewiernych, nie zastanawiał się nigdy nad sensem swojego życia. Nie czuł takiej potrzeby. Wtedy wszystko wydawało się proste i oczywiste. Ćwiczył się pilnie w sztuce zabijania, już jako dziesięciolatek stał się mistrzem miecza. Był rycerzem i marzył, by zostać rycerzem Boga, krzyżowcem, tak jak jego ojciec. Miał przed sobą jedyny cel: zabić jak najwięcej niewiernych, pomścić śmierć ojca, ucieszyć Boga. Potem zaś w jego życiu pojawiła się Amicis, jego dziecinna żona. Na początku irytowało go, że musi spędzać z nią czas, który przecież mógłby poświęcić na ćwiczenie sztuki walki. Z głupią smarkatą dziewczyną. Mieli tyle samo lat, ale Amicis była kiepską towarzyszką zabaw. Była po prostu nudna, nawet porozmawiać się z nią nie dało. Słuchała uważnie opowieści o jego bohaterskich wyczynach w przyszłości, a potem tym swoim cichym i spokojnym tonem prosiła o wspólną modlitwę. Nie, Amicis w czasach dzieciństwa absolutnie nie była zabawna.

Zatopiony we wspomnieniach Robert wędrował przez ocienione krużganki siedziby bogatego Araba. Błądził oczami po filigranowych zdobieniach marmurowych kolumn. Budowla była piękna i ogromna, choć wydawała się opuszczona. Wiele bogactw do zrabowania, żadnych niewiernych do zabicia. Jedynie we frontowej części grupa służących, mężczyźni i kobiety. Wszyscy już nie żyli. Jego podwładni o to zadbali. Teraz oglądają zdobycz i pakują bogactwa do juków. Należą im się... Czyżby? Naprawdę? Dlaczego? Tak by zareagowała na to stwierdzenie Amicis. Przecież nie walczyli o te łupy. Wyróżnili jedynie grupę bezbronnej służby. Nikt nie stawiał oporu, nikt ich nie atakował. Mimo to zabili wszystkich, na jego, Roberta, rozkaz.

Wyobraźnia płatała mu figle. Widział drżące w promieniach oślepiającego słońca oblicze żony.

– Dlaczego, Robercie? – pytała łagodnie Amicis. – Dlaczego ci niewinni ludzie musieli zostać tak bestialsko zamordowani? Przecież nawet nie bronili swojego dobytku. Mogliście zabrać wszystko i pozostawić ich przy życiu.

– Czemu nie możesz tego pojąć? – spierał się z ułudą. – Nasz król, Ludwik, ten, którego już za życia wielu uznało za świętego, oddał ducha Bogu zaledwie parę dni temu, zmożony diabelskim powietrzem tego kraju. Ktoś musi zapłacić za jego śmierć! Ta ziemia odrzuciła jedyne Boga.

– Rodzimy się, aby umrzeć, Robercie. Nie ma ceny za śmierć, jest tylko cena życia. Tę zaś płacimy dobrem, które w nas jest. Nie zapominaj, że każdy z nas nosi w sobie Boga – to dobro mamy w sobie. Wystarczy jedynie wsłuchać się w siebie, aby je odnaleźć, by odnaleźć Boga.

– Amicis, mylisz się. Jestem rycerzem, walczę mieczem. Moim zadaniem jest bić się w imię Boga, bronić boskich praw!

– To Bóg dał ci prawo zabijania bezbronnych kobiet, mordowania dzieci i starców, Robercie?

– Twarz Amicis falowała w smużkach rozświetlonego pyłu. – To ty wydałeś rozkaz rzezi. Czy Bóg ci to nakazał, czy była to ludzka decyzja, twoja decyzja, Robercie, twój rozkaz, twoja wina...?

Nikły szmer dolatujący z niskiego budynku po prawej stronie krużganka odwrócił uwagę Roberta i rozwiął mglistą wizję żony. Hrabia d'Artois rozejrzał się uważnie. Nic. Martwa cisza, ani śladu człowieka. Podążył w tamtym kierunku i ponownie zatonął w rozmyśleniach. Wspomnienia poszybowały do tamtego dnia, gdy oboje, on i Amicis, mając około szesnastu lat, udali się na konną przejażdżkę. Wtedy już nie traktował jej jak nudnego dzieciaka. Cztery lata przemieniły ich w parę młodych ludzi. Mężczyznę i kobietę.

Wtedy po raz pierwszy zapragnął, żeby Amicis naprawdę była jego żoną. Wtedy ją pokochał. Wspomnienie jak żywe stanęło mu przed oczami. Wręcz fizycznie czuł chłód jesiennego poranka, pamiętał zapach końskiej sierści. Jechali stępa ramię w ramię przez las, rosnący wokół rodzinnej posiadłości rodu Artois. Na wzgórzu, skąd rozciągał się piękny widok na opactwo Saint-Bertin, postanowili zrobić postój. Robert objął kibić Amicis, pomagając małżonce zsiąść z konia, i już chciał jej wyznać swą miłość, gdy uprzedziła jego słowa.

– Robercie – odezwała się spokojnie, stłumionym głosem. – Musimy porozmawiać. Mam do ciebie ogromną prośbę, która zaważy zarówno na twoim, jak i na całym moim życiu. Wczoraj odwiedziła mnie twoja matka.

– Wiem, moja droga. – Uśmiechnął się z nadzieją. – Ze mną również rozmawiała. Czas spłodzić dziedzica rodu d'Artois, nieprawdaż, moja małżonko?

– Prawdą jest, że to było tematem rozmowy pani Matyldy ze mną – odparła Amicis poważnym tonem. – Ale to ty jesteś hrabią d'Artois, panem na włościach, jedynym potomkiem rodu. To twoja władza i decyzje się liczą, nie jej życzenia. I to ty jesteś jedyną osobą, która potrafi odmienić mój los. Dlatego proszę, wysłuchaj mnie, i błagam, pomóż mi spełnić jedyne pragnienie, które wypełnia mą duszę i ciało. Robercie, rozwiąż naszą umowę, unieważnij nasze małżeństwo.

– Amicis! – wykrzyknął zdumiony. – Co ty mówisz, czego ty żądasz?! Jesteś moją żoną, kocham cię, naszym obowiązkiem jest spłodzić potomstwo. Dlaczego mam unieważniać związek, którego opoką jest nasza miłość. Bóg nas pobłogosławił, żono, i żadne prawo ludzkie i boskie nie pozwoli mi ciebie oddalić, nawet gdybym chciał. A ja nie chcę!

– Robercie, wysłuchaj mnie. – Amicis usiadła na wilgotnej trawie i wskazała miejsce obok siebie. Przysiadł koło niej i ujął ją za rękę. – Nie wiem, dlaczego los połączył nas węzłem

małżeńskim – zaczęła mówić. – Prawda jest taka, że już jako dziesięcioletka poczułam powołanie. Kocham cię jak brata, jak najlepszego przyjaciela, ale to Bóg jest jedynym, którego kocham prawdziwie i któremu chcę służyć. Cała moja rodzina rozumiała, że moje miejsce jest w zakonie. Było zaplanowane, że jako dwunastolatka rozpocznę nowicjat. Potem zaś nasze rody ustaliły, że zostanę ci poślubiona, a ja nie miałam na to żadnego wpływu, musiałam zgodzić się z tą decyzją. Przywieziono mnie do Artois jako dziecko, mój spowiednik, siostry zakonne, duchowni, wszyscy bliscy zostali mi odebrani. Opat Saint-Bertin przyjął mnie jak utraconą córkę. On zna moją duszę i wie, że moje miejsce jest przy Bogu. To on poradził mi, bym porozmawiała z tobą.

– Opat uważa, że powinienem cię oddalić?! – oburzył się Robert.

– Nie, to nie tak – odpowiedziała. – Opat uważa, że jesteś mądrym i dobrym człowiekiem. Sądzi, że podejmiesz słuszną decyzję. Już wcześniej miałeś prawo mnie zniewolić, jestem twoją żoną i moim obowiązkiem jest być ci uległą. Ty jednak pozwoliłeś mi samej wybrać ten moment, kiedy nasz związek zostanie przypieczętowany. I ty, i ja wiemy, że jestem dziewicą. Wielkodusznie czekasz na zaproszenie do mego łóża, choć oboje wiemy, że świat cię ponagla, żąda od nas potomka. Tylko że ja nigdy dobrowolnie ci się nie oddam. Moja dusza i moje ciało należą do Boga. Jedyne, czego w życiu pragnęłam, to służyć Panu. Pragnę wstąpić do zakonu i żyć dla Jezusa, z daleka od świeckiego świata. Możesz mnie zmusić. Mogę ci dać dzieci. Jednak i ty, i ja będziemy wiedzieli, że zostaną zrodzone z grzechu. Grzechem jest bowiem sprzeciwiać się woli boskiej. Nie wiem, dlaczego Pan skierował mnie na tę wyboistą ścieżkę. Niezbadane są Jego wyroki, zapewne ma to jakiś cel. Może tym celem jest, abyś ty dokonał właściwego wyboru? Może Pan chce, abyś sam zwrócił Bogu, co boskie? Bo ja wiem na pewno, że jestem Jego własnością.

– Amicis, nie mów tak. Nie znasz woli Boga, nikt jej nie zna.

– To prawda, Robercie. Nie znam woli Boga, ale znam wolę ludzi. Moją wolą jest poświęcić życie Panu, a jedynie od twojej woli zależy, czy będzie mi to dane.

Efektom tej rozmowy był dziwny kompromis, którego nikt nie mógł pojąć. Robert nie zwrócił wolności żonie, nie oddał jej, gdyż nie potrafił sobie wyobrazić życia bez Amicis. Jego małżonka wprowadziła się do niewielkiego, dobudowanego dla niej skrzydła zamku i zamieszkała tam z jedną jedyną towarzyszką, szlachcianką z ubogiego rodu, która porzuciła nowicjat w opactwie Saint-Bertin, aby służyć młodej hrabinie d'Artois. Jedynymi osobami, które je odwiedzały, był hrabia Robert d'Artois i opat Saint-Bertin. Wszystkim pozostałym mieszkańcom zamku zakazano wstępu do komnat pani. Nawet dostawcy ksiąg pozostawiali je przed wiecznie zamkniętymi drzwiami.

Amicis poświęciła ostatnie cztery lata na studiowanie świętych ksiąg, żywota Jezusa, ewangelii i dzieł historycznych. Wszystkie środki, jakie dostawała na utrzymanie dworu, przeznaczała na księgi i pomoc potrzebującym. Żyła bardzo skromnie, wręcz ascetycznie. Właściwie to nie wstąpiwszy do zakonu, była zakonnicą. Nigdy nie złożyła ślubu ubóstwa, a żyła biedniej niż służba zamkowa. Nigdy nie złożyła ślubu milczenia, a mimo to świat nigdy jej nie słyszał.

Za jedynych towarzyszy rozmów miała swego męża oraz opata, mądrego i wykształconego duchownego, który, prócz spowiedzi, często i chętnie prowadził wielogodzinne dysputy teologiczne z Amicis, chociaż była jedynie kobietą. Inteligencja i obszerna wiedza małżonki zmieniały poglądy Roberta na świat. Powoli, tak wolno, jak krople wody, sącząc się latami, drążyły koryto wielkiej rzeki, dysputy z Amicis drążyły wąską drogę ku świadomości sensu życia w jego duszy. Jaka miałyby być ta świadomość, żadne z nich tak naprawdę nie wiedziało. Amicis

nigdy nie złożyła ślubów czystości, lecz mąż uszanował jej wolę i nigdy nie próbował się do niej zbliżyć fizycznie. Ich związek pozostał jedynie związkiem dusz i umysłów, a Robert miał żonę nie żonę.

Zaabsorbowany swoimi myślami podążał teraz długim mrocznym korytarzem niskiego rozległego budynku. Mijał kopulaste wejścia do kolejnych komnat, nawet do nich nie zaglądając. Całkowicie umknęło mu piękno otoczenia. Niewidzącymi oczami spoglądał na ażurowe złożone zdobienia drewnianych boazerii, ślizgał się wzrokiem po ogromnych marmurowych i mosiężnych wazach wypełnionych pachnącymi egzotycznymi kwiatami. Grube draperie zwieszające się ze ścian ociekały złotymi haftami. Robert nie dostrzegał urody i bogactwa wnętrza, którym bez celu podążał naprzód. Wyprostowany, z obnażonym mieczem ojca w dłoni i opuszczoną głową szedł przed siebie.

Ta kobieta właściwie wpadła na niego. Pojawiła się nagle i niemal dotknęła kolanami czubka jego miecza. Gruba kotara z prawej strony korytarza zafalowała niespokojnie. Robert zatrzymał się, odruchowo podnosząc miecz w górę, tak że ostrze oparło się o pierś nieznajomej. Była młoda i drobna, bardziej dziewczyna niż kobieta. Chociaż nie, kobieta. Co prawda drobna i niska, tak jak Amicis, ale na pewno już nie dziecko. W ułamku sekundy jego umysł porównał je obie. Obie niewysokiego wzrostu, miały ciemne włosy, ale na tym podobieństwa się kończyły. Włosy Amicis były czarne, długie i proste. Zawsze okrywała je czepcem i welonem, jak robiły to zakonnice. Włosy nieznajomej, choć również czarne, wiły się niespokojnie na wszystkie strony i spływały długimi lokami aż po wąską, zgrabną talię. Cera Amicis była blada, prawie przezroczysta, delikatna. Ta kobieta miała śniadą skórę jak wieśniaczki, stale przebywające na słońcu. Amicis miała drobny, prawie płaski biust, którego istnienia nikt by się nie domyślał. Ostatnie cztery lata ukrywała go pod prostym szarym habitem i gdyby nie dawne wspólne wycieczki konne, Robert pewnie by nie wiedział, że Amicis w ogóle ma jakiś biust. Piersi nieznajomej, krągłe i duże, wręcz wyrwały się na wolność z obcisłego stanika i haftowanej złotem kamizeli. Przysłaniał je jedynie półprzezroczysty woal, bardziej eksponujący niż ukrywający kuszące kształty. Jej biodra, szerokie, rozłożyste, okrywały fałdziste ni to spodnie, ni to spódnica. Amicis miała biodra wąskie jak chłopiec. Cała ta analiza trwała może sekundę. Mimo wszystko ta kobieta w jakiś dziwny sposób przypominała Robertowi żonę. Może sprawiły to oczy, tak inne, a jednocześnie patrzące na niego bystro z tą samą powagą. Nie, ona nie miała nic wspólnego z Amicis. Ta kobieta była córką szatana. I jako niewierna zasłużyła na śmierć.

Pewniej ujął miecz i już miał go pchnąć i zatopić w jej piersi, kiedy nieznajoma odezwała się spokojnie i bardzo wyraźnie po łacinie.

– Nie zabijaj, w imię Boga!

Robert drgnął zaskoczony. Minimalnie odsunął ostrze od piersi Arabki.

– To, że mówisz językiem Kościoła, w niczym ci nie pomoże, diabelskie nasienie – wycedził spomiędzy zaciśniętych warg w swoim ojczystym języku. – Błędem jest powoływanie się na imię Boże, mamy innych Bogów, nieczysta! – Ponownie uniósł miecz.

– Bóg jest jeden, rycerzu – odpowiedziała po francusku. – Pamiętaj, że nasz Bóg jest miłością, on nie zabija. Oszczędź!

– Mówisz moim językiem?! – Zaskoczony Robert opuścił miecz.

I właśnie w tej samej chwili kotara zafalowała mocniej, na ramiona Roberta opadł drobny ciężar i poczuł na szyi ostrze sztyletu. Długie włosy małej dziewczynki, która wskoczyła mu na kark, łaskotały jego twarz. Drobna dłoń, ściskająca ostrze, nawet nie drgnęła. Była pewna i silna jak dłoń rosnącego męża, który wie, co czyni. Robert spojrział prosto w oczy kobiety, stojącej

nieruchomo przed nim.

– Nie zabijaj! W imię Boga! – wyszeptał.

Chwila, gdy tamta patrzyła mu prosto w oczy, jakby oceniając jego duszę, trwała wieczność. Potem kobieta wypuściła głośno powietrze z płuc i powiedziała błagalnym tonem:

– Pomóż mi! Obiecuj, że uratujesz moje dzieci. Proszę! Pomożesz?

– Spróbuję – odrzekł poważnie. – Przysięgam, że spróbuję.

Kobieta skinęła powoli głową, a potem szybko powiedziała coś po arabsku. Następnie chyba powtórzyła to samo po francusku.

– Mahaut, puść go, przyprowadź brata.

Ucisk sztyletu na szyję Roberta osłabł. Drobna dziewczynka, wyglądająca na trzy-, czterolatkę, zeskoczyła zgrabnie na ziemię i zniknęła bezszelestnie za kotarą. Po chwili wyłoniła się z drugiej strony, ciągnąc za rączkę jeszcze młodsze dziecko.

– Musicie się ukryć – oświadczył Robert. – Tylko tak mogę pomóc. Jak moi towarzysze dotrą do tego budynku, powiem im, że sam sprawdziłem i nie ma tu nikogo żywego. Zabierzemy łupy, ale uratujesz swoje życie! Szybko, zabierz dzieci i znajdź dobrą kryjówkę.

– Nie. – Kobieta pokręciła przecząco głową. – To niemożliwe.

– Oczywiście, że możliwe! – zaprotestował. – W takim wielkim budynku na pewno są jakieś dobre kryjówki. W skrzyniach i szafach nie, tam będą szukali bogactw, ale na pewno znajdziesz jakieś miejsce. Znasz przecież ten dom.

– Nie rozumiesz mnie – odparła. – Jeśli tu zostaniemy, to już jesteśmy martwi. Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteś? To dom ulema, a ty właśnie jesteś w jego haremie. Mój pan, ulem Umar Maliki, został wezwany do Tunisu na dwór emira. Zabrał ze sobą wszystkich mężczyzn. Kobiety, jako nic niewarte, pozostawił tutaj na pastwę napastników. Mojego synka przebrałam za dziewczynkę i ukryłam w haremie. Jeśli tu zostaniemy, to musimy umrzeć.

– Jak to? – zdziwił się Robert. – Ukrycie się. Przecież obiecałem, że was nie wydam.

Kobieta przeszła parę kroków do niszy po prawej stronie korytarza i odchyliła kotarę zasłaniającą wejście do jednej z bocznych komnat. Wskazała dłonią wewnątrz.

– Zobacz sam – powiedziała smutno.

Robert stanął w progu i przesunął wzrokiem po pomieszczeniu. Na środku, w olbrzymiej kamiennej misie szafirowo połyskiwała woda. Pływały po niej egzotyczne kwiaty. Ściany były ozdobione złożonymi malowidłami. Na pięknych rzeźbionych niskich stoliczkach stały talerze z owocami i bogato zdobione szlachetnymi kamieniami kielichy. Wokół wielkiej misy z wodą na półokrągłych miękkich kobiercach leżały kobiety. Dzieci, małe dziewczuszki, młode dziewczęta, starsze i całkiem stare niewiasty, około dwudziestu. Ich nieruchome twarze i ciała nie nosiły żadnych śladów walki. Nigdzie nie było widać ani kropli krwi. Mimo to wszystkie były martwe.

– Co tu się stało? – zapytał zszokowany hrabia.

– To żony i córki ulema – odpowiedziała cicho. – Jestem jedną z nich. Już od dwóch dni powinnam być martwa, ja i moje dzieci. Nie musicie ich zabijać, same wybrały śmierć, zgodnie z wolą naszego pana, ulema Umara Malika. Moim obowiązkiem było zabić swoje dzieci i odebrać sobie życie, tak nakazuje nasze prawo. Nie potrafiłam. Jeśli mnie tu zostawisz, to muszę umrzeć.

Z zewnątrz dobiegły pokrzykiwania i szczęk stali. Zbliżali się krzyżowcy, grabiąc i mordując zgodnie z rozkazem Roberta, ich dowódcy. Sam im powiedział: „Nie oszczędzajcie nikogo w imię Boga i w pomście za śmierć naszego ukochanego króla. Wszystko, co znajdziecie w tym domostwie, jest wasze, należy wam się jako nagroda za nasze cierpienia. I nie pozostawiajcie tu

żywej duszy. Duch naszego świętego króla Ludwika będzie się radował z każdej niewiernej duszy, którą wyślecie do piekła”. Teraz gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę. Co zrobić?! Jest dowódcą, musi dawać przykład. Nie może oszczędzić tych trojga po takim rozkazie. Nie ma prawa teraz zmienić zdania. Ale przysiągł, dał słowo. Co zrobić? Rozglądał się gorączkowo po pomieszczeniu. Tyle bogactw! Jego wzrok zatrzymał się na jedwabnym pozłacanym sznurze zwisającym z kotary. Szarpnął i ściągnął zwoje materii na podłogę.

– Zaufaj mi! – wyszeptał gorączkowo do kobiety. – Uklękniecie tu, pod ścianą.

Pociągnęła dzieci w kąt, który jej wskazał. Opadła na kolana, a dziewczynka posłusznie klękła obok niej. Chłopczyk, pociągnięty za rękę przez siostrę, klapnął na pupę jak to dzieciak. Robert szybko związał ich razem sznurem.

– Ani słowa! – syknął. – Ani słowa po francusku czy po łacinie!

Skinęła głową, patrząc mu błagalnie w oczy. Omiótł spojrzeniem całą trójkę, chwycił dziewczynę za włosy, a następnie jednym ruchem obciął wijące się sploty tuż przy głowie i rzucił je na ziemię. Rozejrzał się, błyskawicznie zdarł z ciała starej kobiety okrywający ją czarny chałat. Zarzucił okrycie na ramiona dziewczyny, by przykryć jej biust.

– Płacz! – rozkazał szeptem. – Wszyscy płaczcie!

Patrzyła mu w oczy pytająco. Tumult na zewnątrz narastał. Za chwilę tu będą, już słyszał tupot butów i chrzęst żelaza w korytarzu. W panice patrzył na tych troje, skulonych u jego stóp. Nie wyglądali na ofiary. Patrzyli w górę na niego z ufną ciekawością podszytą lekkim strachem. Bez zastanowienia przyłożył nóż do ramienia związanej dziewczynki. Pociągnął zdecydowanie, pozostawiając na jej skórze długą, płytką, krwawiącą ranę.

– Płaczcie! – syknął.

Kobieta patrzyła niedowierzająco na ramię córki, po którym spływały powoli krople krwi. To dziewczynka zrozumiała pierwsza, o co chodzi. Łokciem dała potężnego kuksańca związanemu braciszкови, aż malec zaprotestował głośno i uderzył w rozpaczliwy płacz. Potem szybko wymamrotała coś po arabsku do matki. Obie spuściły głowy i zaczęły gwałtownie szlochać.

– Tutaj! – krzyknął głośno Robert w kierunku korytarza, odwracając się do nich plecami. – Tu jestem, do mnie!

Do komnaty wpadła grupka żołdaków z obnażonymi mieczami, rozglądając się niespokojnie.

– Możecie schować miecze! – oświadczył władcym tonem. – Wszyscy, którzy mieli umrzeć, już nie żyją. – Wskazał ręką dookoła. – Będziemy potrzebować wozu. Juki nam nie wystarczą na łupy z tego domu. Ten, kto tu mieszkał, był zaiste bogaczem. Jego dobra należą się teraz wam. To wy, moi dzielni rycerze, pomściliście śmierć naszego króla. Zgodnie z prawem łupy z tego domu należą do mnie, lecz by wynagrodzić waszą gotowość do walki i poświęcenie, oddaję to wszystko wam.

Żołnierze zaczęli wiwatować na jego cześć. Bogactwa zgromadzone w tym domostwie pozwolą ich rodzinom żyć dostatnio przez wiele lat.

– Panie, a ci tutaj? – Jego przyboczny machnął ręką w kierunku związanej trójki w kącie. – Zabić? – ni to spytał, ni to stwierdził.

– Nie, oszczędzić. Tych troje zabieram do Francji. Przysiągłem mojej żonie, szlachetnej pani Amicis d’Artois, że jeśli Bóg mnie oszczędzi, to ja oszczędzę trzy niewinne życia. To dobra okazja do wypełnienia obietnicy. Te istoty tutaj to dzieci i choć niewierne, to jeszcze niewinne. Da się je wykierować na dobrych chrześcijańskich niewolników. Boga ucieszy nawrócenie tych trojga, a ja wywiążę się z przysięgi złożonej mej małżonce.

– To co z nimi zrobić, panie? – Przyboczny wzruszył ramionami i kopnął klęczącą dziewczynę.

– Tyle zachodu, nie prościej zabić?

– Nie zabijać! – rozkazał Robert. – Wziąć na wóz, zabrać do obozu, zakuć w kajdany i do moich namiotów. Tych troje należy do mnie. A łupy spakować, podzielicie się nimi.

Przechodząc obok swoich jeńców, spojrzał porozumiewawczo na Arabkę. Kobieta nieznacznie przytknęła oczy w potwierdzeniu.

1 *ulem* – muzułmański teolog i uczonec.

Przodkowie

Grudzień 1270, Saint-Omer, rezydencja rodu d'Artois

Droga do domu trwała prawie dwa miesiące. W listopadzie roku Pańskiego tysiąc dwieście siedemdziesiątego, po rokowaniach Karola Andegaweńskiego z emirem Tunisu, Muhammadem, zawarto rozejm i flota francuskich krzyżowców odbiła od wybrzeża tunezyjskiego. Robert d'Artois bez większych trudności uzyskał zgodę swego suwerena na zabranie ze sobą trojga jeńców. Krzyżowcy powracali do Francji okrętami pełnymi trumien. Zaraza zebrała swoje żniwo. Wielu dzielnych rycerzy straciło życie w siódmej wyprawie krzyżowej. Miejsca na pokładzie było dużo. Wśród trumien znajdowała się ta najważniejsza, z ciałem Ludwika IX Świętego – króla krzyżowca. Powrót do domu przebiegał spokojnie. Jako że krzyżowcom towarzyszyły szczątki króla, uczestnicy krucjaty wszędzie byli witani z szacunkiem. Robert, przez wzgląd na swój tytuł, nie mógł zbyt często pozwolić sobie na bliższe kontakty z jeńcami, mimo to nieliczne rozmowy z kobietą, którą uratował, sprawiły, że nie żałował podjętej decyzji.

– Dobrze was traktuje moja służba? – zapytał kiedyś. – Mam nadzieję, że dostajecie wystarczająco dużo jadła? Niebawem dotrzemy do moich ziem. Muszę się zastanowić, co dalej z wami zrobić.

– Jesteśmy jeńcami. Twoimi niewolnikami, panie. Jeśli wziąć pod uwagę naszą sytuację, tak, jesteśmy dobrze traktowani – odpowiedziała spokojnie.

– Mam nadzieję, że zgodnie z moim nakazem nie zdradziłaś nikomu, że mówisz naszym językiem?

– Nie, panie.

– Jak mam cię zwać?

– Jestem A'isza. Nadano mi to imię na pamiątkę ukochanej żony proroka Mahometa – powiedziała, stojąc pokornie przy wejściu do namiotu.

– A więc, A'iszo, usiądź. – Wskazał jej miejsce przy stole. – I cóż mam dalej z wami zrobić? Uratowałem niewierną kobietę i dwójkę jej niewiernych dzieci. W moim domu nie ma dla was miejsca. Jak sobie wyobrażasz, co z wami dalej będzie? Czego chcesz od losu? Jak sobie poradzisz, gdybym puścił was wolno?

– Nie wiem, panie – odrzekła cicho. – Nie wybiegałam myślami tak daleko. Mam dwadzieścia lat, całe życie spędziłam w haremie. Nigdy nie musiałam się troszczyć o siebie ani o moje dzieci. Nie wiem.

– No dobrze... – zastanawiał się Robert. – Opowiedz mi o swoim życiu. Jak to się stało, że ty, niewierna Arabka, mówisz po łacinie i po francusku?

– Znam jeszcze język angielski, panie – odrzekła z uśmiechem. – To prawda, rzadko zdarzają się u nas kobiety, którym dane jest otrzymać tak doskonałe wykształcenie.

– No właśnie. – Robert odchrząknął. – Nawet w naszej cywilizowanej Europie takie niewiasty to rzadkość. Jeśli w ogóle się zdarzają, to pochodzą ze szlachejnych i wybitnych rodzin. Kobieta

już ze swej natury nie jest zdolna pojąć spraw wyższych. Ja sam znam jedynie parę takich niewiast. Moja żona do nich należy. Jednak ona to zupełnie co innego niż ty. Pani Amicis pochodzi z wielkiego rodu, jest pobożną i bogobojną kobietą, która studiuje księgi boskie. Jej umysł pobłogosławił sam Bóg. Ale ty? Nie pojmuję tego.

– A któż ci powiedział, panie, że ja nie jestem szlachetnie urodzona? Mój ród wywodzi się od emirów, moim mężem był uczony ulem. Z całym szacunkiem, to bzdura, że kobiety nie są zdolne do takich samych wysiłków umysłowych jak mężczyźni. Już prorok Mahomet to dostrzegł. W jego pierwszej umie kobiety i mężczyźni mieli równe prawa. Moja imienniczka, A'isza, jego najmłodsza żona, przemawiała w jego imieniu, prowadziła modły i nawet towarzyszyła mu na polu bitwy!

– Hola, kobieto! – zirytował się Robert. – Ty mi tu takich rzeczy nie opowiadaj. Twój Mahomet był fałszywym prorokiem! Pytałem, jak ci się udało nauczyć cywilizowanej mowy, a ty mnie bezczelnie próbujesz zarazić swoją pogańską wiarą. Tego nie zniosę, jesteś moją branką, nie igraj ze śmiercią.

– Wybacz mi, panie, zagalopowałam się. – A'isza spuściła skromnie oczy. – Mój pan, ulem Umar, pozwolił mi uczyć się obcej mowy, czytania i chciał, abym studiowała święte księgi.

– Jak to możliwe? Jakie święte księgi? To ty znasz ewangelie? Nie jesteś niewierna, wyznajesz jedyne Boga? – zdziwił się Robert.

– Nie, panie – odparła cicho. – Studiowałam święty Koran, nie znam pism chrześcijan. Ale tak, wyznaję jedyne Boga, bo Koran nauczył mnie, że Bóg jest tylko jeden.

– Allah? – wyszczał ze złością.

– Nie jest ważne, panie, jakie imię Mu nadamy. Nadal będzie jedynym Bogiem.

– Milcz, kobieto! Nawet jeśli cię nie zabiję własnymi rękami, twoje herezje zawiodą cię na stos.

– Przepraszam – odpowiedziała wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy.

– Dlaczego twój mąż pozwolił ci na naukę, co takiego wyjątkowego dostrzegł w tobie?

– Nic, jestem zwyczajną kobietą. – Westchnęła. – To tylko szczęśliwy dla mnie przypadek. Ulem Umar Maliki miał piętnaście żon. Ja byłam najmłodsza, najmniej znacząca. Ożenił się ze mną nie z miłości bądź z żądzy, tylko dla interesu. Było ważne, aby moja rodzina dała mu swe wsparcie. Kiedy zostałam jego żoną, był już stary. Żądze cielesne opuszczały go powoli, wino, jadlo i kobiety traciły dlań znaczenie, natomiast rosło jego zainteresowanie ciekawą rozmową. Wszystkie żony ulema były piękne i ponętne, ja zaś byłam inna. Znajdowałam przyjemność w obcowaniu ze mną, stałam się jego zabawką. Cieszył się jak dziecko, że może mi pokazać rzeczy ważniejsze od błyskotek i strojów. Cieszył się, że go słucham i rozumiem. Właściwie wychował mnie sobie na towarzyszkę rozmów i rozrywek umysłowych. W moim świecie, w świecie kobiet haremu, stałam się nieporozumieniem, dziwadłem. Ulem tylko trzy razy wezwał mnie do swego łóża. Owocem trzeciego z tych spotkań była moja córka Mahaut. Z niej zresztą też uczynił sobie zabawkę, tylko inną.

– Jak to? – Opowieść A'iszy zaciękała Roberta.

– Ulem Umar eksperymentował z kobietami. Chciał udowodnić, że nie są zdolne do czynów, które tylko mężom przystoją. Ja byłam eksperymentem umysłu. Jakże go zawiodłam. Nie uzyskałam swojego dowodu. Okazało się, że jestem w stanie zrozumieć wszystkie te skomplikowane idee, których tak wielu mężczyzn pojąć nie mogło. Dlatego zabrał mi córkę i postanowił powtórzyć z Mahaut doświadczenie. Tylko tym razem nie chodziło o ćwiczenie umysłu. Mahaut została wychowana jak chłopiec. Uczono ją sztuki walki, nieustępliwości i tego,

jak być bezlitosną. Próbowałam ją odzyskać. Nie udało się. Za karę ulem rozkazał swoim sługom mnie zniewolić. Mój syn nie jest jego synem, wtedy Umar nie był już w stanie spłodzić syna. Uznał go za swego, bo to chłopiec, ale kiedy nas zostawił na śmierć, porzucił również Abdula, bo przecież żadna więź krwi go z tym dzieckiem nie łączyła.

– Mówisz, jakby to wszystko działo się w dalekiej przeszłości. Ale przecież twoje dzieci są jeszcze małe. Ile one mają lat, nie więcej niż trzy, cztery?

– Abdul nie ma jeszcze roku, to prawda – odparła. – Powinien nadal pić mleko mamki. Ale mylisz się, panie, co do Mahaut. Moja córka ma siódmy rok. To wiek, w którym u nas synowie wyruszają na wyprawy z ojcami. Mahaut wygląda na małą i bezbronną, lecz uwierz mi, ona nie jest taka. To cud, że cię nie zabiła. Nie byłby to pierwszy raz. Nie wiem, dlaczego zdecydowała się mnie posłuchać. Czasami myślę, że to dziecko mną pogardza.

– No dobrze, A'iszo. Powinnaś już odejść. Twoja zbyt długa obecność w moim namiocie może wzbudzić niepotrzebne plotki. Wracaj do dzieci. Zastanowię się jeszcze, co z wami zrobię.

Po tej rozmowie Robert d'Artois wysłał długi list do swojej żony, szlachetnej pani Amicis. Odpowiedź przyszła po trzech dniach i nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Mój ukochany Robercie, mężu i dobroczyńco,

bardzo dobrze uczyniłeś. Nie zastanawiaj się dłużej. Przywieź te zagubione dusze do naszego domu. Nie troskaj się, nie będziesz miał z nimi kłopotu. Sama przyjmę je pod swój dach. Wychowam te dwie młodziutki istotki na dobrych chrześcijan. Nie ma nic szczytniejszego niżli zwrócić zagubione duszyczki Bogu. A Twojej poganki samam ciekawa. Uczynię ją swą sługą, aby uciszyć ludzkie języki. Jej wiedza zaś, choć fałszywa, może i mnie pomóc w mych studiach. Niezbadane są wyroki Pana, może po to postawił tych troje na Twojej drodze, aby nasze ścieżki się zeszyły. Niechaj więc będzie tak, jak w potrzebie wymyśliłeś. Ci niewierni są podarkiem dla Twej żony, która takiego daru sobie życzyła i przysięgę na Tobie wymogła.

Niech Bóg ma Cię w swej opiece.

Twa oddana służka

Amicis Joselyn de Courtenay, hrabina d'Artois

Ostatni dłuższy popas przed powrotem do Saint-Omer hrabia Robert II d'Artois zarządził w Reims. Wynajął dla swoich ludzi gospodę na obrzeżach miasta. Zima tego roku była wyjątkowo siarczasta. Ludzie wyczekiwali już z utęsknieniem domu, ale ich siły wycieńczone wielomiesięczną tułaczką, nie do końca wyleczone afrykańskie choroby i zimny, przenikliwy wiatr wymusiły ów końcowy postój. A i konie nie najlepiej znosiły kłujące lodowe igiełki, które ten wiatr niósł ze sobą, tak więc wszyscy potrzebowali odpoczynku.

Trójkę niewolników hrabiego zakwaterowano w stajniach, ze służbą i końmi. Służący już dawno przestali się interesować Arabką i jej dziećmi. Przestali również jej się obawiać. Od dnia, kiedy A'iszę na rozkaz Roberta uwolniono od kajdan, starała się być pomocna służbie jak tylko to możliwe. Wyglądało na to, że nawet ją polubili. Ta milcząca kobieta okazywała tyle czułości swojemu małą synkowi. Ktoś, kto ma w sobie taką miłość, nawet jeśli jest niewierny, nie może być tak całkiem zły. Mały Abdul, którego służba przechrzczyła już na Filipa, był uroczym ciekawskim malcem i przypominał ludziom własne dzieci pozostawione w domach. Tylko Mahaut nie zaskarbiła sobie sympatii otoczenia. Zachowywała się co prawda spokojnie, nikogo nie drażniła i posłusznie wykonywała polecenia, jakie jej wydawano, jednak w jej oczach czaiło się coś tak dzikiego, że każdy, kto na nią spojrział, szybko odwracał wzrok, czyniąc ukradkiem

znak krzyża, by się uchronić od złego.

Drugiego dnia postoj synek A'iszy zachorował. Dostał wysokiej gorączki i wymiotował. Młoda niewolnica pielęgnowała go sama, kołysząc i tuląc, ale kiedy wieczorem krzyki chorego dziecka zaczęły niepokoić konie, jeden z pacholków postanowił donieść o całej sprawie hrabiemu. Robert polecił przyprowadzić A'iszę. Odprawił służbę i zwrócił się półgłosem do kobiety.

– Witaj, A'iszo – powiedział cicho. – Doszły mnie wieści, że twój syn choruje. Poradzisz sobie z tym sama? Macie wystarczająco jadła? Moi ludzie dobrze was traktują?

A'isza przypadła z płaczem do jego stóp.

– Panie, niczego nam nie brakuje – szlochała. – Tylko ja jestem złą matką. Nie wiem, jak mam pomóc mojemu biednemu Abdulowi. Nigdy nie było mi dane móc się nim opiekować. Moim zadaniem było służyć memu panu, zabawiać go rozmową i tańcem. Synka odebrano mi zaraz po narodzeniu. To mamka go wykarmiła, nie ja. Ona wiedziałaby, jak mu pomóc. Ulem sprowadziłyby do niego medyków. Ja nie wiem, co zrobić. Abdul już dawno płakał za mlekiem mamki. Szukał go w mojej piersi, ale nie znalazł. Z trudem udało się go przekonać do chleba i wody. A teraz się rozchorował i nie mam pojęcia, co mu jest.

– Nie wiem, jak ci pomóc, kobieto – zastanawiał się Robert. – Nie znam się na dzieciach, nie mam własnych. A jeśli sprowadzę medyka do niewolnicy, będzie to bardzo źle widziane. Służba nie potrafi ci pomóc?

– Stary koniuszy mówi, że to od mrozu – wychlipała A'isza. – Ale w stajniach jest ciepło, a jeszcze ogrzewam go przecież własnym ciałem. Trudno mi w to uwierzyć.

– No dobrze. – Robert westchnął. – Przynies dzieciaka do mojej komnaty. Zaraz nakazę gospodarzowi nagrzać wina. Napoimy go i będzie spał u mnie przy kominie. Zabierz parę derek ze stajni i zrób mu tu posłanie. Rano się okaże, czy koniuszy miał rację. Dzieciaka trzeba zabrać ze stajni, bo wierzchowce płaczem niepokoi.

Zrobiła, jak kazał. Ubłagała jedynie, aby Robert pozwolił jej się położyć przed drzwiami jego komnaty, jak najbliżej synka. Chciała słyszeć, gdyby mały w nocy płakał. Hrabia zgodził się, nie odesłał jej do stajni, do służby.

Około północy dziecko obudziło się i zaczęło kwilić. Robert pochylił się nad chłopczykiem i przyłożył dłoń do jego czoła. Gorączka opadła, ale dziecko trzeba było napoić i utulić. Wziął je ostrożnie w ramiona, a wtedy mały zaczął płakać głośniej. Odłożył go delikatnie i podrapał się z zastanowieniem po torsie. Następnie otworzył drzwi swojej komnaty. Nie musiał budzić A'iszy. Nie spała, stała wyprostowana i patrzyła mu z niepokojem w oczy.

– Jest gorzej? Wino nie pomogło? – spytała z przestachem.

– Pomogło – odpowiedział z uśmiechem. – Wejdz, A'iszo. Gorączka spada, ale musisz go uciszyć i napoić. Ja się na tym nie znam. Zajmij się synem, zostaw go tutaj, a potem wracaj do służby. Jutro będzie lepiej, niech mały się wyśpi w ciepłe, w mojej komnacie. Jutro rano przyjdź po niego. Nie martw się, dziecko wyzdrowieje.

– Dziękuję ci, panie. – A'isza przypadła twarzą do podłogi u jego stóp. – Dziękuję ci za życie moje i moich dzieci. Dziękuję ci za ratowanie mojego synka. Dziękuję ci, panie, za twą dobroć – mamrotała jak modlitwę.

– No już, przestań. – Robert chwycił ją za ramiona i uniósł z podłogi. – Zajmij się dzieckiem, a potem idź. Dzień był długi, idę spać. Dobranoc. Ucisz dzieciaka, zanim całą gospodę zbudzi – mruknął i wrócił do łóża. Chwilę później już spał.

A'isza uspokoiła płaczącego synka. Napoiła chłopca ciepłym winem, podgrzanym w kominku.

Opatuliła go derkami i wilczą skórą, którą wcześniej zapobiegliwy Robert otulił dzieciaka. Potem usiadła cichutko przy malcu i zapatrzyła się w ogień. Kiedy Abdul usnął, podjęła decyzję. Wstała i bezszelestnie wysunęła się z grubych łąchmanów, otrzymanych od służ Roberta. Naga zbliżyła się do jego łoża i wsunęła pod ciepłe derki obszyte wilczym futrem, które okrywały ciało jej pana. Mocno przyłgnęła piersiami do jego pleców.

Robert wymamrotał coś przez sen i odwrócił się na wznak. Wyczuła dłońmi jego sztywniejącą męskość i bez wahania, jednym zręcznym ruchem dosiadła go, a potem zaczęła się rytmicznie poruszać. Znieruchomiał. Leżał tak chwilę, całkowicie rozbudzony, lecz nadal z zamkniętymi oczami. Wreszcie otworzył oczy i spojrzał na A'iszę. Napotkał jej spojrzenie pełne uniesienia i wdzięczności. Uśmiechała się do niego, przyśpieszając ruchy bioder, i gładziła go delikatnie po torsie. Robert patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Miał rozrzucone ręce, palce gorączkowo zacisnął na lnianym sienniku. Nagle krzyknął bezgłośnie i mocno objął swymi silnymi dłońmi rycerza jej biodra. Przycisnął ją do swoich ud. A'isza westchnęła głęboko i opadła na jego tors. Jej ciało drgało spazmatycznie. Po chwili ich oddechy się uspokoiły. Robert ujął ją za ramiona i posadził wyprostowaną na swoim brzuchu. Patrzyła mu bez słowa w oczy.

– A'isza? – spytał poważnie. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Chciałam ci podziękować, panie – szepnęła. – Dziękuję ci najlepiej, jak potrafię.

– Jak śmiałaś to uczynić?! – jęknął. – Jestem rycerzem, szlachcicem, człowiekiem żonatym!

– Wiem, panie, wybac! – Zsunęła się z niego z kocią gracją i przycupnęła na brzegu łoża, w żaden sposób nie próbując ukryć swej nagości, dumna, wyprostowana, pewna siebie. – Niczego nie oczekuję. Nikt nigdy się nie dowie o tym, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, jeśli taka jest twoja wola. Stałam się twoją niewolnicą, moje ciało i tak należy do ciebie i możesz z nim robić, co ci się podoba. Dzisiaj chciałam ci jedynie pokazać, że moja dusza również do ciebie należy. Dziękuję ci, panie, za wszystko. Należę do ciebie i jestem ci winna dożgonną wdzięczność.

– Kobieto! Co ty mówisz? – zaprotestował. – Nie jesteś żadną niewolnicą. A jeżeli już, to jesteś niewolnicą mojej żony. Zamierzałem cię odesłać, puścić wolno zaraz po zejściu z okrętu. Nie chciałaś. Tylko życzenie mojej Amicis sprawiło, że zabrałem cię ze sobą. Moja rodzina jest szlachetna i bogobojna. My nie trzymamy niewolników, nawet jeśli są mahometanami. Musisz odejść. To się nie może nigdy powtórzyć.

– Nie odprawiaj mnie, panie. – A'isza pochyliła głowę. – Będzie tak, jak sobie życzysz. Jeśli tego pragniesz, już nigdy się nie poważę dotknąć twego ciała. Jeśli chcesz, będę co noc leżała w twoim łożu powolna twej woli, jako twoja niewolnica. Pierwszy raz w moim życiu ktoś okazał mi tyle dobroci. Od naszego pierwszego spotkania ty widziałeś we mnie człowieka, nie rzecz. Błagam cię, panie, nie odprawiaj mnie. Będę już zawsze posłuszna twojej woli. – A'isza rozplakała się żałośnie.

Wyciągnął rękę w jej stronę. Wtuliła się twarzą w otwartą dłoń jak mały bezbronny psiak. Przytulił ją i bezwiednie zaczął całować jej włosy. Potem jego usta osunęły się na jej szyję i niżej na krągłe, ciepłe piersi kobiety. Z oddaniem poddawała się każdemu jego dotknięciu, z namiętnością oddawała pocałunki. Po chwili kochali się ponownie, powoli i leniwie. Teraz pragnienie połączenia się wypełniało ciała ich obojga.

Za oknami zaczynało świtać. Słysząc było parskanie koni, gospoda budziła się ze snu. Robert ujął w dłonie twarz A'iszy.

– Ubierz się i wracaj do stajni – powiedział łagodnie. – Za parę godzin wróc po dziecko.

– Nie odprawisz mnie, panie? – zapytała z nadzieją w głosie, śpiesznie wkładając swe

łachmany.

– Nie – odparł spokojnie Robert. – Pojedziesz ze mną do Saint-Omer, jako mój dar z wyprawy krzyżowej dla Amicis d’Artois. Wywiążę się z obietnicy, którą jej dałem.

– Dziękuję, panie – szepnęła.

– Nie dziękuj – odpowiedział cicho. – I, A’isza...

– Tak, panie? – spytała.

– Nigdy, przenigdy nie wchodź niezaproszona do mego łóża. Kocham swą żonę. Tej nocy nigdy nie było. Rozumiesz?

– Tak, panie – powtórzyła i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi komnaty.

Robert d’Artois przeciągnął się, rozkładając szeroko ramiona. Dłonią wyczuł na sienniku ulotne ciepło jej ciała. Chłopiec spał spokojnie przy dogasającym ogniu kominka. Robert wstał z łóża. Jego stopy dotknęły chłodnej kamiennej podłogi. Nie, teraz już nie uśnie. Włożył koszulę, narzucił na ramiona pelerynę obszytą futrem i usiadł przy stole.

Jego myśli błądziły wokół minionej nocy. Nie zamierzał zostać mnichem, nie ślubował czystości. To nie było również tak, że nigdy nie miał kobiety. Był młodym, zdrowym mężczyzną. Fakt, że żona nie dzieliła z nim łóża, nie oznaczał, że jego ciało nie domagało się zaspokojenia żądzy. Zarówno on, jak i Amicis zdawali sobie z tego sprawę. Co prawda nie poruszali tego tematu w późniejszych rozmowach, ale przynajmniej tamta jedna, istotna, parę lat temu, jasno określiła stanowisko jego żony i jednocześnie dała mu pełną swobodę w intymnych stosunkach z innymi kobietami. Teraz, jak żywe, powróciło doń wspomnienie owej jedynej rozmowy z żoną.

– Wiesz, Robercie – powiedziała Amicis. – Wiem, że to niemądre, ale czasami czuję się tak, jakbym była ci niewierna. A najdziwniejsze w tym wszystkim jest, że niekiedy nachodzi mnie myśl, jakbym postępowała niegodnie, jakbym cię zdradzała.

– Co ty mówisz, Amicis? – zdziwił się wtedy. – Nie rozumiem. Od roku, od kiedy przeniosłaś się do swych komnat i dobrowolnie w nich zamknęłaś, jedynym mężczyzną, ba, jedynym człowiekiem, którego prócz mnie widzisz, jest opat. Czyżbyś chciała mi wyznać, że nasz świątobliwy wiekowy kapłan jest żwawym amatorem czci niewieściej? – roześmiał się, sam w to nie wierząc.

– Przestań – odrzekła. – Zwodzisz me myśli na ścieżki, na których wcale nie chcą się znaleźć. Nie, mój drogi, oczywiście, że cię nie zdradziłam nigdy ani ciałem, ani nawet myślą. To wrażenie, które niekiedy mnie nawiedza, to poczucie winy nie ma żadnego realnego uzasadnienia. Widzisz, tu nie chodzi o cielesne grzechy. Bardziej o grzechy ducha, nawet nie myśli. Jestem wierna tylko Bogu, jestem Jego oblubienicą. A jednocześnie mam męża z krwi i kości, i to na dodatek potomka starej rodziny, którego obowiązkiem jest spłodzić spadkobierców, by kontynuowali ową chwałę jego przodków. Wszak jesteś hrabią d’Artois. Zdajesz sobie sprawę, że w końcu kiedyś musisz mieć dzieci?

– Amicis, ale ty jesteś jedyną kobietą, z którą chciałbym mieć potomstwo – powiedział łagodnie. Nadzieja zapukała nieśmiało do jego serca. – Czyżbyś...? Zmieniłaś zdanie? Czy ponadroczne odosobnienie udowodniło ci, że życie zakonnicy nie jest jednak twoim przeznaczeniem? Czy jest szansa, że wreszcie będziesz mi żoną, nie tylko duszą i umysłem, lecz że będziesz nią również ciałem?

– Nie, Robercie. – Amicis spuściła oczy. – Mój wybór był właściwy. Należę do Boga, umysłem, ciałem i duszą. Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, obrońcą i dobroczyńcą. Przyjęłam twoją ofertę, bym pozostała pod twym dachem, myśląc jedynie o swoich korzyściach.

Było to okrutne z mej strony, że nie pomyślałam o tobie. Dlatego ponawiam swą prośbę sprzed roku. Oddal mnie, mężu. Zażądaj unieważnienia ślubu.

– Nie, Amicis – odparł ponuro. – Nie będziemy do tego wracać. To mój wybór i moje życzenie, abyś żyła przy mnie jako prawowita małżonka. Czyżbyś była niezadowolona ze swojej sytuacji? Dostałaś wszystko, o co prosiłaś. Szanuję twoją potrzebę odosobnienia, dwór jest tak urządzony, że ją masz. Szanuję twoje życzenie zachowania czystości, nigdy nie dotknąłem cię jak kobiety. Spełniłem twoje marzenie, byś mogła zgłębiać wiedzę o Bogu i umacniać swą wiarę. Masz osobną kaplicę, opata na każde wezwanie i księgi, o jakich tylko sobie zamarysz. Wypełniam twoje prośby, lecz pod jednym warunkiem. Chcę móc cię widywać i mieć prawo z tobą rozmawiać. Czy to za dużo, czy i tego chcesz mi odmówić?

– Ależ skąd! – Podniosła się gwałtownie z krzesła i zaczęła się tłumaczyć, nerwowo skręcając w dłoniach zakonny welon. – Dlaczego nie chcesz tego pojąć?! To nie o mnie chodzi, tylko o ciebie! Lepszej sytuacji niż moja nie można sobie wyobrazić! Ale co z tobą?! I to nie tylko z twymi powinnościami wobec rodu d’Artois! Z tobą jako mężczyzną, młodym, silnym i pełnym werwy, który ma swoje potrzeby. Jesteś prawy i uczciwy, nigdy nie narazisz mego imienia na szwank. Nie znam bardziej lojalnego człowieka niż ty. Jednak nie mam prawa oczekiwać od ciebie tak wielkiego poświęcenia. Czuję się, jakbym cię zdradzała z Bogiem. Wiem, że to bluźnierstwo, nie przerywaj. Ja nie mam, nie znam tych potrzeb – zająknęła się, spuściła oczy i opadła z powrotem na krzesło. – Ja mam powołanie do służby Bogu, ale nie wierzę, że ty nie odczuwasz potrzeby cielesnej bliskości kobiety... – Jej policzki i szyja zaczerwieniły się z zażenowania.

– To prawda. – Popatrzył na nią z ciekawością. Nie mógł jej teraz niczego ułatwić. Wszystkie możliwe rozstrzygnięcia należały wyłącznie do niej. On był rycerzem i całe swoje dotychczasowe życie poświęcił, aby jej dowieść swojej uczciwości. – Moim powołaniem jest życie rycerza i głowy rodu d’Artois. Jestem tylko człowiekiem, Amicis, i ludzkie, cielesne żądze nie są mi obce. Jednak jestem również twoim mężem i wierz mi, nigdy ci nie uchybię. Będę bronił twojej czci jak swojej własnej.

– No właśnie. – Westchnęła. – Najprościej by było, gdybyś mnie oddalił i pojął za żonę inną kobietę, która dałaby ci wszystko, na co zasługujesz. Szacunek, miłość, swoje ciało i potomstwo.

– Nie twierdzę, że nie chcę miłości i potomstwa, i całej reszty, moja droga. Kłopot jednak w tym, że chcę tego wszystkiego jedynie od ciebie, ty zaś nie możesz mi tego dać. I co teraz? – zapytał, wzruszając ramionami.

– Widzisz, dużo o tym rozmyślałam. Rozmawiałam nawet z opatem. Nie oburzaj się, proszę, i wysłuchaj mnie spokojnie. Myślę, że byłoby rozwiązanie. – Spojrzała na niego z mieszaniną nadziei i obawy. – Gdyby tak się zdarzyło, że spłodziłybyś potomka z inną kobietą, a to przecież nic hańbiącego, wielu rycerzy ma bękartów, to ja mogłabym uznać to dziecko za swoje. Byłoby z twoich lędźwi, ja zaś wychowywałabym je jak matka... No i nadal byłabym twoją żoną dla świata, zgodnie z twym życzeniem...

– Amicis... – Przyglądał jej się uważnie. – Wiesz, że aby spłodzić potomstwo, musiałbym obcować cielesnie z inną kobietą?

– No oczywiście, że wiem – obruszyła się. – Nie jestem aż tak naiwna, wiem, skąd się biorą dzieci. I właśnie o to chodzi. Nie tylko o to, żebyś miał potomstwo, lecz o to, żebyś obcował... – Zasłoniła usta dłonią, spuściła oczy. Plama czerwieni z jej policzków rozlała się szeroko na szyję i niżej, tam, gdzie dekolot osłonięty był szarym habitem.

– I nic by ci to nie przeszkadzało? – Robert świadomie ją dręczył. – Będę leżał w łóżu z inną,

będę ją całował, połączę się z nią. Będę cię zdradzał, będę...

– Przestań! – przerwała mu gwałtownie. – Nie musisz mi dokładnie tego opowiadać. Ta sfera ludzkiego żywota mnie nie ciekawi i nie pociąga. Wiem, co będziesz robił. Nie zdradzisz mnie, bo zdradą jest świadome okłamywanie drugiej osoby. A ja nie tylko wiem, co nastąpi, ale daję ci wręcz na to swe błogosławieństwo. Prawem boskim jest, aby ludzie się łączyli i rozmnażali. Zacznij w końcu żyć pełnią życia, Robercie, proszę.

– Amicis, a co będzie, jeśli pokocham kobietę, z którą będę obcować?

– Jeśli tak się stanie, to z woli Boga. Wtedy mnie odprawisz i pojmiesz ją za żonę. Ja zaś pójdę za kratę klasztorną, co już powinno było nastąpić lata temu.

– No dobrze! – Roześmiał się, patrząc kpiąco w jej oczy. – Zrozumiałem wszystko, co mi chciałaś powiedzieć, moja ty uparta żono nie żono. Nie troszcz się więcej o moje potrzeby, żyję pełnią życia i żyć będę, zgodnie z twoim życzeniem. I nie martw się. Nawet jeśli będę mieć kiedyś potomstwo z łona innej kobiety niżli ty, to na pewno nikogo nigdy nie pokocham tak jak ciebie.

Ogień w kominku wygasł, w komnacie zaczynało się robić zimno. Wspomnienie tamtej rozmowy odpłynęło, a myśli Roberta zajęły wydarzenia z dzisiejszej nocy. Miał już dużo kobiet, wszystkie niskiego stanu, w większości były to sprzedajne dziewczki. Z paroma obcował wielokrotnie. Pieniądze gwarantowały mu anonimowość i wysokie umiejętności ładacznic. Dzieci, z tego, co mu było wiadomo, nie spłodził żadnych. Pewnie dlatego, że kobiety sprzedajne doskonale wiedzą, jak się zabezpieczyć przed niechcianymi dziećmi. To by im popsuło zarobek.

No tak, nierządnicę... Żadna z nich nigdy nie zajmowała jego myśli. Obcował z nimi tak, jakby zaspokajał głód. Któż z nas rozważa smak pożywienia, które już dawno przetrawił? Te kobiety były dla niego jak posiłek, zaspokajały fizyczną potrzebę i nic więcej. Miłością prawdziwą i głęboką darzył jedynie Amicis. To z nią czuł więź, porozumienie dusz. Wszystkie inne były mu obojętne. Aż do dzisiaj. Nie, oczywiście, że się nie zakochał w A'iszy. Jednak mimo to ta noc była wyjątkowa. A A'isza była do tej pory jedyną oprócz Amicis kobietą, która zajmowała jego myśli. Była inna, miała w sobie coś takiego, że nie mógł przestać o niej myśleć.

Hrabia d'Artois wrócił z wyprawy krzyżowej do swoich włości tuż przed Bożym Narodzeniem roku Pańskiego tysiąc dwieście siedemdziesiątego. Troje niewolników Roberta, A'iszę i jej dzieci, jeszcze tego samego wieczora zaprowadzono do komnat hrabiny Amicis. Już to pierwsze spotkanie wyznaczyło ramy dziwnej i niezrozumiałej dla reszty mieszkańców zamku relacji między bogobojną i cnotliwą panią zamku a pogańską branką.

A'isza, wprowadzona przed oblicze hrabiny, już prawie w progu padła na kolana, pociągając za sobą dzieci. Okazało się jednak, że klęczy w kompletnie pustym pomieszczeniu, które stanowiło jedynie komnatę oczekiwania dla wszelkich tych, którzy pragnęli zobaczyć panią Amicis. Po paru długich minutach A'isza, która nie wiedziała, czego ma oczekiwać, podniosła się, wzięła na ręce synka i ignorując różnorodne ławy, wręcz zapraszające do spoczynku, stanęła dumnie wyprostowana, z Abdulem w ramionach i Mahaut, kryjącą się z tyłu. Długo musiała czekać. Po prawie godzinie otworzyły się drzwi prowadzące do pozostałych pomieszczeń i pojawił się w nich Robert hrabia d'Artois.

– A'isza – powiedział miękko, a w jego oczach błysnęła łagodny cień uśmiechu.

Od owej wspólnej nocy widywała go jedynie w towarzystwie ludzi należących do jego

orszaku, Robert nie odzywał się do niej nigdy, ale ten nikły, ciepły uśmiech zawsze jaśniał w jego oczach.

– Od tej chwili, A’iszo, należysz do dworu mojej żony – oznajmił. – W tych komnatach nikt cię nie będzie oglądał i nikt cię nie usłyszy. Hrabina Amicis żyje w odosobnieniu, a jej jedyną towarzyszką jest Henrietta, szlachcianka, która ślubowała milczenie. Teraz już nie musisz kryć się ze znajomością naszej mowy. Pani Amicis zdecyduje, gdzie cię umieści i jakie będą twoje dalsze losy. Bądź z nią szczerą, nigdy jej nie okłamuj i służ jej wiernie. To święta kobieta.

Obejrzał się nerwowo na zamknięte drzwi za sobą i dodał szeptem:

– A o tej jednej nocy, gdy twój syn zachorował, milcz! To rozkaz. – Spojrzał na nią surowo. – A teraz – zakończył już normalnym głosem – zaprowadzę cię przed oblicze twojej pani.

Amicis siedziała przy długim drewnianym stole zastawionym niewielką ilością prostego jadła. Podniosła się, gdy weszli. A’isza padła na kolana, dzieci posłusznie zrobiły to samo za jej plecami. Hrabina d’Artois podeszła do nich szybkim krokiem i ujęła młodą Arabkę za ramiona.

– Wstań, dziewczyno! Nie trzeba. W tych murach nie musisz przed nikim padać na kolana. Jedynym, który takiej czci jest godny, jest nasz Pan Bóg Wszechmogący. – Pociągnęła A’iszę w górę, a następnie przyjrzała jej się uważnie. – No, wcale nie takie dziecko z ciebie. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. – Hrabia d’Artois dużo mi o tobie opowiedział, ale teraz chcę wszystko usłyszeć od ciebie samej, zanim postanowimy, co dalej zrobić.

A’isza milczała, uważnie obserwując swoją panią.

– Dziękuję ci, Robercie. Wypocznij teraz, mój panie – zwróciła się Amicis do męża. – Dziękuję za twój dar, dobrej nocy. Zobaczymy się jutro.

Robert dwornie skłonił się przed małżonką i z szacunkiem ucałował jej dłoń.

– Dobrej nocy, pani. – Skłonił się powtórnie i opuścił komnatę.

Kobiety pozostały same z dziećmi.

– Nazywasz się A’isza, prawda? – zapytała hrabina. – Mąż mi powiedział, że doskonale porozumiewasz się naszą mową, to prawda?

– Tak, pani – szepnęła A’isza z wzrokiem wbitym w podłogę.

Nie wiedziała, czego ma oczekiwać po tej obcej kobiecie, która teraz była panią jej życia i śmierci, a co ważniejsze, panią losu jej dzieci.

– Nie obawiaj się niczego, moja droga. Nic złego cię tu nie spotka. Usiądź ze mną przy stole, porozmawiajmy – powiedziała ciepło Amicis. – Dzieci pewnie są głodne. Takie malutkie, czy one potrafią aby same jeść?

– Tak, pani – odpowiedziała już śmielej A’isza. – Mahaut jest drobna, ale ma siedem lat. Jest bardzo opiekuńcza wobec braciszka, zaraz się nim zajmie.

Spojrzała na córkę i poleciała coś szybko po arabsku. Dziewczynka pociągnęła malca za rączkę i przykucnęła z nim przy ścianie w kącie.

– Nie, nie – zaprotestowała Amicis. – Chodźcie, dzieci, do stołu. – Odwróciła się do Mahaut. – Najedzcie się, a potem znajdziemy wam miejsce do wypoczynku.

Mahaut popatrzyła uważnie na matkę. A’isza skłoniła się przed małżonką Roberta.

– Pani, dzieci dostały już dziś pożywienie. Niczego im nie brakuje. Będą cichutko siedziały w kącie, nawet nie zauważysz ich obecności – zapewniła hrabinę.

– One mnie nie rozumieją, prawda? – spytała Amicis.

– Niewiele – odparła A’isza. – Abdul dopiero uczy się w ogóle mówić, a Mahaut zna tylko arabski. Ale jest bardzo zdolna. Już w czasie podróży przez Europę poznała parę francuskich i łacińskich słów. Jednak tego wszystkiego, co mówiłaś, pewnie nie rozumiała. Czeka na moje

polecenia.

– To w takim razie powiedz jej, żeby usiadła z braciszkiem przy stole i go nakarmiła – zarządziła Amicis. – Dostaliście jadło po przyjeździe, wiele godzin temu. Teraz jest wieczór i na pewno dzieci są głodne. Na wieczerzę jest chleb i ser. Niech jedzą, ile dusza zapagnie. My zaś usiądziemy sobie w drugim końcu stołu i porozmawiamy.

A'isza patrzyła zdziwiona na hrabinę. Czegoś tu nie mogła pojąć. Amicis była wielką damą, hrabiną d'Artois, to prawie jak żona emira. A ona, A'isza, jest nikim, niewolnicą, służką. Podczas podróży przez Europę zdążyła zaobserwować, co oznacza różnica stanów. Żaden służący nie ośmieliłby się usiąść przy pańskim stole, ta kobieta zaś nie tylko poleciła jej zająć miejsce u swego boku, ale też posadziła koło siebie dzieci niewolnicy. Przez chwilę A'isza sama nie była pewna, czy dobrze rozumiała.

– Wybacz mi, pani, moją śmiałość – spytała, by się upewnić. – Dzieci mają usiąść przy stole?

– Tak. – Amicis stanowczo kiwnęła głową. – I wytłumacz córce, że ma uważnie słuchać, co do niej mówię, i starać się zrozumieć moje słowa. W końcu im szybciej oboje nauczą się porozumiewać po francusku, tym prostsze będzie ich życie.

A'isza posłusznie ukloniła się i po arabsku wydała polecenie Mahaut. Ta podniosła się niechętnie, sztywno skłoniła przed hrabiną i dumnie patrząc jej prosto w twarz, powiedziała chrapliwie:

– *Merci, madame*, dzięki, pani.

Ton, którym zostały wypowiedziane te słowa, był jednak tak pełen nienawiści, że zaskoczona Amicis drgnęła. W ułamku sekundy opanowała się jednak i ruchem ręki zaprosiła A'iszę do stołu.

– Jedz, moja droga. – Sama nalała wody z dzbanka do kielicha i podała go Arabce. – Nie przeszkadza ci, że w czasie posiłku będziemy rozmawiały?

A'isza w osłupieniu pokiwała przecząco głową.

– Dobrze – ucieszyła się Amicis. – Nalegałam, żeby hrabia przywiózł was do Saint-Omer, bo opisał mi w listach twą tragiczną historię. Uznałam, że twoje życie było już wystarczająco ciężkie, dlatego postanowiłam ci pomóc i może, z czasem, zwrócić wasze niewierne serca do Boga. Ale to potem. Mamy dużo czasu przed sobą. Robert powiedział mi, że interesują cię księgi. Prawda to? Umiesz czytać po łacinie? Och, opowiadaj, chcę wszystko o tobie wiedzieć!

– Umiem czytać i pisać, pani – odpowiedziała A'isza już nieco spokojniejsza. – Po arabsku, łacinie i francusku. Miałam bardzo dobrych nauczycieli. Pobierałam nauki od europejskich niewolników ulema i od niego samego. Trochę rozumiem również język angielski, ale nie tak dobrze jak pozostałe. Ulema z czasem znudziło kształcenie mnie. Byłam jego uczennicą od momentu mojego zamążpójścia w wieku ośmiu lat.

– Ulem to był twój mąż? – upewniła się Amicis.

– Tak, pani – potwierdziła Arabka.

– To musiał być wspaniały człowiek, skoro postanowił wykształcić żonę. Zapewne wasze małżeństwo było umową wielkich rodów, skoro tak wcześnie zostałam poślubiona. Ze mną też tak było. – Roześmiała się. – Wyszłam za mąż jako dwunastolatka, a hrabia był w tym samym wieku. Nie wpadł na pomysł, żeby mnie kształcić, to przyszło później i było tylko moją własną wolą. Mój mąż jest cudownym człowiekiem, ale jakoś nie rozumie, po co kobietom wiedza. No cóż, za to ma dobre serce i wiele innych zalet. Twój mąż pewnie był starszy, bardziej doświadczony. Ale też musiał być wspaniałym człowiekiem, skoro postanowił wykształcić żonę. Kochałaś go bardzo? – zapytała z ciekawością.

– Nie, pani. – Twarz A’iszy poszarzała. – Nie kochałam. Należałam do niego. Byłam jego własnością, jego rozrywką. Niewolnicą.

– Jak to? Nie rozumiem – zdziwiła się hrabina. – Niewolnicą? Myślałam, że byłaś jego żoną. Kto kształci niewolnicę? Służba ma wypełniać polecenia! Opowiedz mi więcej, dziwne to wszystko.

– Ulem Umar Maliki był uczonym teologiem na dworze emira Tunisu. – A’isza posłusznie rozpoczęła swoją opowieść monotonnym głosem. – Miał wiele żon...

Rozmowa ciągnęła się jeszcze długie godziny. A’isza opowiadała o swoim życiu w haremie, o arabskich zwyczajach, o całym tym egzotycznym świecie tak obcym hrabinie d’Artois. Abdul usnął na swoim krześle, wtulony w ramię siostry. Mahaut długo siedziała nieruchomo, obejmując chłopca i wsłuchując się w szemrzące głosy kobiet. Dopiero pukanie do drzwi uświadomiło im, jak późno się zrobiło. Do komnaty weszła starsza kobieta w zakonnym habicie.

– O, Henrietta! – Amicis oderwała się od fascynującej rozmowy. – Dobrze, że jesteś, przyjaciółko. Pewnie czas na wieczorną modlitwę. Nie zauważyłam, kiedy minęły te godziny. Dobrze, dobrze, już idę.

Spojrzała z zastanowieniem na Arabkę.

– Albo nie. Zrobimy inaczej. A’iszo, pójdziecie z nami. Moje życie jest bardzo monotonne i przebiega według ścisłych reguł. Modlimy się w kaplicy rano, w południe i wieczorem. Teraz jest pora wieczornej modlitwy. Życzę sobie, żebyśmy poszły do kaplicy razem. – Pochwyciła pytający wzrok kobiety. – Nie obawiaj się, niczego od was nie oczekuję. Usiądziecie sobie jedynie cichutko w domu Pańskim i będziecie świadkami naszych modłów. Nie żądam, abyszczyła mojego Boga, ale nawet jeśli o tym nie wiesz, jesteście jego dziećmi. W kaplicy, domu Pańskim, nic wam nie grozi. Nasz miłosierny Bóg kocha wszystkich, nawet jeśli błądzą.

A’isza wzięła synka na ręce i posłusznie udała się za hrabiną i jej towarzyszką.

Kaplica była bardzo skromna, wręcz surowa. Na ołtarzu wisiał prosty drewniany krzyż z figurą Chrystusa. Prócz niego w pomieszczeniu nie było żadnych rzeźb, ozdób, żadnych bogactw. Jedynie drewniane kłęczniki i ławy. A’isza usiadła z dziećmi z tyłu i ze zdumieniem przyglądała się „domowi Pańskiemu”. Jakże ubogi i słaby musiał być ów Bóg, skoro wierni tak Go lekceważyli. Świątynie Allaha były bogato zdobione. Kosztowne dywany zaścierały marmurowe posadzki. Złoto skapywało ze świeczników i ornamentów. Świątynie Allaha były godne Jego chwały, zaś ten Bóg chrześcijan... No cóż, Jego chwały i wszechmocy nie było tu widać.

Po prawie godzinnych modłach, które wygłaszała klęcząca hrabina, Henrietta bowiem nie odezwała się ani słowem, wróciły do komnaty, w której wcześniej przyjęła ich pani d’Artois.

– No dobrze – odezwała się Amicis. – Wcześniej wahałam się, co z tobą zrobić. Cenię sobie własną samotnię, chciałam więc odesłać cię do komnat służby i polecić, żeby ci znalaziono jakieś zajęcie. Chyba jednak zrobimy inaczej. W moim skrzydle jest wiele nieużywanych komnat. Dam ci jedną z nich, zamieszkaż tam z dziećmi. Na razie życzę sobie więcej z tobą rozmawiać, a co będzie potem, zobaczymy. Henrietta pomoże ci przygotować posłania. Dobrze, Henrietto? Pokaż im wszystko.

Tamta bez słowa skinęła głową i wskazała A’iszy drzwi, machając ręką, aby Arabka poszła za nią. Młoda kobieta posłusznie uczyniła krok w jej kierunku, a następnie zatrzymała się przed hrabiną i oświadczyła z szacunkiem:

– Niewiele co prawda mam doświadczenia, pani, bo sama byłam obsługiwana przez służbę i eunuchów, ale możemy ci służyć, gdyby taka była twoja wola, ja i moje dzieci. Nie umiem dobrze gotować i sprzątać, za to potrafię kunsztownie układać włosy, szyć, haftować, wszystko

to, co kobiecie niezbędne. Mahaut zaś potrafi polować i oprawiać zwierzynę. – Umilkła i spojrzała z nadzieją na hrabinę.

– A’iszo, ciesz się moją gotowością, ale ja nie potrzebuję więcej służby. Jadło dostarcza nam zamkowa kuchnia, sprzątam po sobie same z Henriettą, a kunsztowne fryzury i stroje... no cóż, mam cztery suknie, które zamkowe sługi utrzymują w porządku. Ozdób, haftów, pięknych fryzur mi nie potrzeba, największą ozdobą w oczach Boga jest czyste serce i wierna modlitwa. – Amicis wzruszyła ramionami. – Na razie po prostu chcę cię lepiej poznać. Nie martw się na zapas, na pewno znajdziesz się dla ciebie odpowiednie miejsce na naszym dworze. Hrabina matka potrzebuje wielu służących, Robert również. Pomyślimy potem. Teraz pora na spoczynek.

Planowany na parę dni bądź tygodni pobyt arabskiej niewolnicy A’iszy w odizolowanych od reszty zamku ascetycznych komnatach hrabiny Amicis d’Artois przeciągnął się do wczesnej wiosny kolejnego roku. Stało się tak dlatego, że już w czasie pierwszych rozmów z Arabką Amicis odkryła w niej doskonałe źródło wiedzy, która poszerzała i uzupełniała jej studia teologiczne. Z kolei chłonny umysł A’iszy z zapałem przyswajał sobie całą tę nową wiedzę o chrześcijaństwie, która do tej pory była jej kompletnie nieznaną.

A zatem obie kobiety z radością pograżały się w księgach i dysputach, podczas gdy dziećmi, zdanymi same na siebie, niechętnie, acz z pełnym poświęceniem zajmowała się Henrietta, bezgranicznie oddana swej pani i przyjaciółce. Dlatego kiedy Mahaut uczyła się czyścić kominki i opróżniać nocne naczynia, Abdul jak mały psiak płatał się przy siostrze, która opowiadała mu arabskie bajki. Ich matka zapomniała o całym świecie oczarowana cudowną, mądrą i dobrą hrabiną Amicis.

– Z drugiej strony, pani – A’isza z przejęciem komentowała dopiero co przeczytany wybór żywotów świętych – jak to możliwe, że te same wydarzenia są tak różnorodnie przedstawiane, zależnie jedynie od tego, któremu z możliwych są potrzebne do poparcia własnych interesów?

– Sama nie potrafię tego wytłumaczyć. – Hrabina wzruszyła ramionami. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakim zaskoczeniem było dla mnie pierwsze odkrycie, że ewangelii nie napisali uczniowie Jezusa, tylko historycy bądź duchowni dziesiątki lat po śmierci tychże czterech świętych. Tyle różnorodnych praw religii wręcz kłóci się z prawdą historyczną. Jako dziecko byłam przekonana, że podstawy naszej wiary pochodzą bezpośrednio od Boga. Dopiero parę lat temu, gdy Robert umożliwił mi dogłębne studiowanie tych zagadnień, uświadomiłam sobie, ile kłamstw rządzi naszym życiem.

– Jak to, kłamstw? – zdziwiła się zaskoczona A’isza.

– Ano tak, zwyczajnych kłamstw. To wszystko, czego się dowiaduję od ciebie, to dla mnie kompletna nowość. Mam wrażenie, że niewierni – zawahała się na sekundę – o, przepraszam, Arabowie, wcale nie są tacy, jak nam to mówią księża i Kościół święty. Ale jeszcze muszę to sobie dokładnie poukładać w umyśle. Pokażę ci jednak przykłady paru interesujących kłamstw, które odkryłam już dawno. Chcesz?

– Oczywiście, że chcę. – A’isza wsparła głowę na łokciach, chciwie chłonąc każde słowo swej pani.

– Otóż podstawą naszej religii jest przekonanie, że Jezus został umęczony przez Żydów, zgodnie z wolą żydowskiego Boga. Księgi historyczne jednak dowodzą czegoś niesamowitego. Przeczytasz sama, odłożę ci te dokumenty, jestem ciekawa twoich opinii. Moja religia uznaje Żydów za największe zło, wszakże fakty historyczne wyraźnie dowodzą, iż po pierwsze, Jezus

był Żydem. – Amicis odgięła palec, podkreślając swoje podsumowanie. – Po drugie, głosił chwałę Boga Żydów i sam według ewangelii twierdził, że jego zadaniem jest wypełnienie prawa Mojżeszowego, a po trzecie, mnie wychodzi na to, że żydowski Bóg Jahwe jest w jakimś sensie naszym chrześcijańskim Bogiem. No dobrze, wiem, że różnica jest duża, bo my wierzymy w Tróję Świętą, a oni nie uznają Pana Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, to chyba przynajmniej w jednej trzeciej mamy tego samego Boga, nieprawdaż?

– Nie wiem, pani – odrzekła w zamyśleniu A'isza. – Też mam pewne wątpliwości. I też wynikają one z kłopotów ze źródłami. Koran nie pochodzi od Boga. Oj, bluźnię, Koran pochodzi od Boga, ale spisali go ludzie, ulemowie. Prorok głosił boskie objawienia jedynie ustnie, czyli żaden z wersetów Koranu nie został zanotowany przez proroka Mahometa, tylko przez ludzi, którzy go znali, albo jeszcze innych, takich, którzy znali tych, co znali tych, co go znali. No to jak można być pewnym, że to, co ci ludzie napisali, pochodzi od Boga, a nie od tego, co pisał. A jeśli ów autor przekreślił prawdę, dodał coś od siebie albo już nie wiem... – Urwała przestraszona i spojrzała z rozpaczą na Amicis.

– No właśnie. – Hrabina westchnęła ciężko. – O! Zbladłaś tak nagle, co się stało, A'isza? Żle się czujesz?

– Nie, wszystko dobrze – odparła Arabka. – Lecz właśnie sobie uświadomiłam, że za takie przemyślenia już raz zostałam ukarana. To tylko wspomnienie, pani. Wiem, że z tobą mogę mówić otwarcie.

– Jak to, ukarana?

– Zwyczajnie, bat i gołe plecy. Już zapomniałam, jak to bolało.

– To przerażające, ulem cię ukarał?

– Tak, i właśnie o to chodziło, o tę samą kwestię – odrzekła z goryczą A'isza. – Omawialiśmy konkretne ustępy Koranu. Jak już ci wspomniałam, pani, Koran pochodzi bezpośrednio od Allaha i jest opisem objawień proroka Mahometa, ale również zbiorem wszelkich praw świata islamu. Oczywiście moim obowiązkiem było studiować Koran, ale ciekawość mnie podkusiła, a skoro wszystkie księgi ulema były mi dostępne, to je czytałam, po kolei. Dzięki temu zyskałam dowód, że prawa głoszone przez proroka i świadectwa jego życia i woli, a tym samym woli Allaha, zostały co najmniej ukryte, jeśli nie nawet celowo przeinaczone.

– Niemożliwe! – szepnęła podekscytowana Amicis.

– Jak najbardziej możliwe – stwierdziła A'isza. – Posłuchaj, pierwsza umma, czyli zgromadzenie wiernych proroka Mahometa, zakładała całkowitą równość między kobietami i mężczyznami. Nie dość tego, kobiety były przywódczyniami. Prowadziły modły w imieniu Mahometa. Tak było z Fatimą i A'iszą, dwiema z jego żon. Takie są historyczne fakty. A tymczasem wersety Koranu sprowadzają kobiety do roli istot podległych mężczyznom. Nieopatrznie wdałam się w dyskusję na ten temat z ulemem Umarem, no i dostałam baty. Uzasadnił je stwierdzeniem: „Czegoż oczekiwać po kobiecie. Jesteś jak cielę wielbłąda. Brakuje ci wiary, więc ja cię jej nauczę”. No cóż, bicie bolało, ale niczego mnie nie nauczyło. A już na pewno nie rozwiązało moich wątpliwości.

– Wiesz, to zastanawiające. – Hrabina Amicis podeszła do jednego z licznych płaskich pulpity, rozmieszczonych pod ścianami wielkiego pomieszczenia, które było jej komnatą studiów. Z wysiłkiem dźwignęła ciężkie tomiszczce i przeniosła księgę na stół, przy którym siedziały. – Te przeinaczenia i zatuszowania odnajduję również w naszych ewangeljach. Popatrz tutaj, zaraz znajdę. – Ostrożnie przewracała kruche stronicę. – To odpis kronik Rzymianina, który spisywał dzieje Judei, krótko po czasach współczesnych naszemu Panu Jezusowi

Chrystusowi. Pamięć była jeszcze świeża, bo minęło zaledwie jakieś pół wieku od Jego męczeńskiej śmierci na krzyżu. O, jest! Czytaj sama, mowa tu o Jakubie, bracie Jezusa.

– No tak, i co z tego? – A'isza z zaciekawieniem przebiegła oczyma stary łaciński tekst.

– No to teraz mi powiedz, dlaczego tutaj Jezus ma brata? – spytała z satysfakcją Amicis.

– Nie wiem, pani. – Wzruszyła ramionami. – Na ogół ludzie mają braci i siostry, to nic dziwnego. Sama mi tłumaczyłaś, że Pan Jezus jest Bogiem, ale był też człowiekiem. Nie możesz oczekiwać ode mnie wyjaśnienia. Jeszcze za mało wiem o waszych bogach.

– Nie bogach, tylko Bogu – poprawiła ją Amicis. – Mówiłam ci, że Bóg jest jeden pod postacią Trójcy Świętej, Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego. – Przeżegnała się odruchowo, nadal wodząc oczyma po tekście rzymskiego historyka. – To ja ci powiem, że to niemożliwe. Matka Syna Bożego Jezusa była dziewicą. I do tego zawsze dziewicą. Czyli nie miała prawa mieć żadnych innych dzieci oprócz Syna Bożego. Dziwne, prawda?

– Dziwne – zgodziła się A'isza. – Ale niekoniecznie fałszywe. Może jedynie błędna interpretacja. Może chodziło o brata w wierze?

– Może? – mruknęła zniechęcona Amicis. – Życia mi nie wystarczy na sensowne poukładanie sobie tych wszystkich spraw. Na oddzielenie ziarna od plew, prawdy od oczywistych bzdur i półprawd.

– A właściwie po co ci to, pani? – zapytała poważnie A'isza. – Twoja wiara i oddanie Bogu są tak głębokie, tak oczywiste. Dlaczego szukasz dowodów? Nie rozumiem.

– Widzisz, moja droga – Amicis spoważniała – ja wierzę w boską potęgę z całej duszy, całym moim umysłem, całą sobą. Wierzę, że to Bóg, ta potężna moc, stworzył nas, wszystkich ludzi. Wierzę, że uczynił to z wielkiej miłości, czymże innym bowiem jest Bóg, jeśli nie miłością. Jednak, choć to zakrawa na bluźnierstwo, mam całą masę wątpliwości co do szczegółów. Na przykład kwestii Żydów i innowierców, czyli, wybaczone, „niewiernych”. Dlatego próbuję uporządkować sobie fakty, które dotyczą mojej religii. Nie mojej wiary, tylko religii.

– A to według ciebie nie to samo, pani? – zapytała ostrożnie A'isza.

– Właśnie na to pytanie szukam odpowiedzi – odparła znużona hrabina.

Dyskusji takich jak ta obie kobiety odbyły od grudnia do marca dziesiątki, jeśli nie setki. I to właśnie te rozmowy były powodem, dla którego miejsce A'iszy jako powierniczki i zaufanej towarzyszki hrabiny d'Artois stało się dla mieszkańców zamku faktem, co prawda niezrozumiałym, mimo to niepodważalnym.

W marcu tysiąc dwieście siedemdziesiątego pierwszego roku A'isza pojęła, że jest brzemienna. Doskonale wiedziała, czyje to dziecko, i ogrom konsekwencji ją przeraził. Pierwszy raz w swoim życiu czuła się szczęśliwa. Hrabina d'Artois była dla niej jak najukochańsza siostra, stała się ważniejsza niżli ona sama, ważniejsza niż dzieci, ważniejsza niż jej własne życie. Nie obawiała się, że zostanie oddalona, nie obawiała się nawet, że karą za jej grzech może być ukamienowanie i śmierć. Czytała wiele ksiąg religijnych, wiedziała, jak chrześcijanie postępują z grzesznicami. Wiedziała, że żaden Jezus, wszystko jedno, Bóg czy prorok, nie uchroni jej przed karą. To wszystko było jej wszakże obojętne. Najważniejsze, by nie zawiodła ukochanej pani Amicis. Prawda okrutnie zraniłaby hrabinę, a tego A'isza za wszelką cenę pragnęła uniknąć. Dlatego postanowiła, że najlepszym wyjściem będzie odebrać sobie życie. Los i tak darował jej to pół roku. Tak naprawdę powinna była umrzeć już wtedy, w Tunisie, tego dnia, gdy wszystkie inne żony ulema wypiły truciznę. Wówczas pożegnała się już z życiem ziemskim. Nie umarła tylko

dlatego, że nie potrafiła zabić własnych dzieci, a wtedy nie miała innego wyboru. Dzisiaj natomiast ma. Wie, że jej życie jest nic niewarte. Dzieci będą bezpieczne i szczęśliwe pod opieką dobrej pani Amicis, zaś ofiara jej własnego życia jest niską ceną za ochronę czci szlacheckiej hrabiny d'Artois. Pod koniec marca, pewnego chłodnego poranka, Mahaut znalazła matkę w łóżu zalanym krwią. A'isza otworzyła sobie żyły. Krzyki dziewczynki zaalarmowały Henriette i Amicis, które jeszcze w nocnych strojach wpadły przestraszone do komnaty. A'isza jeszcze żyła, hrabina natychmiast wezwała pomoc. Zakonnica z pobliskiego opactwa przez trzy dni i noce nie odstępowała od łóża poganki. Udało się ją uratować. Przeżyła.

Przez ostatnie ponad trzy miesiące hrabina d'Artois uważnie obserwowała swoją podopieczną, bo właśnie tym mianem sama przed sobą określała Arabkę. Ceniła i szanowała jej wiedzę i bystry umysł. Podziwiała prawość i dumę. Nie umknęło również jej uwagi, jak pełnym uwielbienia i wdzięczności spojrzeniem wodziła A'isza za Robertem, ilekroć ten przychodził w odwiedziny. Amicis bardzo lubiła swojego męża, lecz w jej sercu nigdy nie obudziła się miłość do niego. Любиła go tak samo jak staruszka opata, który był jej spowiednikiem i przyjacielem, tak samo jak Henriette, ale to nie była miłość. Życzyła mu jak najlepiej i jedynie czekała na sygnał, na ten moment, gdy dostrzeże w życiu małżonka szansę, że ten znajdzie kobietę, która da mu prawdziwe szczęście, nie zaś jedynie namiastkę, jaką ona mu dawała.

Amicis sama nigdy nie kochała żadnego mężczyzny, ale widziała wielką i prawdziwą miłość swoich rodziców. Potrafiła rozpoznać ten moment, gdy kobieta i mężczyzna, połączeni uczuciem, stają się jednym.

I właśnie teraz miała wrażenie, że go dostrzegła. Robert zawsze w stosunku do A'iszy był nienagannie poprawny. Traktował ją z dystansem, jako osobę niższego niżli on sam stanu, ale odnosił się do niej z chłodną uprzejmością, jak przystoi wobec podopiecznej własnej żony. Nigdy nie pozwolił sobie na życzliwsze słowo lub na uśmiech wobec Arabki.

I to właśnie owa sztywna uprzejmość zazwyczaj ciepłego i dowcipnego Roberta wzbudziła czujność hrabiny. A może jest nikła szansa, że ci dwoje się pokochają? Już pierwszy miesiąc życia pod jednym dachem z A'iszą upewnił Amicis, że ta kobieta byłaby idealną towarzyszką dla Roberta. Inteligentna, wrażliwa, ze szlacheckiego arabskiego rodu. No cóż, poganka, niewierna. Ale to się da zmienić. A'isza z pewnością da się nawrócić na wiarę chrześcijańską, jej religijność była według hrabiny bardziej tradycją niż przejawem głębokiej wiary. To małą Mahaut przyłapywano na biciu pokłonów w kierunku Mekki. Hrabina nigdy nie widziała, by A'isza modliła się w ten sposób.

Ostatnio Amicis zaczęła nawet, pod pretekstem bólów głowy, celowo stwarzać Robertowi i A'iszy okazje do samotnych spotkań. Miała nadzieję, że ów niewinny podstęp zaowocuje jakimś porozumieniem tych dwojga. Nic z tego. Kiedy wysyłała A'iszę do paradnej komnaty, aby sama zabawiła Roberta rozmową, tamta wracała po paru minutach, oznajmiając, że hrabia przesyła ukłony i życzenia powrotu do zdrowia i że przyjdzie jutro o zwykłej porze.

Teraz, po tej nieudanej próbie samobójczej swej towarzyszki, Amicis obawiała się, że to jej nieudolne podstępny i próby swatania pchnęły biedaczkę do tak rozpaczliwego czynu. Gdy więc A'isza była już całkowicie przytomna i opiekująca się nią zakonnica zezwoliła na wizytę u chorej, hrabina, pełna wyrzutów sumienia, pośpieszyła do izby, gdzie leżała dziewczyna.

A'isza powitała ją spojrzeniem pełnym bólu.

– Moja droga, kochana przyjaciółko! – Pani d'Artois usiadła na brzegu łóża i wzięła Arabkę za rękę. – Jak mogłaś się targnąć na własne życie? Dlaczego? Co cię dręczy, A'iszo? Czy twoja tęsknota za domem jest tak dojmująca? Nie do wytrzymania? Czy doznałaś jakiegokolwiek

krzywdy w moim domu? O czym nie wiem, cóż przede mną kryjesz? Czy to ja jestem powodem twego desperackiego czynu?

– Nie, pani. – Z oczu A’iszy popłynęły łzy. – Nigdy. Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Wybacz mi moją podłość. Wybacz, że przysporzyłam ci bólu. Moje życie należy do ciebie, nie miałam prawa do tego, co zrobiłam. Wybacz mi, pani!

– Przestań, A’iszo! – przerwała jej hrabina. – Nie mów tak. Nie jesteś moją niewolnicą, więc nie mów jak niewolnica. Jesteś moją przyjaciółką, jedyną, jaką mam. Powiedz mi po prostu, co cię pchnęło do tak strasznego czynu. Nikt nie ma prawa odbierać życia, nawet swojego własnego. Życie jest nam dane od Boga i do niego należy. Co się stało, A’isza, proszę, powiedz mi prawdę.

Łzy spływały strumieniem po bladej twarzy Arabki.

– Zawiodłam cię, pani – łkała – zdradziłam. Odpraw mnie lub każ zgładzić, nie jestem warta twojej łaski.

– Nie opowiadaj bzdur. Nikt cię tutaj nie tknie, jesteś pod moją opieką. I na pewno cię nie odprawię. Jesteś jedną z najważniejszych osób w moim otoczeniu. Jaka zdrada? O czym ty opowiadasz?

– Jestem brzemienna, pani – wyznała cicho A’isza.

Hrabina milczała zdumiona. Cięża? Jak to? To przecież niemożliwe. A’isza dostała się do niewoli we wrześniu zeszłego roku. Siedem miesięcy. Gdyby to miało być dziecko ulema, jej męża, to byłoby już wyraźnie widać brzuch. Czyli stało się to później. Czyżby ktoś ją zniewolił, gdy przebywała już w zamku? Któryś z żołnierzy Roberta lub ktoś z jego służby? Straszne! Ujęła mocniej dłoń dziewczyny.

– Nie płacz już – uspokajała ją. – Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Jesteś pewna?

A’isza twierdząco skinęła głową.

– Tak, pani.

– Jak to się stało? Zniewolił cię kto? Któryś z pacholków czy też z żołdaków w czasie podróży? – wypytywała ją Amicis. – Jak mój mąż mógł do tego dopuścić?! Przecież byłeś jego branką, miał obowiązek zadbać o twoje bezpieczeństwo!

– Nie, pani, to nie tak – zaprotestowała słabo. – Nikt mnie nie zniewolił. To ja sama. To wszystko moja wina. Hrabia d’Artois... – urwała, zawahała się. – Hrabia nie ponosi żadnej odpowiedzialności. To ja sama, stało się to z mojej woli, to ja uwiodłam mężczyznę, który jest ojcem dziecka.

– Bzdura! – zirytowała się Amicis. – To niedorzeczne. Nigdy w to nie uwierzę. Chcesz mi wmówić, że po latach udręki ze swoim mężem ulemem sama, z własnej woli weszłaś do łóżka jakiegoś żołdaka albo służącego? Nie, A’isza! Przestań chronić tego łajdaka, albo mi natychmiast powiesz, kim on jest, albo poproszę męża, by przeprowadził dochodzenie. Nie będzie tak trudno dociec, kto z jego orszaku miał szansę przebywać z tobą sam na sam! Nie pozwolę, aby ludzie hrabiego d’Artois zachowywali się jak barbarzyńcy. Nie płacz! Uspokój się, dziewczyno. Wszystko będzie dobrze. Razem wychowamy wszystkie twoje dzieci na dobrych chrześcijan. Dzieci to dar od Boga, wiesz? Nie płacz, no już.

– Pani, błagam cię w imię twego Boga, błagam na krew twój Chrystusa – szlochała przerażona A’isza – nie dociekaj i nie mów nic twemu małżonkowi. Odpraw mnie i zapomnij o wszystkim. Błagam.

– Ale dlaczego? Dziewczyno, uspokój się! Przecież ty nie jesteś niczemu winna!

– Jestem! Tylko ja, nikt inny! To tylko moja wina! Sama mu się oddałam, wręcz zmusiłam go

do tego. On nie chciał! Jeszcze wtedy ciebie nie znałam, pani, niczego nie rozumiałam. Błagam, nie pytaj!

A'isza jęczała i wiała się histerycznie na posłaniu, szarpiąc bandaż. Amicis patrzyła na nią w niemym zaskoczeniu. Powoli zaczynała rozumieć.

– Robert... – wyszeptała. – To on, on jest ojcem twojego dziecka!

– Pani, litości. Błagam, pozwól mi umrzeć!

Amicis siedziała chwilę w milczeniu. Bezwiednie gładziła dłoń szlochającej dziewczyny. Potem objęła ją i ucałowała w czoło.

– Bogu niech będą dzięki! – powiedziała głośno i wyraźnie. – Nie płacz już, A'isza. Nie mam do ciebie żalu, wręcz przeciwnie, jestem ci wdzięczna. Nie płacz i nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zaufaj wyrokowi Boga, bo dziecko, które nosisz, narodzi się z Jego woli i z Jego błogosławieństwem. Nie płacz. Uspokój się. Wrócę do ciebie niebawem.

Wyszła z komnaty i skinęła ręką do Mahaut, która z braciszkiem w ramionach czekała skulona przed drzwiami. Dziewczynka nadal słabo mówiła po francusku, ale rozumiała większość słów i posłuszenie, choć wciąż z tym wilczym wyrazem nienawiści w oczach, wypełniała polecenia.

– Idź teraz do matki, Mahaut. Pilnuj jej i nie opuszczaj ani na chwilę, dopóki nie wrócę. Rozumiesz? – zwróciła się do niej hrabina.

Dziewczynka skinęła głową i skierowała się do komnaty. Amicis d'Artois natomiast zadzwoniła na pachółka i w drzwiach przekazała mu polecenie, by natychmiast poprosił do niej pana hrabiego.

Niespełna kwadrans później Robert zapukał do drzwi.

– Chciałaś mnie widzieć, moja droga – odezwał się poważnym tonem. – O tak niezwyklej porze. Coś się stało? Czy chodzi o twoją podopieczną? Umarła?

– Nie, Robercie – odpowiedziała spokojnie. Poczekała, aż służący zamkną za nimi drzwi, następnie pociągnęła go za rękę, z komnaty oficjalnych wizyt, gdzie przyjmowała małżonka przez ostatnie pięć lat, do swoich apartamentów, których nigdy od momentu, gdy się tu wprowadziła, nie odwiedzała. – Chodź ze mną. Muszę mieć pewność, że nikt nie usłyszy naszej rozmowy.

Zdziwiony, że małżonka ujęła jego dłoń, oraz zaskoczony, że po raz pierwszy od dnia, w którym zawarli swą umowę, Amicis pozwala mu przekroczyć próg swojego azylu, podążył za nią posłuszenie. Wprowadziła go do niewielkiej komnaty i wskazała miejsce na ławie. Sama usadowiła się naprzeciwko i złożyła dłonie na kolanach.

– Nie, Robercie – powtórzyła. – A'isza nie umarła. Przeżyła i żyć będzie. Ona i jej nienarodzone dziecię. Jest brzemienna.

– Boże jedyny! – wykrzyknął i padł na kolana u jej stóp. – Amicis, wybac mi, błagam. To moje dziecko! Wybac moją podłość, moją zdradę. Amicis!

Ujęła jego twarz w obie dłonie i spojrzała mu poważnie w oczy.

– Nie ma tu niczego do wybaczenia, Robercie. Nie zdradziłeś mnie, nie czyni sobie żadnych wyrzutów. Tak, wiem, to twoje dziecko. To dar boży. Moje serce wypełnia jedynie radość. Jestem szczęśliwa – powiedziała z uśmiechem.

– Jak to? – spytał zdezorientowany. – Jak możesz być szczęśliwa? Zdradziłem cię, zdeptałem twą cześć i zaufanie. Inna kobieta nosi moje dziecko! Amicis, czy ty oszalałaś z rozpacz?

– Wstań, mój drogi, i usiądź – odparła spokojnie. – Jak widzisz, ja wcale nie rozpaczam i jestem w pełni władz umysłowych. I uwierz mi, naprawdę czuję się szczęśliwa. Cieszę się twym szczęściem i szczęściem A'iszy. Jest dobra i mądra, to odpowiednia kobieta dla ciebie.

Nikogo nie zdradziliście, ani ty, ani ona. Bóg wam pobłogosławił, jest tak, jak miało być.

– Ale przecież... – próbował protestować.

– Nie! – stwierdziła krótko. – Żadnego ale. Wspomnij naszą rozmowę, kiedy powtórnie prosiłam cię, abys mnie odprawił. Tak miało być, mój drogi przyjacielu. Moje miejsce jest i zawsze było w klasztorze. Bóg jedynie przesunął swe plany o parę lat, lecz z nich nie zrezygnował, i teraz poprzez A'iszę i twoje nienarodzone dziecko upomniał się o mnie.

– Amicis, nie mów tak, to nieprawda! To ciebie kocham, nie A'iszę. Ty jesteś moją żoną!

– To nie tak, Robercie – tłumaczyła mu powoli i wyraźnie jak dziecku. – Tylko ty nie chcesz tego dostrzec, nie możesz zaakceptować. Kochasz mnie dokładnie tak samo jak ja kocham ciebie. To miłość siostry do brata. Głębokie przywiązanie, szacunek i przyjaźń, a także miłość, ale inna, nie taka, jaka łączy męża i żonę. Odmawiasz sobie prawdziwego uczucia, bo przywiązałeś się do myśli, że ta namiastka, którą masz, jest prawdziwą miłością. Boisz się poznać tę właściwą i dlatego przed nią uciekasz, nie dając sobie żadnej szansy. Od powrotu z wyprawy unikasz wszelkich kontaktów z A'iszą, gdyż boisz się poczuć tę miłość, którą już od dawna nosisz w sobie, tak jak A'isza nosi ukryte w sobie twoje dziecko.

– Amicis! – Jęknął. – Jak możesz być tak wyrozumiała, tak wielkoduszna? Przecież ja cię zdradziłem, uchybiłem twej czci!

– Mylisz się, mój drogi. – Spuściła oczy. – Przecież wyraźnie ci powiedziałam, że jest moim życzeniem, abys obcował z innymi kobietami. Ty jedynie spełniłeś moje życzenie.

– Jednak przysięgałem ci, że nigdy nie pokocham innej.

– Nieprawda, nic mi nie przysięgałeś ani nie obiecywałeś. To było jedynie twoje życzenie, mój drogi. Nie wszystkie życzenia się potwierdzają, no i dobrze – stwierdziła z wyraźną satysfakcją.

– A teraz skończmy tę jałową dysputę i zastanówmy się razem, jak doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca.

– Jaką sprawę? O czym ty mówisz, Amicis?

– Mówię o tym, że powinienes odwiedzić swoją przyszłą, brzemienną żonę i przekazać jej dobrą nowinę. Musimy tylko się zastanowić, jak to zrobić szybko, aby dziecko przyszło na świat już po zaślubinach.

– Jakich zaślubinach?! – wymamrotał osłupiały.

– Uczynimy dokładnie tak, jak miało być od początku – oświadczyła. – Odprawisz mnie. Opat pomoże szybko zdobyć zgodę biskupa na unieważnienie małżeństwa. Ja wstąpię do zakonu, a ty poślubisz A'iszę. No i oczywiście trzeba ją jeszcze szybko ochrzcić i rozpuścić wieści, że jest córą wysokiego saraceńskiego rodu. Pozostaje jeszcze kwestia jej dzieci, ale z tym nie powinno być kłopotu. Jak już przyjdzie na świat wasz pierworodny potomek, możecie je przyjąć oficjalnie do rodziny, jako sieroty, i nadać im tytuły rodowe. To ogólnie przyjęte i nawet będzie dobrze widziane. Tylko wcześniej należy je ochrzcić, dać obojgu dobrych nauczycieli, no i w ogóle nauczyć naszych obyczajów.

– Amicis, ty jednak oszalałaś – odparł Robert po chwili milczenia.

– Dlaczego? Przecież to jedyny rozsądny plan – oświadczyła.

– To jedyny nierozsądny plan! – stwierdził dobitnie. – To jedyny plan, którego nie mam prawa zrealizować i na pewno nie zrealizuję. Czy ty chociaż odrobinę zdajesz sobie sprawę z mojej pozycji? Czy ty sobie zdajesz sprawę ze swojej własnej pozycji?

– O czym ty mówisz, Robercie?

– Jestem hrabią Robertem II d'Artois – oświadczył stanowczym tonem. – Synem Roberta I d'Artois, zwanego Dobrym, krzyżowca i rycerza króla Ludwika Świętego, mego wuja. Jestem

wnukiem króla Francji Ludwika VII, jak również Henryka II, króla Brabancji. A także parem Francji, kuzynem królów, jedynym potomkiem tej gałęzi rodu. Ty zaś jesteś hrabiną d'Artois, pochodzisz ze starego rodu Courtenayów, wywodzącego się od samego króla Faramunda, który zapoczątkował monarchię Franków. Zamknęłaś się dobrowolnie przed światem i zapomniałaś, kim jesteśmy. Obudź się, Amicis! Nasze małżeństwo nigdy nie było związkiem dwojga ludzi, tylko połączeniem interesów wielkich rodów. Zabiegiem hodowlanym, mającym na celu wydanie na świat istoty czystej krwi, potomka dwóch wielkich rodzin, który kiedyś będzie panować nad Francją. Od nas, moja droga, oczekuje się płodzenia królów. Czy ty naprawdę uważasz, że ktokolwiek wyrazi zgodę na unieważnienie naszego związku albo na mój ślub z nikim? Zostaniemy oboje wyklęci przez własne rodziny i Kościół. Ogłoszą mnie szalonym i usuną z drzewa genealogicznego. Amicis! Miłość to piękna rzecz, ale mają do niej prawo jedynie ludzie niskiego stanu. My nie możemy sobie pozwolić na ten zbytek!

Patrzyła na niego oniemiała. Milczała. Powoli zaczynała sobie zdawać sprawę, jak naiwna była do tej pory. Robert miał rację, jej życie nie należało do niej. I nawet nie należało do Boga, jak to sobie do tej pory powtarzała. Jej życie należało do rodu, do wielkich i możliwych tego świata. Z ciężkim westchnieniem opuściła głowę na piersi.

– Och, Robercie! – szepnęła. – Jaka głupia i samolubna byłam do tej pory. Sam musiałeś nieść ten ciężar przez życie. W dodatku potrafiłeś chronić mnie przed moją własną głupotą i wmówić wszystkim, że cała ta sytuacja jest wynikiem twojej woli. To dlatego przychodzisz do mych komnat codziennie wieczorem. Aby utrzymać przed światem pozory tego małżeństwa. Aby ochronić honor rodu, twojego i mojego. Jakże głupia i naiwna byłam. Jak wielkoduszny ty jesteś. I cóż my teraz zrobimy? I co pocniemy z A'iszą i twym dzieckiem?

– Nie mam pojęcia – westchnął ciężko. – Oczywiście, że uznam moje dziecko, a tym samym będzie nosiło nazwisko d'Artois. Co nie zmienia faktu, że jest z nieprawego łoża, więc jego prawa są ograniczone. Źle się stało, bo świat co prawda nie ma nic przeciwko metresom i bękartom, ale lepiej, gdy się pojawiają dopiero po splodzeniu prawego spadkobiercy rodu. Ale, jak powiedziałaś, dziecko to dar od Boga.

– A co będzie z A'iszą i jej dziećmi? – zmartwiła się Amicis.

– Mogę ją wziąć na oficjalną metresę, jeśli będziesz nalegała – mruknął niechętnie.

– Robercie, przestań – wyszeptwała proszącym tonem. – Wiesz przecież doskonale, że nie o to chodzi. Dobrze, już zrozumiałam, jak ważne są kwestie tytułów i rodu. Nie o to pytam. Co będzie z A'iszą jako kobietą? Przyznaj sam przed sobą, że jest dla ciebie ważna. Co będzie z wami? Nie z jej pozycją w świecie, tylko z wami jako bliskimi sobie ludźmi?

– Amicis, nie wiem – odparł uczciwie. – Od tej jednej jedynej nocy z nią sam nie wiem, co myślę. Kocham tylko ciebie, może rzeczywiście bardziej jak siostrę, nie umiem powiedzieć. Ale wiem, że chcę spędzić z tobą życie, nie tylko dlatego, że jesteś dla mnie odpowiednią kobietą, ale przede wszystkim dlatego, że cię szanuję, podziwiam i kocham. A'isza jest dla mnie jedną wielką niewiadomą. Ty twierdzisz, że łączy nas miłość. A ja po prostu nie wiem. To prawda, że często o niej myślę, a właściwie moje ciało ją wspomina. To prawda, że coś mnie do niej przyciąga. Ale tak naprawdę ja jej przecież nie znam. A jeśli to coś, co mnie do niej ciągnie, to jedynie cielesna żądza? Jeśli to nie miłość, żono? Nie żądaj ode mnie, proszę, natychmiastowych rozstrzygnięć. Zastanówmy się lepiej nad kwestiami formalnymi. Jak rozwiązać sprawę sukcesji i tak dalej. Myślę, że będziesz musiała opuścić swą samotnię i udowodnić światu, że jesteś hrabiną d'Artois. Jeśli skandal z nieślubnym dzieckiem ujrzy światło dzienne, a ujrzy, bo się nie wyprę, to cały świat uzna, że zamknęłam cię w więzieniu i dręcę. Nie możemy sobie pozwolić

na taką plamę na honorze rodu.

– Dobrze, masz rację. Zastanówmy się parę dni. Może z pomocą boską znajdziemy dobre rozwiązanie – odrzekła. – A tymczasem proszę cię, chodź ze mną do komnaty A'iszy. Musimy ją wspólnie uspokoić, bo jeszcze gotowa z rozpaczyny odebrać życie sobie i twojemu dziecku. To zadziwiająca i wspaniała kobieta. Sam zrozumiesz, jeśli przestaniesz uciekać i zadasz sobie trud, by ją poznać.

– Dobrze, żono. – Uścisnął jej dłoń. – Jak sobie życzysz. Chodźmy.

A'isza nie mogła uwierzyć w to wszystko, co się wokół niej działo. Intryga, którą obmyśliła pobożna Amicis, wprost nie mieściła się w głowie. Robert długo opierał się zamysłom upartej małżonki, ale w końcu jej uległ, jak zawsze. Teraz Amicis opuściła swe odosobnienie i dumnie paradowała w towarzystwie Henrietty i małżonka po zamkowych ogrodach, z radością pokazując coraz okrągłęjszy brzuch, który udawała powiększana systematycznie poduszka, noszona pod fałdami spódnicy. A'isza tymczasem ukrywała się przed ludzkimi oczami w dawnych komnatach hrabiny, które, nieco pomniejszone, stały się apartamentem panny Henrietty, rezydentki rodziny d'Artois, opiekunki dzieci hrabiny. Jej, A'iszy, dzieci przestały być jej dziećmi. Opat Saint-Bertin potwierdził stosownymi dokumentami, że był świadkiem narodzin Matyldy, pierworodnej córki hrabiego Roberta d'Artois i hrabiny Amicis de Courtenay d'Artois, w roku Pańskim tysiąc dwieście sześćdziesiątym ósmym, a rok później ich syna, Filipa. Nie tylko przyjaźń i głęboki szacunek do hrabiny skłoniły duchownego do wzięcia na swe barki grzechu kłamstwa. Pomogła w tym okazała ilość dóbr hrabiego, złożona w darze opactwu jako podzięką za opiekę boską nad rodziną d'Artois. Po chrzcie, który odbył się w tajemnicy, Mahaut, obecnie Matylda, i Abdul, zwany teraz Filipem, wystrojony jak małe książątka, zostali zaprezentowani matce Roberta i całemu dworowi.

Mahaut, pouczona wcześniej przez A'iszę, zgodziła się udawać małą słodką dziewczuszkę. Drobną siedmiolatka udawała trzyletnie dziecko – rzecz wręcz nieprawdopodobna – jednak nie wiadomo jakim cudem oszustwo się udało. Teraz Mahaut w tajemnicy uczyła się języka francuskiego, głównie przebywając wraz z A'iszą w komnatach Henrietty. Abdul, to znaczy Filip, cieszył się pełną swobodą, rozpieszczany przez starą hrabinę babkę i Amicis, którą nawet zaczynał nazywać *maman*. Kiedy nienarodzone dziecko A'iszy przyjdzie na świat, ta oficjalnie zostanie niańką swoich dzieci.

Wszystkie plotki i pytania, dlaczego dzieci hrabiego były prawie trzy lata ukrywane przed całym dworem, Robert uciął w zarodku. Oświadczył, że jego pobożna żona Amicis ślubowała, że póki jej mąż nie powróci z wyprawy krzyżowej, którą zmarły król Ludwik Święty planował już w roku poczęcia ich córki, będzie żyła w odosobnieniu, w ubóstwie i nie ujawni światu potomstwa. Przysięgła samemu Bogu, że dochowa swych ślubów, jeśli jej mąż wróci cały i zdrowy z wyprawy krzyżowej. I choć ostatnia krucjata pochłonęła tyle ofiar, to Robert rzeczywiście wrócił z niej bez uszczerbku.

Cóż, komentowali niektórzy, ten handel z Bogiem się opłacił. Wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione, plotki stłumiono w zarodku. Nawet żołnierze z oddziału Roberta i jego słudzy, którzy wszak dobrze znali trójkę arabskich niewolników swego pana, teraz jak gdyby doznali zaniku pamięci. Było tak, jakby troje niewiernych – Mahaut, Abdul i ich matka – nigdy nie istniało.

Ci, co znali prawdę, nagle nabrali wody w usta, uznając, że znacznie bardziej opłaci im się

milczeć. Za wiarygodnością historii Amicis stały bowiem autorytety, których nie dało się podważyć. Opat Saint-Bertin, siostra zakonna, która poświadczyła odebranie obu porodów, szlachetna panna Henrietta, a przede wszystkim sam hrabia Robert d'Artois oraz jego matka, stara hrabina, szczęśliwa z posiadania wnuków.

Było coś jeszcze, co sprawiało, że szczęście A'iszy nie miało granic. Jej pani i opiekunka, hrabina d'Artois, nie odprawiła jej, a wręcz przeciwnie, traktowała ją jeszcze życzliwiej niż kiedykolwiek. W zaufaniu wyjawiała jej historię swego małżeństwa i powody, dla których postanowiła uznać dzieci A'iszy za własne. Co prawda Amicis zgodziła się żyć w wielkim świecie, lecz pragnęła, aby chociaż jej ciało należało jedynie do Boga. Nie chciała mieć dzieci, nie chciała obcować z mężczyzną, wszakże obowiązkiem hrabiny d'Artois było zadbać o ciągłość rodu. Zadbała więc, przekonując małżonka, że wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi, a skoro nienarodzone dziecko A'iszy pochodzi z lędźwi Roberta, czy to takie ważne, że nie płynie w nim krew de Courtenayów? D'Artois wystarczy!

A sam hrabia? Robert zaczął zauważać istnienie A'iszy, czasami wręcz miała wrażenie, że mu się podoba. Czy to możliwe? Wcześniej nie przyznawała się do tego nawet przed sobą samą, lecz teraz wiedziała, że pokochała tego szlachetnego, troskliwego mężczyznę już wtedy, gdy ujrzała wilczą skórę otulającą jej synka. To, że weszła do jego łóżka, wówczas było li tylko aktem wdzięczności i oddania.

Chociaż dzisiaj sama nie była już pewna, czy jedynie. Nocami dręczyły ją niespokojne sny, wracały wspomnienia tamtej nocy, tamtych uczuć. Ekscytujące mrowienie wzdłuż kręgosłupa, eksplozja rozkoszy i zaspokojenie. Jakże różne było obcowanie z tym mężczyzną od brutalnych gwałtów zadawanych jej kiedyś przez ulema. Była dzieckiem, zaledwie trzynastolatką, gdy ją po raz pierwszy posiadł. Noc z Robertem stała się tak naprawdę jej pierwszym dobrowolnym i świadomym aktem cielesnej miłości. A'isza była szczęśliwa i w jej sercu zaczynała się budzić nieśmiała nadzieja.

Wiosna 1272, Saint-Omer, rezydencja rodu d'Artois

A'iszę obudziło ciche pukanie do drzwi łączących komnatę sypialną hrabiego d'Artois z apartamentami Amicis. Delikatnie wysunęła się z ramion Roberta, starając się go nie obudzić. Było jeszcze ciemno, Amicis zawsze pojawiała się dopiero o świcie, by zamienić się miejscami z A'iszą, tak by służba, przychodząca obudzić pana, widziała hrabinę, jak opuszcza łóżko małżonka i powraca do swych komnat.

– Amicis? – szepnęła teraz zdziwiona A'isza. – Jeszcze noc, stało się coś?

– Owszem, A'iszo. – Hrabina skinęła głową. – Coś bardzo złego. Obudź Roberta, proszę. Musimy się zastanowić. Trzeba coś zrobić.

Szepty obudziły hrabiego. Wsparł się na łokciu i spojrzał na swoje dwie żony. Uśmiechnął się i usiadł na łóżku.

– Amicis, witaj – powiedział. – To już rano?

– Nie, mój drogi – odrzekła z napięciem. – Jeszcze środek nocy, wszyscy śpią, ale musimy natychmiast porozmawiać. Stało się coś strasznego.

– Co takiego?

Amicis podeszła do łóżka i usiadła na nim, podwijając nogi. Wskazała miejsce obok siebie,

spoglądając na A'iszę.

– Nie mam pojęcia, co począć z Matyldą. – Westchnęła ciężko. – Zamknęłam ją w komnacie, ale tak dłużej być nie może. Znowu zastałam ją przy kołysce małego Roberta. Mogłabym przysiąc, że zamierzała go udusić.

– Nie! – szepnęła zmartwiała z przerażenia A'isza. – Czy...?

– Nic mu nie jest. Nie martw się, śpi jak aniołek – uspokoiła ją Amicis. – Henrietta go strzeże. Ale to nie jest rozwiązanie...

– Który to już raz? – Robert podniósł głos. – Piąty, szósty? A ile było takich prób, o których nie wiemy? To dziecko jest opętane przez złego ducha!

– Cii, Robercie, jeszcze służba nas usłuszy – mitygowała go Amicis.

– Porozmawiam z nią... – szepnęła niepewnie A'isza.

– I co? – Hrabia wzruszył ramionami. – To nic nie da. Wszyscy z nią rozmawialiśmy. Jest sprytna, płacze, przeprasza, a potem znów próbuje. To jakiś demon. Ona naprawdę jest opętana!

– Nie opowiadaj bzdur! – zirytowała się Amicis. – To nie żaden demon. Postaraj się zrozumieć. Została wychowana w nienawiści do chrześcijan, wbito jej do głowy, że jesteśmy wrogami, sługami szatana. Była zbyt mała, by móc obiektywnie stwierdzić, że ojciec i nauczyciele od urodzenia sączyli jej do głowy truciznę. Nauczono ją walczyć, zabijać bez miłosierdzia niewiernych. Kiedy przyjechała tutaj, była już zbyt duża, aby zapomnieć to, co wtłoczono do jej głowy, ale przecież to jeszcze dziecko. Naszym obowiązkiem jest ją chronić. Tylko że robi się to trudne... – urwała.

– Amicis, ona nie jest naiwnym dzieckiem, ta diablica doskonale wie, co robi, a jej celem jest uśmiercenie mojego jedyne go syna, spadkobiercy rodu d'Artois! – Robert spojrzał poważnie w oczy żony. – Nie mogę do tego dopuścić. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Matylda musi zniknąć z naszego życia!

– Chcesz ją zabić? – spytała zboląłym szeptem A'isza.

– Nie widzę innego wyjścia – odrzekł cicho.

– To moja córka. – Po policzku A'iszy spłynęła łza. – Mimo wszystko to moja krew.

– Przestańcie nawet myśleć o tak potwornym grzechu. – Amicis wzdrygnęła się nerwowo. – Nie ma mowy. Nikt z nas nie splami dłoni krwią niewinnego dziecka!

– Taka ona niewinna... – zaczął Robert, ale żona przerwała mu stanowczo.

– Musimy znaleźć wyjście, ale na pewno nie takie. Możemy ją odesłać do klasztoru o zastrzonej regule!

– Żeby w nocy pozarzyła wszystkie mniszki?! – prychnął Robert.

– Nie, Amicis! – zaprotestowała A'isza. – To bardzo zły pomysł. Jeśli rozdzielisz Matyldę z Filipem, zrobi coś strasznego. Nie zapominaj, że dla niej jedyną ukochaną istotą jest brat. Uważa go za potomka ulema i wierzy, że chroniąc go i służąc mu, wypełnia swą powinność wobec Allaha i ojca. Tłumaczyłam jej mnóstwo razy, że Abdul, to znaczy, przepraszam, Filip, nie jest synem ulema Umara, ale to do niej nie dociera. Nazwała mnie podłą kłamczuchą, uważa, że zdradziłam prawdziwą wiarę i ulema w momencie, kiedy nie wykonałam polecenia i nie odebrałam sobie życia w haremie. Jeśli ją odeślemy, rozdzielimy z bratem, to znajdzie jakiś sposób, żeby uciec i zemścić się na nas. Zrozumcie, ona tylko dlatego próbuje zrobić krzywdę małemu Robertowi, że uważa, iż jego istnienie zagraża wielkiej przyszłości Filipa.

– Ja to rozumiem – oświadczył poważnie Robert. – Właśnie dlatego, Bóg mi świadkiem, sądzę, że nie ma innego wyjścia. Jeśli pozostawimy Matyldę przy życiu, stracę mojego jedyne go syna.

Amicis w zamyśleniu skubała dolną wargę.

- A może właśnie to byłoby wyjściem... – powiedziała w zamyśleniu.
- Co? – Robert się zdziwił. – Nie rozumiem, do czego zmierzasz?
- Może trzeba sprawić, żeby Matylda nie czuła się zagrożona – mówiła powoli Amicis. – Możecie wyjechać. Zamieszkać z małym Robertem w twojej innej posiadłości, a dzieci A'iszy zostaną w Saint-Omer pod moją opieką. Matylda już nie będzie mogła dybać na życie twojego synka, Robercie. Z czasem zapewne się uspokoi i zacznie myśleć rozsądniej. Jest jeszcze dzieckiem, a czas leczy wszystkie rany.
- To nierealne, moja droga – odparł hrabia. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Hrabia d'Artois opuści zamek z niespełna półrocznym dzieckiem i jego niańką, a ty, hrabina, jego matka, zgodzisz się, by zabrano ci najmłodsze dziecko, które jeszcze nadal piersią karmisz? To nedorzeczne.
- Musiałabyś jechać z nami, Amicis. – A'isza głośno zastanawiała się nad propozycją. – To wcale nie takie nedorzeczne, Robercie. Trzeba tylko przemyśleć i dokładnie opracować wszystkie szczegóły. Filip jest bardziej dzieckiem Matyldy niż moim, ona zaś uwielbia, nie wiadomo dlaczego, twoją matkę, a czuje nienawiść jedynie do naszej trójki. Może rzeczywiście czas zrobi swoje. Może za parę lat Mahaut się zmieni?
- W Bogu nadzieja. – Amicis pokiwała głową.
- Czyli jak by to miało wyglądać? – Hrabia popatrzył z rezygnacją na swoje obie kobiety.

Oficjalnie hrabia Robert II d'Artois, z żoną i najmłodszym synem, wyruszył późną wiosną roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego drugiego na pielgrzymkę po świętych miejscach Europy, a potem w podróż do Ziemi Świętej w podzięce za boską opiekę nad rodziną.

Nieoficjalnie zaś kupił dom w Paryżu, gdzie w ukryciu żyli we trójkę z Amicis i A'iszą jako bogata mieszczańska rodzina Bendieux. Nazwisko wymyśliły obie kobiety, zaś poświadczenie prawdziwości tego oficjalnymi dokumentami dzięki olbrzymiemu majątkowi Roberta nie stanowiło żadnego problemu.

Bendieux – połączenie dwóch religii. W języku A'iszy *ben* oznacza „syn”. *Dieux* zaś to po francusku „bogowie”. Dlatego A'isza i Amicis, po długich teologiczno-logicznych dysputach, doszły do wniosku, że Bendieux będzie najodpowiedniejszym nazwiskiem dla syna Roberta d'Artois i matki dziecka. Bóg jest jeden, niezależnie od tego, czy chodzi o Allaha, czy też chrześcijańską Trójcę Świętą. Wiara w Jego moc, dobroć i miłość jest niezależna od wyznania. Religia zaś to zbiór reguł ułatwiających życie wyznawcom, pomagający im pojąć to, co niepojęte.

Religia służy politycznym i gospodarczym interesom Kościołów, duchownych i możnych tego świata, natomiast wiara w Boga, w to, co nieudowodnione i nieograniczone żadnymi zasadami, znajduje się w sercach ludzi, jest niezależna od ich pochodzenia, miejsca zamieszkania i pozycji. Oni nie potrzebowali reguł, żyli razem, pełni głębokiej wiary w boską dobroć. Dlatego wybrali dla syna nazwisko Bendieux – syn wielu bogów.

Krótkie wieści z zamku Saint-Omer, siedziby rodu d'Artois, docierały do nich regularnie dzięki listom Henrietty, jedynej dopuszczonej do spisku. Niestety, nie były to dobre wiadomości. Niewiele się zmieniało. Matylda, nie wiedzieć dlaczego, szanowała jedynie starą hrabinę, matkę Roberta. Każde napomknięcie o Amicis, A'iszy, Robercie czy małym braciszku budziło napady furii i rozświeślało dzikimi błyskami twarz dziewczynki.

Z czasem jasne było, że to doraźne wyjście z sytuacji nie może się ciągnąć w nieskończoność.

W końcu kiedyś pan Artois musiał powrócić do swoich włości i swojego życia. Trzy lata po wyjeździe los ciężko ich doświadczył. A'isza spodziewała się kolejnego dziecka. Tym razem bardzo źle znosiła swój stan. Robert skłaniał się do powrotu do zamku, aby kolejne dziecko przyszło na świat w rodowych włościach. Jednak stan zdrowia ciężarnej wykluczał jakąkolwiek podróż. Amicis opiekowała się nią z oddaniem, medycy prawie nie opuszczali domu rodziny Bendieux. Niestety, żaden Bóg nie ochronił ukochanej drugiej żony hrabiego. W siódmym miesiącu ciąży A'isza urodziła martwą córeczkę i zmarła z powodu gorączki. Rozpacz Roberta nie miała granic.

Amicis cicho weszła do jego komnaty. Rozsunęła grube kotary szczelnie zasłaniające popołudniowe światło.

– Robercie – powiedziała cicho do męża. – Musimy porozmawiać. Trzeba się zastanowić, co dalej. Od tygodnia siedzisz zamknięty w komnacie. Twój syn tęskni za tobą. Stracił ukochaną matkę, nie wolno dopuścić, aby czuł się również opuszczony przez ojca.

Robert spojrzął na nią z niewysłowionym bólem. Ten dwudziestopięcioletni mężczyzna postarzał się w ciągu paru dni o dziesiątki lat. Teraz wyglądał jak zmęczony życiem starzec, któremu bliżej do Boga niżli spraw tego świata.

– Amicis, moja droga przyjaciółko – powiedział cichym, zbolącym głosem. – Naprawdę nie możesz tego zrozumieć? Miałaś zawsze rację. Kochałem ją tak bardzo, była jedyną miłością mego życia. To tylko dzięki tobie, bo ty mnie obdarowałaś tym uczuciem. A teraz odeszła. Nie ma jej. Już nigdy nie poczuję ciepła jej ciała, już nigdy nie będzie ze mną żartować. Nie usłyszę jej śmiechu. Amicis, ja nie mogę! Wiem, że to mój syn, ale każde spojrzenie na niego rozszarpuje tę krwawiącą ranę, która nigdy się nie zagoi. Patrzę w jego oczy i widzę jej oczy. Boże jedyny, ratuj! Amicis, ja nie wiem, jak mam dalej żyć.

– Rozumiem cię bardzo dobrze. – Amicis usiadła przy nim i ujęła jego dłoń. – Mnie również bardzo jej brakuje. Mimo to musisz żyć dalej. To ty przed laty przypominałeś mi o naszych powinnościach. A'isza odeszła. Było wam dane pięć wspaniałych wspólnych lat. Teraz nie możesz pograć się w rozpacz i żyć wspomnieniami. Musisz być silny. Musisz wrócić światu hrabiego d'Artois. To ty mi powiedziałeś, że jesteś potomkiem królów, to na twoich barkach spoczywa wielki obowiązek. Twój ród cię potrzebuje.

– Wiem, żono – odpowiedział. – Jednak to, co na mnie czeka w tym świecie, przytłacza mnie jak krzyż. Nie wiem, jak temu podołać. Jeśli wrócimy teraz do Saint-Omer, to obawy, które sprawiły, że stamtąd wyjechaliśmy, uderzą w nas ze zdwojoną siłą. Jak mam uchronić swoje dziecko przed córką A'iszy? Te kilka lat nic nie zmieniło.

– Wiem – odrzekła z powagą. – Długo rozmyślałam o tym wszystkim. Sądzę, że powinieneś wrócić sam do Saint-Omer.

– Jak to sam?

– Wrócisz do swoich włości i postarasz się uspokoić sytuację. Zadbasz o należyte wychowanie Filipa, syna A'iszy, znajdziesz męża dla jej córki. Całym swoim postępowaniem pokażesz Matyldzie, że oboje są bezpieczni, ona i jej ukochany brat. Ja tymczasem zostanę tutaj, jako Amicis Bendieux, i zajmę się wychowaniem twojego syna. To dziecko mej najlepszej przyjaciółki i mojego dobrego męża. Wychowam go w miłości, będę się o niego troszczyć. A gdy nadejdzie stosowny czas, wyślę go do twojego domu, gdzie jego miejsce.

– Moja dobra Amicis. Z pełną ufnością oddam Roberta w twoje ręce. Wiem, że będzie pod dobrą opieką. Ale jak uzasadnię swój powrót bez ciebie i dziecka?

– Powiesz, że nie żyjemy. To kłamstwo może nam przynieść znaczne korzyści. Matylda nie

będzie miała powodu do obaw o pozycję rodzzonego brata, gdyż będzie oczywiste, że dla świata Filip jest twoim jedynym męskim potomkiem. Tak, będziesz musiał skłamać, ale tylko do pewnego stopnia. Straciłeś A'iszę, swoją żonę, bo oboje dobrze wiemy, że ja nigdy nią nie byłam. To, że ja umrę dla świata, to nawet dobrze. Jako pani Bendieux będę zwolniona z obowiązków hrabiny d'Artois i z ulgą zajmę się wychowywaniem waszego syna, wiodąc spokojne proste życie bogatej mieszczyki. Przyjdzie czas, kiedy Robert wróci do ciebie i zajmie należne mu miejsce w świecie, a ja wówczas odejdę tam, gdzie zawsze powinnam była się znaleźć, za mury klasztoru.

– To ogromne poświęcenie, Amicis, nie mogę tego od ciebie żądać.

– Niczego ode mnie nie żadasz, mój drogi Robercie. To mój wybór, sama ci proponuję takie rozwiązanie. Przyjmij je po prostu. Jedź do domu, uporządkuj sprawę rodziny. Tylko dzięki tobie może w końcu zapanować spokój.

– Dobrze, Amicis. Zrobię tak, jak mówisz. Zawsze postępowałem zgodnie z twoją wolą. A'isza odeszła do lepszego świata, ciebie muszę opuścić. Czy podołam sam ciężarowi, który spoczywa na moich barkach?

– Podołasz, Robercie – odpowiedziała łagodnie. – Podołasz. Jesteś dobrym człowiekiem, a Pan Bóg zna nasze dusze. Dostrzeże twą dobroć i będzie cię wspierał.

Robert d'Artois wrócił do Saint-Omer jesienią roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego piątego, przywożąc ze sobą trumnę ze zwłokami żony. A'isza, arabska niewolnica z haremu, spoczęła w grobowcu rodu d'Artois w opactwie Saint-Bertin jako hrabina Amicis de Courtenay d'Artois. Matka hrabiego długo nosiła żałobę po synowej i małym wnuku Robercie, zmarłych w pierwszym roku podróży syna do Ziemi Świętej. Niewielka tablica na pustym grobowcu w katedrze przypominała o chłopczyku, którego Bóg zbyt wcześnie wezwał do siebie.

Matylda d'Artois długo opierała się wszelkim staraniom Roberta, by wydać ją za mąż. Dopiero gdy poróżniła się z Filipem, który opuścił rodzinną posiadłość w roku tysiąc dwieście osiemdziesiątym pierwszym, by poślubić Blankę z Bretanii, zaczęła intensywnie interesować się sprawami rodu i zgodnie z sugestią swego ojca Roberta II d'Artois została żoną Ottona IV, starszego od niej o dwadzieścia lat hrabiego Burgundii.

Spór z bratem doprowadził do tego, że mściwa Matylda przelała swą nienawiść na jego dzieci. Całe lata walczyła ze swoim bratankiem Robertem, synem Filipa, o prawa do hrabstwa Artois, które intrygami zagarnęła dla siebie. Była wytrawnym graczem politycznym. Wydała swoje córki za przyszłych królów Francji, sama zaś, dążąc do władzy i umacniając własną pozycję na dworze, nie wahała się przed żadną podłością. Intrygi, zabójstwa, kłamstwa, oszczerstwa były podstawą, na której Matylda zbudowała swą potęgę. Mahaut nie złagodniała aż do swej śmierci w tysiąc trzysta dwudziestym dziewiątym roku. Zmarła najprawdopodobniej otruta na polecenie bratanka.

Syn A'iszy, Abdul, znany współczesnym jako Filip, nigdy nie został hrabią d'Artois. Po matce Amicis odziedziczył posiadłości [Conches-en-Ouche](#), [Mehun-sur-Yèvre](#), [Nonancourt](#) i [Domfront](#). Z Blanką Bretońską miał pięcioro dzieci. Wiódł przykładne życie chrześcijańskiego rycerza. Poległ w bitwie pod Veurne.

Robert II Szlachetny, hrabia d'Artois, zginął z rąk Flamandów w bitwie pod Courtrai, w lipcu tysiąc trzysta drugiego roku, przeżywszy swego syna Filipa.

Śladów Roberta Bendieux, syna paryskiej mieszczyki Amicis Bendieux, próżno szukać

w annałach i księgach arystokratycznych rodów. Wzmianki o tej rodzinie pojawiają się w zapiskach dotyczących mieszczaństwa miasta Paryża, nie w spisach wielkich, znaczących i możliwych naszego świata.

Wiatr historii, wojny i rewolucje sprawiły, że wszyscy członkowie wielkiego, szlacheckiego rodu d'Artois wyginęli, wygasła linia Roberta II. Los jednak chciał, że nieważni i nieznaczący potomkowie zwyczajnej rodziny Bendieux przetrwali wszelkie zawieruchy, a co więcej, utrzymali swoją nieruchomość w Paryżu aż do czasów współczesnych.

Dzisiaj

Maj 2005, mieszkanie Adama Bendieux w Paryżu

Drobinki kurzu wirowały w rozświetlonym słonecznymi promieniami powietrzu. Opadały powoli i leniwie na zaniedbany drewniany parkiet przestronnego pokoju. Osiadały na ramionach trzech mężczyzn zastygłych nieruchomo naprzeciwko siebie. Gwidon Bendieux przyciskał dłoń do piersi, wpatrując się z niedowierzaniem w fotografię, którą ścisnął w drugiej ręce. Marek patrzył na niego w niemym osłupieniu. Adam Bendieux pierwszy przerwał milczenie.

– Co to ma być?! – wykrzyknął oburzony, gestykulując gwałtownie. – Co to za cyrk?! To znowu jakieś twoje pomysły, ojcze? Kolejna intryga, żeby mi dowalić? Co ty odgrywasz? Skończ z tym! To był błąd, że pozwoliłem ci się wkupić do mojego życia. Błędem było przyjęcie tego mieszkania od ciebie. Zostawiłem ci drobną szczelinę, a ty chcesz się przez nią wcisnąć do mojego świata, mącisz, kłamiesz i intrygujesz. Co próbujesz osiągnąć? Zostaw mnie wreszcie w spokoju! Nie potrzebuję ciebie! Kiedy to w końcu zrozumiesz? Nie miałem ojca jako dziecko, teraz jestem dorosły i nic od ciebie nie chcę! Radzę sobie doskonale sam. Co to wszystko ma znaczyć?!

– Adam – Gwidon drżał jak osika. – Synu, to nie tak. To nie żadne gierki. Ja nic... To niemożliwe. Błagam cię na wszystkie świętości. Powiedz mi, przysięgnij, że to nie twoje zdjęcie!
– Wyciągnął fotografię w stronę Adama.

– Nie wiem, w co ty pogrywasz – wycedził przez zaciśnięte wargi młody Bendieux, ignorując wyciągniętą dłoń ojca. – I nie chcę wiedzieć. Wynoś się. Zabierz swojego współnika i wynoś się z tego domu. I nigdy tu nie wracaj. To koniec. Nie będzie żadnych kurtuazyjnych wizyt, żadnych bożonarodzeniowych pojednań, żadnych spotkań. Nie chcę cię nigdy więcej oglądać. Nie chcę cię w moim życiu i w życiu mojej rodziny. Wyjdz! – Stanowczym ruchem wyciągnął rękę, wskazując drzwi.

– Adam... – Gwidon skulił się jak pod uderzeniem bata. – Błagam, ja... Adam. Powiedz mi tylko, czy to jesteś ty, tutaj na tym zdjęciu.

– Nie wiem – burknął z wściekłością jego syn. – Nie znam tej fotografii, ale nie wiem, ile zdjęć z ukrycia zrobili mi twoi szpiecy. Mam tego dosyć, ojcze! Odejdz, po prostu odejdz. Nie zmuszaj mnie do wzywania policji.

– Adam...

Gwidon stał zgarbiony przed synem. Po jego twarzy strumieniem płynęły łzy. Marek objął go i powoli, w milczeniu poprowadził w stronę drzwi. Jego przyjaciel szedł bezwładny i osłupiały. Jeszcze w progu jakby ostatkiem sił wyswobodził się z uścisku, odwrócił i powiedział słabym głosem:

– Adam, sam już nie wiem – wyszeptał. – To niemożliwe, ale... Adam, jeśli to nie ty... Miałaś siostrę. Ja myślałem, że ona... Widziałem na własne oczy jej śmierć.

– Milcz! Milcz! Milcz! – Tamten wrzeszczał jak oszalały. – Dosyć. Nie zniosę tego dłużej.

Milcz i wyjdź stąd. Odejdź.

Marek pociągnął Gwidona w stronę korytarza. Jego mentor nawet się nie opierał. Szedł powoli, a wielkie łzy kapały z jego oczu na zakurzoną posadzkę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Adam opadł na kolana. Jego ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch.

Marek zaprowadził przyjaciela do pierwszej ulicznej kafejki. Usadził go przy stoliku i zamówił u kelnera koniak. Postawił kieliszek przed Gwidonem i patrzył na niego w milczeniu.

Po dłuższej chwili tamten podniósł głowę i położył na stoliku między nimi fotografię Ewy.

– Marku – wykrztusił błagającym tonem. – To zdjęcie Adama, prawda?

– Nie, Gwidonie. – Marek pokręcił przecząco głową. – To zdjęcie mojej narzeczonej. Są bardzo podobni – dodał łagodnie.

Architekt potrząsnął głową. Marek miał wrażenie, że przyjaciel jest w szoku.

– Też mnie to zaskoczyło – mówił dalej uspokajającym tonem. – Kiedy zobaczyłem twojego syna, po prostu mnie zatkało. Przez chwilę byłem pewien, że stoi przede mną Ewa. Niesamowity zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności – powtórzył automatycznie jego mentor. – Ewa... Nawet takie samo imię. Zbieg okoliczności. To niemożliwe.

– Co jest niemożliwe? – Marek podał mu kieliszek. – Wytłumacz mi, co się właściwie stało. Na górze, w mieszkaniu.

– Nie wiem – wyszeptał Gwidon. – To niemożliwe. – Pociągnął długi łyk koniaku. – Przez chwilę myślałem, że... To niemożliwe. Kiedyś, dawno temu, miałem jeszcze córkę.

– Jak to, miałeś?

– W Indochinach, w Kambodży, trzydzieści lat temu. – Kolejne łzy spłynęły po jego policzkach. – Miałem dom, rodzinę, żonę... To niemożliwe.

– W Kambodży? – powtórzył zaskoczony Marek. – Nigdy mi nie mówiłeś, że byłeś w Kambodży.

– Nigdy nic ci nie mówiłem. – Architekt opróżnił do końca kieliszek. – To wszystko wydaje się niemożliwe. Masz jeszcze jakieś zdjęcia swojej narzeczonej?

– Mam, dużo, w domu – odparł zaskoczony Marek.

– Pokażesz mi?

– Oczywiście. Wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Dobrze. – Jego przyjaciel westchnął. – Czas najwyższy, żebym komuś powiedział. Dlaczego nie tobie, właściwie poza tobą i tak nie mam nikogo. Powiem ci w domu. Zawiesz mnie? Coś niewyraźnie się czuję.

Samochód był zaparkowany zaledwie przecznicę dalej. Całą drogę do domu Gwidon milczał zatopiony w myślach, a Marek nie miał odwagi przerwać ciszy. Gdy dotarli do mieszkania, architekt udał się do salonu, napełnił dwa kieliszki mocnym alkoholem i poprosił Marka:

– Przynieś te zdjęcia. Opowiem ci wszystko.

Marek wyjął z walizki cieniutki plastikowy albumik. Zabrał ze sobą te parę zdjęć. Zawsze kiedy miał ciężki dzień, oglądał je przed snem. Tak bardzo tęsknił za Ewą.

Wrócił do salonu. Podał album przyjacielowi i usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Mam tylko parę fotek z naszych ostatnich wspólnych wakacji i z zaręczyn. Ewa wygląda na nich trochę inaczej. Przed moim wyjazdem ścięła włosy na krótko.

– Niesamowite. – Gwidon przerzucał kolejne strony, przyglądając się uważnie twarzy narzeczonej Marka. – To niesamowity zbieg okoliczności. Jak kompletnie obce kobiety mogą

być tak do siebie podobne? Ona jest identyczna. Nawet włosy układają jej się tak samo...

– Identyczna? – zapytał Marek. – Powiesz mi w końcu, co tu jest grane?

– No oczywiście, obiecałem przecież. Twoja Ewa wygląda jak moja nieżyjąca żona. Gdybym nie wiedział, że twoja narzeczona jest Polką, przysięgłbym, że to ta sama osoba. Ile lat ma Ewa?

– Dwadzieścia osiem – odpowiedział Marek.

– No tak, dwadzieścia osiem. Adam jest od niej dwa lata starszy – odrzekł z rezygnacją Gwidon.

– Ewa obchodzi urodziny siedemnastego listopada, ale tak dokładnie nie wiadomo, kiedy się urodziła. Została adoptowana, nie istnieje jej oryginalny akt urodzenia. Dembscy obchodzą dzień, gdy ją poznali, jako dzień jej urodzin.

– Jak to, adoptowana? – zapytał z zaskoczeniem Gwidon. – To nie jest ich rodzona córka?

– Nie. Adoptowali ją, gdy była małym dzieckiem.

– Skąd ją wzięli?! – zapytał gwałtownie Gwidon.

– Nie wiem, pewnie z jakiegoś sierocińca. – Marka zaczynała denerwować ta rozmowa. – Ewa niechętnie o tym opowiada, twierdzi, że nie wie, co było wcześniej, że jej wspomnienia zaczynają się dokładnie w dniu operacji. Jako dziecko miała poważnie upośledzony słuch. Dembscy są lekarzami, załatwili jej operację. Przestań mnie przesłuchiwać. Powiesz mi w końcu, o co tutaj chodzi, czy nie?

– Marek, musisz natychmiast zadzwonić do Polski. – Jego przyjaciel był coraz bardziej wzburzony. – Musisz się dowiedzieć szczegółów o adopcji tej dziewczyny. To niemożliwe, ale muszę mieć pewność!

– Przestań, Gwidon – przerwał mu Marek. – Nigdzie nie będę dzwonił. Nie zrobię nic więcej, dopóki mi nie wyjaśnisz, co to wszystko znaczy. Zachowujesz się, jakbyś stracił rozum.

– Marek, proszę. Ja muszę wiedzieć, bo zwariuję. Przysięgam, że wszystko ci opowiem, tylko zadzwoń.

– Nie. Chyba już oszalałeś! Żądasz ode mnie, żebym nękał moich przyszłych teściów pytaniami o ich prywatne sprawy, bez żadnego uzasadnienia. Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, kim byli rodzice Ewy. Porzucili ją, bo była upośledzona, i już sam ten fakt jest wystarczająco bolesny dla niej i dla Dembskich. Nie zamierzam niczego więcej się dowiadywać, dopóki mi nie powiesz, o co w tym całym szaleństwie chodzi. Koniec kropka.

– Dobrze. – Gwidon opanował emocje. – Opowiem ci wszystko od początku. Ale obiecaj mi, że jak już będziesz wiedział, to zadzwonisz. Sprawdzisz.

– Nie wiem, co prawda, co miałbym sprawdzać, ale dobrze. Obiecuję, że jeśli to, co usłyszę, sprawi, że uznam za konieczne dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości Ewy, to zadzwonię.

Bendieux pochylił się w stronę Marka i już miał rozpocząć wyjaśnienia, kiedy rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi wejściowych. Architekt drgnął.

– Poczekaj. Zobaczą tylko, kogo diabli niosą. – Wyszedł do korytarza.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, a potem szmer zdenerwowanych głosów. Po chwili przyjaciel wrócił, a za jego plecami Marek ujrzał Adama.

– Wejdz, usiądź – powiedział architekt do syna.

– Postoję. Chcę tylko paru prostych wyjaśnień – oświadczył młody Bendieux.

– I dobrze się składa, bo właśnie miałem zamiar ich udzielić – spokojnie odparł Gwidon. – Jeśli chcesz, to sobie stój, ale ta historia nie jest krótka. Właśnie chciałem opowiedzieć Markowi o twojej rodzinie. Ta opowieść bardziej należy się tobie niż jemu, więc dobrze, że jesteś.

– Nigdy nic mi nie opowiadałeś – wytknął mu Adam.

– No to czas najwyższy. – Gwidon nalał koniaku do trzech dużych kieliszków i machnął wymownie ręką w kierunku fotela, patrząc na syna.

– Urodziłem się co prawda w Paryżu, ale tylko i wyłącznie w wyniku kaprysu mojej matki, która uparła się, że musi natychmiast po wojnie wrócić do Europy i zabezpieczyć mienie rodziny, aby nie przepadło. To była bardzo energiczna kobieta. Zarządzała majątkiem ojca żelazną ręką. Nigdy jej nie poznałeś, Adamie, zmarła krótko po moim ślubie z twoją mamą. To na jej pogrzeb przywiozłem po raz pierwszy Robam Sue do Europy.

– Robam Sue? – przerwał mu Adam.

– Twoją matkę. Moją khmerską żonę, Robertę. W jej paszporcie wpisano francuskie imię. Na twoim akcie urodzenia figuruje jako Roberta Bendieux. Naprawdę nazywała się Robam Sue. Była Khmerką z Kambodży.

– Z Kambodży?! – powtórzył Adam z niedowierzaniem, otwierając szeroko oczy. – Czy ty aby nie zmyślasz, ojcze? Może znowu mnie okłamujesz? Zawsze byłem przekonany, że nasza rodzina wywodzi się z Paryża, że zawsze tu mieszkała? Przecież widziałem stare fotografie i nawet dokumenty. Co ty mi tu opowiadasz? Wiem doskonale, że ten dom należał już w trzynastym wieku do rodziny Bendieux!

– Oczywiście, że tak. – Jego ojciec potakująco skinął głową. – Wcale się nie mylisz. Dom należał do naszej rodziny, ale wcześniej ta rodzina była dosyć duża. Dopiero po wojnie zostałem tylko ja. I ocalałem jedynie dlatego, że któregoś z moich pradziadków skusiły bogactwa kolonialne i poniosło go do Azji, do francuskich Indochin. Wszyscy Bendieux, którzy zostali w Europie, zginęli w czasie drugiej wojny światowej. Ty urodziłeś się w Kambodży i jesteś w połowie, ze strony matki, Khmerem.

– To jakaś kompletna bzdura!

– To moja wina, że nic o tym nie wiesz. Musisz mi wybaczyć.

– Nigdy słowem nie wspomniałeś o mojej matce. Jakby nie istniała. Nie przyszło ci do głowy, że to może być dla mnie ważne? Zawsze myślałem, że mnie nie chciała, że mnie porzuciła. Potem, jak w końcu wydusiłeś z siebie, że nie żyje, to myślałem, że była... nie wiem, złodziejką, dziwką albo nie wiadomo kim. Nawet grobu nie miała. Dlaczego mi nic nigdy nie powiedziałeś?

– Bo to za bardzo bolało, synu. – Gwidon popatrzył na niego z żalem. – Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz, że zrozumiesz. Popełniłem straszny błąd.

– Owszem – potwierdził brutalnie Adam. – Nie wszystkie błędy da się naprawić. Opowiedz mi dzisiaj wszystko. Wszystko to, czego mi nie mówiłeś.

Marek siedział nieruchomo w fotelu. Cała ta sytuacja ciekawiła go niepomiernie, ale czuł się jak intruz. To powinna być tylko rozmowa ojca z synem. A on tkwił tu jak piąte koło u wozu i podsłuchiwał. Jak jakiś podglądacz. Odstawił delikatnie kieliszek na stół.

– Słuchajcie – odezwał się, wstając. – Może ja was zostawię samych? Chyba tak będzie lepiej.

– Może i lepiej – przyznał Adam. – W końcu to sprawy rodzinne.

– Zostań – powiedział równocześnie Gwidon. – To są sprawy rodzinne, ale koniec tej historii w jakiś sposób dotyczy też i ciebie. Jeśli się zgodzisz, Adamie, to chciałbym, żeby Marek został. To ważne.

– Moje zdanie i tak nigdy nie miało dla ciebie żadnego znaczenia, więc i teraz nie jest istotne. – Adam wzruszył ramionami. – Wszystko mi jedno.

– Usiądź, Marku. Chcę, żebyś był przy tej rozmowie. – Gwidon zapraszająco skinął ręką w stronę młodego Polaka. – A teraz proszę, żebyście mi nie przerywali. Wysłuchajcie po prostu historii tej rodziny, pytać możecie później.

Zapalił papierosa i podjął przerwana rozmowę.

– Jestem architektem. Znam doskonale historię wielu paryskich budynków, a przede wszystkim tego, w którym mieszkam. Dlatego wiem, że pierwszy akt własności z roku bodajże tysiąc dwieście siedemdziesiątego drugiego roku wskazuje, iż dom należał do mieszczańskiej rodziny Bendieux, do niejakiego Roberta. To pewnie był nasz przodek. Potem właściwie cała nieruchomość przechodziła z ojca na syna bez większych zawirowań. Bendieux musieli być bogaci. Dopiero prawie sześćset lat później zaczęło się im wieść nieco gorzej albo może po prostu za bardzo się rozmnożyli i jeden z naszych kolejnych przodków, Pierre, wyemigrował do Azji. W Paryżu została duża rodzina, która zajmowała całą tę kamienicę, a Pierre Bendieux zapewne odkrył w sobie żyłkę awanturniczą albo może chciał się wzbogacić i wyjechał do francuskiej kolonii w Indochinach. Tam, nie wiadomo, w jaki sposób, zdobył majątek, założył plantację karczuku i zbudował dom. Potem znalazł sobie w Paryżu francuską żonę i wrócił z nią do Azji. W Indochinach urodził się mój ojciec, a twój dziadek. Jako młody człowiek wyjechał do Europy na studia, gdzie poznał moją babcię Eleonorę. Zamieszkali na plantacji. Babcia Eleonora była niesamowita. Żelazna dama, która zmuszała absolutnie wszystkich do posłuszeństwa. Zarządzała całą plantacją, nie tylko służbą domową, wszystkimi. Urodziła siedmioro dzieci. Najstarszy był mój ojciec i on jedyny pozostał w Azji. Wszystkie pozostałe babcia pożeniła bądź powydawała za mąż we Francji, a młodszego syna mojego stryja Edwarda wysłała do Paryża i ulokowała w tej kamienicy. Mój ojciec nie miał nic do gadania, sprowadziła mu z Paryża żonę, moją matkę, która charakterem nie różniła się zbyt od babci. Bardzo ją kochałem, a jeszcze bardziej jej się bałem. Ojciec zresztą też, jak mi się wydaje.

Przerwał, napił się koniaku i zapalił kolejnego papierosa. Adam już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale na szczęście rozmyślił się i zamilkł. Gwidon kontynuował swoją opowieść.

– Jak już wspomniałem, urodziłem się w Paryżu. Moja uparta jak stado osłów i stanowcza mamusia zaledwie parę miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej postanowiła sprawdzić, co się dzieje z paryskim majątkiem ojca. Zostawiła go na straży plantacji, a sama, już w ciąży, wybrała się w podróż tylko w towarzystwie ciotki przyzwoitki. Rodziny żadnej nie znalazła, bo wszyscy krewniacy zginęli w wojennej zawierusze. Dom stał nienaruszony, dzicy lokatorzy dopiero zaczęli się wprowadzać. Mama urodziła mnie w tym domu, bez niczyjej pomocy, bez lekarzy i bez żadnych komplikacji. Już dwa dni później zaczęła biegać po mieście, zostawiając mnie pod opieką ciotki. W ciągu trzech miesięcy dopięła swego i załatwiła wszystko, jak chciała. Potwierdziła nasze prawo do nieruchomości – jeśli chcesz, pokażę ci dokumenty z pieczęciami tymczasowych władz administracyjnych. Na niektórych są nawet stemple wojskowych dowódców amerykańskich. Ona zawsze potrafiła dopiąć swego. Upór to ty, synu, chyba po niej odziedziczyłeś.

W paryskim mieszkaniu zostawiła starą ciotkę, sama zaś wraz ze mną wróciła do domu do Indochin, do Kambodży. Kiedy ukończyłem osiemnaście lat, wysłała mnie na studia do Paryża. Mieszkałem tutaj, w tym apartamencie, z ciotką, która miała już chyba ze sto trzydzieści lat. Mimo to nadal funkcjonowała świetnie i wypełniała wiernie wszystkie rozkazy mojej mamusi. Z czasem posprzedawały obcym ludziom pozostałe piętra domu, zatrzymując sobie tylko ten apartament. Mama wysłała mnie na studia z przykazaniem znalezienia sobie przyzwoitej francuskiej żony. Miałem ją przywieźć do domu, gdzie planowała już wesele. Dlatego ciotka przez cały ten czas nękała mnie herbatkami, przedstawiając mi coraz to nowe odpowiednie kandydatki, wszystkie śmiertelnie nudne. Poza tym było mi wiecznie zimno i tęskniłem za domem. Wychowałem się tam, na plantacji Phum Bak Prea, między Battambang a Siem Reab.

Całe moje życie było związane z Kambodżą. Miałem tam swoich przyjaciół, rodzinę, dom. Odbębniłem studia, jak matka przykazała, zdobyłem dyplom architekta i wróciłem do domu, lecz bez narzeczonej. Miałem dwadzieścia trzy lata.

Gwidon zrobił przerwę w opowiadaniu. Adam niejako automatycznie chwycił butelkę koniaku ze stolika i dolał ojcu alkoholu do pustego już kieliszka.

– Teraz zaczynam rozumieć twoją fascynację stylem kolonialnym – powiedział Marek w zamyśleniu. – Cała ta przebudowa, remont apartamentu siedem lat temu, to była próba powrotu do korzeni, do domu dzieciństwa?

Adam, wciąż milcząc, napełnił kieliszki ich obu.

– Pewnie tak – odparł Gwidon. – Trochę tak. Ale bardziej była to próba przywołania ducha Robam Sue. Po tylu latach rana trochę się zagoiła. Byłem w stanie spokojnie myśleć o tamtych czasach. O niej.

– Kiedy ja tu jeszcze mieszkałem – wtrącił Adam. – To znaczy, kiedy przyjeżdżałem na wakacje, całe to mieszkanie było urządzone w obrzydliwym stylu nie wiadomo jakim. Połączenie klasycznych lat sześćdziesiątych z burżuazyjnym duchem sprzed drugiej wojny światowej. Mieszkanie architekta. Szewc bez butów chodzi. – Roześmiał się nerwowo. – Dobrze, że nie miałem kolegów w Paryżu, bo wstydziłbym się ich tutaj zapraszać.

– Niedobrze, że nie miałeś, synu. – Gwidon pokiwał głową. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. Robam na pewno też by mi nie wybaczyła. Bardzo was kochała.

– Nas? – zapytał Adam.

– Tak, was. Ciebie i twoją siostrę – odpowiedział cicho architekt.

– To ja mam siostrę? Nie dręcz mnie już, mów szybko. Gdzie ona jest? Czy mieszka z matką? Rozstaliście się? Została tam, w Kambodży?

– Nie, synu. – Gwidon smutno pokiwał głową. – Jesteśmy tylko my. One już dawno nie żyją.

– To smutne – szepnął cicho Adam, opuszczając głowę.

– Powiem wam, co było dalej. – Gwidon powrócił do swojej historii. – Moją mamusię szlag trafił, że nie wypełniłem rozkazu. Ojciec już mocno niedomagał, więc nie mogła natychmiast rzucić wszystkiego w diabły i pojechać sama, by szukać mi żony. Czasy zrobiły się trudne. W nasze spokojne wiejskie życie powoli zaczęła się wdzierać polityka. Sytuacja w kraju stawała się coraz bardziej skomplikowana. Już od lat sześćdziesiątych w Kambodży właściwie trwała wojna domowa. Dziwna wojna, przez długi czas prawie jej nie zauważaliśmy, nie miała nic wspólnego z nami. W zasadzie byliśmy przekonani, że ta wojna nas nie dotyczy, przecież toczyła się między Ameryką a Wietnamem, a nasza Kambodża nie brała w tym konflikcie żadnego udziału. Ponoć gdzieś tam, na wschodzie kraju, ludziom bomby leciały na głowy. W lasach działała partyzantka, wojska rządowe ją tępiły. Były jakieś egzekucje. Amerykanie mieszały się w sprawy Kambodży, Wietnamczycy też. Wielka polityka. Jakoś to jednak wcale do nas nie docierało. Nasze życie płynęło spokojnym leniwym nurtem, tak leniwym jak wody pobliskiej rzeki, wpadającej do wielkiego jeziora Tonle Sap. Tata już prawie nie opuszczał łóżka, matka musiała zarządzać całą plantacją i domem. No i oczywiście musiała się opiekować ojcem, który miał zaawansowanego raka. Ale kiedy tylko umarł, zaledwie miesiąc po pogrzebie wypłynęła do Europy, zostawiając mnie na plantacji samego, jedynie ze służbą. Nie było jej pół roku. To było pół roku rajy na ziemi. Plantacja funkcjonowała własnym rytmem, mamusia mnie nie kontrolowała, przenieśliśmy się na stałe do hotelu w Siem Reab i całymi dniami balowałem z kolegami. Ślepy byłem. Nic nie widziałem. Świat wokół mnie zaczynał się walić, a do mnie to w ogóle nie docierało. Hulałem po przyjęciach, świętowałem z przyjaciółmi młodość. Pierwszy

raz zobaczyłem twoją matkę, jak występowała w restauracji. Robam Sue była utalentowaną tancerką. Mnie wydała się oszałamiająca. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Jeszcze dziś śni mi się nocami w klasycznym tańcu apszary. Masz w sobie coś z niej, Adamie, tę subtelną dumę i grację w ruchach. Robam miała tak giętkie kości, że potrafiła odchylić nadgarstek tak, że palce dotykały przedramienia. Poruszała się jak wiatr, jak marzenie. Była cudowna. Adorowałem ją prawie dwa miesiące, zanim zgodziła się na pierwszą randkę. I to nie taką randkę jak wy, młodzi, to sobie dzisiaj wyobrażacie. Mogłem zobaczyć się z nią w domu jej rodziców, czujnie przez nich obserwowany i oceniany. Nawet za rękę nie mogłem jej wziąć, co tam wspominać o pocałunku. Robam Sue była panienką z dobrego domu. Wy myślicie sobie „tancerka” i od razu stają wam przed oczami europejskie dziewczyny tańczące w knajpach przy rurze. Kompletna bzdura. Tancerki w Kambodży były wielkimi artystkami. To, że występowały w restauracjach, o niczym nie świadczy. Ten rodzaj tańca, którego mistrzynią była Robam, bardziej można by porównać z klasycznym baletem niż z popularną rozrywką. Tylko nieliczne utalentowane dziewczęta z bogatych rodzin, które mogły sobie na taki wydatek pozwolić, wyjeżdżały do stolicy, Phnom Penh, na dziewięcioletnie studia. Bo żeby zostać profesjonalną tancerką, jedną z najbardziej cenionych w tym kraju, trzeba było się uczyć w poważanej królewskiej akademii tańca. Robam była nie byle kim. Na mnie zaś jej rodzina patrzyła niechętnie, bo byłem Francuzem. Tamci chcieli dla niej khmerskiego męża, Robam jednak zakochała się właśnie we mnie. Jej rodzice, na szczęście, cenili sobie tradycję, ale dużo bardziej zależało im na szczęściu swoich dzieci. Moi teściowie byli bardzo mądrymi i nowoczesnymi ludźmi. Nie rzucali córce kłód pod nogi. Tuż przed powrotem mojej matki do Kambodży Robam zgodziła się zostać moją żoną. Długo musiałem walczyć o to małżeństwo. – Gwidon zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. – Najpierw walczyłem o miłość Robam i zgodę jej rodziców, potem trzeba było przełamać opór mojej mamy. Z początku się nie zgadzała. Dla niej Khmerowie mogli być jedynie naszymi służącymi. Była pełna głupich uprzedzeń. Życzyła sobie, żebym miał francuską żonę. Wyrzuciła mnie nawet na krótko z domu. Potem, gdy ochłonęła z wściekłości, pozwoliła mi wrócić. Tylko ja jej zostałem. Nie miała wyjścia, moja determinacja była większa od jej uporu. Chyba wtedy pierwszy raz w życiu poniosła porażkę. Musiałem mieć jej błogosławieństwo, bez tego Robam nie zgodziłaby się wyjść za mnie. W ich kulturze matka jest najważniejszą osobą, bez jej woli nie może się nic wydarzyć. Robam, wychowana w khmerskiej tradycji, nigdy nie przeciwstawiłaby się woli mojej matki. Na szczęście mama w końcu uległa. Wzięła udział w uroczystości ślubnej, ale urażona duma nie pozwalała jej patrzeć spokojnie na moje szczęście. Spakowała manatki i wróciła na stałe do Francji. Pół roku później umarła. Czasami myślę, że zabiła ją złość, że coś się stało niezgodnie z jej wolą. Nie dożyła narodzin wnuków. Wy przyszliście na świat trzy lata po jej śmierci, trzynastego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Szaleństwo Czerwonych Khmerów już trwało, ale nawet wówczas jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego rozmiarów.

Zgasił papierosa i podszedł do okna. Przez chwilę spoglądał na ulicę, potem wrócił do stolika, usiadł i powiedział:

– Bardzo was kochała. Ciebie i twoją siostrzyczkę. Byliście bliźniakami jednojajowymi, naprawdę identycznymi, nawet my was nie odróżnialiśmy. – Sięgnął dłonią przez stół i ujął rękę Adama. – Jesteś tak bardzo podobny do matki, tak podobny, że każde spojrzenie na ciebie sprawiało, że moje serce wyło z bólu i tęsknoty. To dlatego, rozumiesz?

Adam nie próbował wyrwać dłoni. Słuchał jak zaczarowany każdego słowa ojca. Milczał.

– Tak bardzo was kochała – mówił cicho Gwidon. – Nie spuszczała was ani na chwilę z oczu.

Śpiewała wam kołysanki i tańczyła z wami. Nawet nie wiesz, nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ten twój ruch, gdy jesteś zdenerwowany, to splecenie palców... – Nieporadnie pomachał dłonią, a Adam uniósł swoją i odruchowo złączył dwa palce z kciukiem, odchylając dwa pozostałe w górę pod nieprawdopodobnym kątem. – Tak, właśnie to. – Jego ojciec się uśmiechnął. – To lotos – gest tancerki apsary.

Marek poruszył się niespokojnie, wpatrzony w nich obu.

– Robisz to nieświadomie – Gwidon pogładził syna po dłoni – ale to twoja mama cię nauczyła. Tańczyła z wami. Jeszcze nie umieliście dobrze chodzić, a już tańczyliście, oboje. Twoja matka, synku, była wyjątkową kobietą. Była wspaniała, możesz być z niej dumny.

– I co się stało, tato? – zapytał cicho Adam.

– Przyszła wojna. Czerwoni Khmerzy zabili je obie.

Zapadła długa chwila ciszy. Adam milczał, wyginając nerwowo palce. Gwidon siedział ze spuszczoną głową, a Marek czekał w napięciu na jakieś wyjaśnienia. Wreszcie nie wytrzymał.

– Gwidon, dlaczego chciałeś, żebym zadzwonił do rodziców Ewy? – zapytał niecierpliwie. – Podobieństwo rzeczywiście jest niesamowite. Myślisz, że to może być ona? Twoja córka?

– Nie, Marku, to niemożliwe. – Jego przyjaciel westchnął ciężko. – Owszem, podobieństwo rzeczywiście jest uderzające. Twoja narzeczona na starszych zdjęciach wygląda zupełnie tak jak moja Robam, wręcz identycznie. Jednak to niemożliwe. Widziałem na własne oczy, jak zginęły.

– Jak to się stało, tato? – zapytał cicho Adam.

– Prawie wszyscy już uciekli, obcokrajowcy masowo opuszczali już Kambodżę. Zbyt długo sądziliśmy, że nas to nie dotyczy. Wszak nie czuliśmy się cudzoziemcami, to był nasz dom, nasza plantacja, nasza ojczyzna. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Czerwoni Khmerzy zabijali bez powodu. To była rewolucja, synu, krwawa rewolucja, której celem stała się zemsta. Zbyt późno to zrozumieliśmy. Najgorsze, że pragnienie tej zemsty było w pełni uzasadnione. Jak mogłem być tak naiwny, tak ślepy?

– Jaka zemsta? – zdziwił się Marek. – Przecież uczyłem się na historii, że wojna w Kambodży była próbą pozbycia się kolonializmu i wprowadzenia komunizmu. To polityka chyba, nie żadna zemsta.

– Mylisz pojęcia, mój drogi. – Gwidon wzruszył ramionami. – Przyjmujesz za prawdę skrawki informacji. Nasza europejska edukacja skupia się na odległej przeszłości, całkowicie ignorując teraźniejszość. Nie masz pojęcia o świecie, w którym żyjesz, tak samo zresztą, jak ja nie miałem. Kolonializm w Indochinach w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia jest mitem i bajką. Jedyny powód, który sprawia, że my, Europejczycy, w nią wierzymy, to fakt, że Kambodża, Wietnam, Tajlandia, te wszystkie kraje są nam tak odległe i obce, że wręcz nierealne. Nic o nich nie wiemy i wierzymy w kłamstwa. Dla nas realny jest mur berliński i rozpad Jugosławii. To rozumiemy, bo zdarzyło się obok, na naszym własnym podwórku, w Europie. A Azja, Indochiny? Dzielą nas tysiące kilometrów, to za daleko, aby dostrzec prawdę. Nie masz pojęcia! Uczą nas w szkołach o okropieństwach drugiej wojny światowej, a czy zdajesz sobie sprawę z tego, że w czasie wojny w Wietnamie, która właściwie wcale nas nie dotyczyła, Amerykanie rzucili na niezaangażowane przygraniczne tereny Kambodży trzy razy więcej bomb niż na Japonię w czasie drugiej wojny światowej? Trzy razy więcej, nawet jeśli wliczyć w to obie bomby atomowe, te z Hiroszimy i Nagasaki!

– Nie miałem pojęcia – wyszeptał Marek.

– Ja też długo nie miałem. Niestety. Nam się wydaje, że wojna w Kambodży była odpowiedzią na ataki Ameryki, próbą przeciwstawienia się imperializmowi, kapitalizmowi albo reakcją na

kolonializm. Nie. Tamta wojna domowa nie miała nic wspólnego z kolonializmem. Francuzi w Kambodży byli Kambodżanami, tak samo jak Khmerzy. Z czasem się zasymilowali, tak jak moja rodzina. Ja sam nigdy nie czułem się Francuzem ani kolonialistą. No dobrze, byłem potomkiem kolonialistów, ale co to miało wspólnego ze mną? Bardziej czułem się związany z moimi przyjaciółmi, dziećmi z bogatych rodzin khmerskich, tak jak rodzina Robam Sue, niżli z jakimiś Francuzami. Wychowałem się w Phum Bak Prea, skończyłem szkołę w Siem Reab. To było moje życie. Zgoda, potem rodzina wysłała mnie na studia do Paryża, ale uwierz mi, to Europa, Francja wydawały mi się obce, niezrozumiałe i egzotyczne. Nie Kambodża. Kambodża to był dom. Podziwiałem i szanowałem rodzinę królewską. Jak każdy inny mieszkaniec Kambodży, jak moi szkolni koledzy, czułem się dumny z naszego księcia Sihanouka. Chyba tylko z jednego nie zdawałem sobie kompletnie sprawy. Nie widziałem olbrzymich różnic społecznych w moim kraju. Dla mnie było normalne, że są bogaci i biedni. Nie rozumiałem, jak wielka przepaść ich dzieli. Nie dostrzegałem tego, bo to normalne. Wszyscy moi przyjaciele pochodzili z bogatych rodzin posiadaczy ziemskich, urzędników państwowych i inteligencji. Widywałem wieśniaków, ale zawsze wydawali się szczęśliwi. Biedniejsi niż moja rodzina, ale szczęśliwi. Mieli swoją pracę, swoje pola ryżowe, domy na palach. Wszystko było w porządku. Nie widziałem niesprawiedliwości w tym wszystkim. Nie zauważyłem, jak powoli dojrzewała zemsta. Nie wiedziałem, jak skorumpowany jest cały rząd, jak niedojrzały i niepoważny mój książę Sihanouk. Nie interesowało mnie to. A potem było już za późno. Najbiedniejsi, ponizani, ubodzy, wyrzutki społeczne, ci usunięci poza margines uprzywilejowanego społeczeństwa, dokonali swojego *Kum*. *Kum* to dobre określenie, oznacza po khmersku taką bardzo charakterystyczną kambodżańską mentalność zemsty. Kambodżanie są bardzo uprzejmi i łagodni, unikają kłótni i otwartych konfrontacji, lecz nigdy nie zapominają o doznanych poniżeniach. Jeśli obrazisz publicznie Khmera, a on uzna, że stracił twarz, potrafi całe lata pielęgnować w sercu urazę. Kiedy tylko będzie miał okazję, zemści się nieproporcjonalnie do twojej winy, zabije cię po kryjomu, nawet jeśli będzie musiał na to czekać dziesiątki lat. Ta wojna była zemstą ciemnego ludu na wszystkich bogatszych, wykształconych, uprzywilejowanych. Ja byłem jednym z tych bogatszych i do ostatniej chwili nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zapłaciłem za to najwyższą cenę. Straciłem wszystko. Straciłem miłość mojego życia, moją Robam.

– Jak to się stało, tato? – zapytał cicho Adam. – Jak zginęła moja matka?

– Długo mieliśmy nadzieję, że sytuacja w końcu się ustabilizuje. Przecież Czerwoni Khmerzy rządili już w naszej prowincji prawie trzy lata. Czasami przyjeżdżali do nas urzędnicy, ale w rezultacie wszystko funkcjonowało prawie tak samo jak wcześniej. Jednak w roku waszych narodzin zaczęło być coraz gorzej. Zabroniono eksportu naszej produkcji, pieniądze zaczęły tracić wartość, na targach w Battambang funkcjonował tylko handel wymienny. Nie mieliśmy żadnych problemów z wyżywieniem rodziny, w końcu nasze pola dawały wystarczające zbiory, aby utrzymać całą plantację, służbę domową, pracowników, wszystkich. Jednak z czasem coraz trudniej było dostać jakiegokolwiek inne towary niż te, które wytwarzaliśmy sami na plantacji. Potem zaczęły się wizyty urzędników i żołnierzy, konfiskaty majątku. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Nasi pracownicy zaczęli masowo opuszczać plantację, po prostu uciekali do miasta. Służba domowa była coraz bardziej zaniepokojona. Krążyły nieprawdopodobne opowieści. Robam Sue bała się o wasze bezpieczeństwo. Postanowiliśmy opuścić na jakiś czas dom i przeczekać we Francji, aż sytuacja się uspokoi. Spakowaliśmy większość dobytku, zabraliśmy ze sobą najbliższą służbę, waszą nianię Yat, głównego lokaja, kucharkę,

i pojechaliśmy samochodem do Battambang w nadziei, że uda nam się jeszcze znaleźć jakiś transport do Europy, do Paryża. Dopadli nas na przedmieściach, wywlekli z samochodów jak zwierzęta. To były dzieciaki, Adam, chłopcy i dziewczynki z bronią, omotani czerwono-białymi chustami, dziesięciolatek, może nawet młodsi. Oni bawili się w wojnę, bawili w zabijanie. Próbowaliśmy im tłumaczyć, nie chcieli słuchać. Mieli swoje rozkazy. Zabili lokaja Luana, bez żadnego powodu, tylko dlatego, że próbował im wyjaśnić sytuację. Pognali nas wszystkich, jak bydło, do dowódcy, który też był dzieciakiem. Potem tylko dzięki naszym francuskim paszportom pozwolili nam iść dalej, do francuskiego konsulatu. I mylisz się, jeśli sądzisz, że czytali te paszporty. To byli analfabeci. Trzymali dokumenty do góry nogami, wpatrując się z mądrymi minami w wyrazy, których znaczenia nie pojmowali. Widocznie otrzymali rozkaz, żeby obcokrajowców z takimi książeczkami nie zabijać od razu. Nasi khmerscy służący nie mieli takiego szczęścia. Tamci zastrzelili lokaja, a resztę rozgonili kopniakami. Potem strzelali dla zabawy ponad głowami uciekających, gdy ci w przerażeniu biegli w stronę lasu. Całą drogę do ambasady bałem się, że to koniec, że nas w końcu zabiją. Przed samą bramą znowu zaczęły się kontrole. To było przerażające. Przedzieraliśmy się z wami na rękach między szpalerem uzbrojonych, agresywnych dzieciaków, modląc się, żeby ktoś nie zaczął dla zabawy do nas strzelać. Szliśmy, a oni podkładali nam nogi, pluli i rozdzielali kopniaki. Szedłem pierwszy z tobą w ramionach, wysoko podnosząc w górę mój francuski paszport. Robam niosła Ewę, twoją siostrę. Przytulała ją mocno do piersi, zasłaniając jej twarz przed ewentualnymi uderzeniami. Byliście oboje tacy mali, mieliście zaledwie roczek. Zostało nam może z pięć metrów do bramy. Byłem już prawie przy wejściu, kiedy Robam upadła uderzona kolbą karabinu w plecy. Chciałem jej pomóc, kiedy kolejne ciosy popchnęły mnie w bramę dziedzińca ambasady. Próbowiałem do niej wrócić, podnieść ją. Zatrzymali mnie pracownicy konsularni i wciągnęli do środka, za ogrodzenie. Czerwoni Khmerzy dźgali mnie lufami karabinów, bałem się okropnie, że zrobią krzywdę tobie. Cały czas wołałem Robam. Podniosła się i spojrzała mi prosto w oczy, odsuwając wolną ręką chłopaka, który ją szarpał. I wtedy to się stało. Strzelił jej prosto w brzuch. Upadła na plecy. – Po twarzy Gwidona spływały łzy. Mówił szybko, jakby już nie mógł przestać. Jakby się bał, że jeśli chociaż na chwilę zamilknie, nie będzie już w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. – Próbowiałem się wyrwać, chciałem do niej wrócić, lecz ci z ambasady trzymali mnie mocno. A później wyraźnie widziałem, jak tamten dzieciak z szerokim uśmiechem na twarzy przyłożył lufę karabinu do głowy twojej matki i ponownie wystrzelił. Robam podskoczyła na ziemi jak szmaciana lalka, a potem znieruchomiała. Chłopak śmiał się głośno i kopał ją w brzuch. Ewa poruszyła się, mały kłębek szmatek, zwinięty przy głowie matki. A on, śmiejąc się nadal, wystrzelił po raz kolejny. Widziałem krew, bardzo dużo krwi. Cała czapeczka, którą twoja siostra miała na głowie, była jedną plamą krwi. Widziałem, jak je zabili. – Umilkł i ukrył twarz w dłoniach.

Wszyscy trzej siedzieli przy stoliku, płacząc bezgłośnie. Po długiej chwili Marek wstał i po cichu wyszedł z salonu. To było przerażające. Czuł się taki bezradny. Zostawił ich samych, ojca i syna. To była ich żałoba. Czuł się tam intruzem. Musiał ich teraz zostawić. Może wreszcie teraz odnajdą drogę do siebie połączeni bólem.

Tylko jedno nie dawało mu spokoju. Znał ten ruch. Połączenie i wygięcie palców. Widział go już wcześniej. Ostatnio na oficjalnym przyjęciu zaręczynowym, gdy klęczał przed Ewą z pierścieniem w wyciągniętej ręce. Kiedy oczy wszystkich były na nią zwrócone. Wtedy jej palce powędrowały odruchowo do góry, aż po nadgarstek. Gest tancerki apsary...

Przodkowie

Listopad 1270, Ta Prohm, świątynia buddyzmu mahajana w Angkor, stolicy imperium Khmerów

Deszcz bębnił monotonnie, uderzając o liście drzew i spadziste dachy długiego korytarza, prowadzącego do budynków mieszkalnych. Pora monsunowa dopiero się zaczynała. Nawet teraz, o zmierzchu, wilgotny upał nie ustawał ani na chwilę. Od miesiąca dobry bóg Soma każdego popołudnia regularnie płakał nad losem spalonej ziemi, a jego łzy w postaci deszczu przynosiły nowe życie, nową nadzieję.

Urvasi nie miała już nadziei. Wsparta na długim bambusowym kijku, powoli i ostrożnie szła korytarzem. Dzisiaj, jak już od wielu tygodni, znowu po kryjomu tańczyła dla bogów. Zmuszała do wysiłku swoje odporne stawy. Próbowwała je przekonać, przypomnieć im, do czego zostały stworzone. Potworny ból rozrywał kości, znowu jej się nie udało, znowu upadła. Złamana kostka prawej stopy zrosła się, co prawda, ale nadal była sztywna. Urvasi żyła tylko po to, aby tańczyć dla bogów. Była tancerką apsary, najpiękniejszą i najlepszą w świątyni Ta Prohm. Była, bo już nie jest. Głupi wypadek, nieodpowiedzialny postępek zmienił wszystko. Już nigdy nie będzie mogła tańczyć, jej życie straciło sens. Teraz jest nikiem. To bogowie zemścili się za jej myśli. Duchy przodków ukarały ją za to, że ośmieliła się, choć jedynie myślała, odwrócić od potężnych i mściwych demonów.

Szesnastoletnia Urvasi właściwie nigdy nie miała żadnego innego wyboru. Do życia tancerki apsary była przygotowywana od dnia, gdy jako trzyletnia dziewczynka została oddana przez sługi króla, zgodnie z jego rozkazem, do domu tancerek. To był ogromny zaszczyt, który spotkał ją, córkę zwykłych wieśniaków, jedynie dlatego, że jej ojciec stracił życie.

Król Dżajawarman VIII nie był wielkim budowniczym. Wszystkie te wspaniałe świątynie w Angkor, a także cała stolica, zostały wzniesione z rozkazu jego przodka, Dżajawarmana VII, wielkiego władcy, który sprowadził do imperium Khmerów Buddę. Wielu starych bogów musiało odejść i ugiąć się przed wolą władcy. Ale bogowie są mściwi. W zemście za próbę odesłania ich w niepamięć zesłali najazd dzikich i przerażających Tajów, którzy regularnie napadali imperium i jego stolicę, grabiąc i mordując. Król Dżajawarman VIII nie miał czasu być wielkim budowniczym, gdyż musiał bronić swego ludu przed najeźdźcami. To wojownicy, nie budowniczy, stanowili najważniejszą kastę w dzisiejszym państwie.

Jednak miasto potrzebowało budowniczych. Głównymi szlakami komunikacyjnymi Angkor, wielkiej metropolii, która miała prawie milion mieszkańców, były kanały i rzeka. Bez wody życie tutaj stałoby się niemożliwe. Wieśniacy zaopatrywali miasto w żywność drogą wodną. Dlatego należało dbać o dobry stan kanałów, konserwować je, pogłębiać, umacniać. Lawiny błota w porze monsunowej wielokrotnie już doprowadzały do odcięcia niektórych szlaków. To było niedopuszczalne. Bez wodnych arterii miasto przestałoby istnieć. Dlatego, choć król nie był budowniczym i cały czas oczy miał zwrócone na zachód, ku granicy państwa Tajów, zlecił

swoim ludziom prace budowlane przy kanałach.

Niestety rzemieślników z rzetelną wiedzą i wykształceniem budowlanym nie było dziś już tak wielu jak w czasach jego poprzednika, wielkiego władcy, który wznosił stolicę. Do pomocy przy robotach zobowiązani byli zwykli wieśniacy, a wśród nich również cała rodzina Urvasi. Ona sama była wówczas zbyt mała, aby pracować, nie pamiętała nawet owego tragicznego wydarzenia, znała je jedynie z opowiadań. Wieśniacy umacniali jedną ze ścian kanału komunikacyjnego nieopodal świątyni Ta Prohm. Prace nadzorowali królewscy urzędnicy i kapłani ze świątyni.

Bliscy Urvasi, jej ojciec i starsi bracia, zanurzeni po pas w wodzie, wygarniali koszami szlam z rzeki, próbując odsłonić twarde nabrzeże, aby potem umocnić je balami, które majestatyczne słonie transportowały na plac budowy. Matka i siostry Urvasi odbierały kosze od mężczyzn i przenosiły na miejsce, gdzie przygotowywali je do transportu poganiacze słoni.

Dziewczynkę pozostawiono w cieniu drzewa banianu, pod którym grzecznie leżała, obserwując otoczenie. Jeden ze słoni potknął się i stanął całym swoim ciężarem zaledwie parę centymetrów od wyznaczonej ścieżki. Ziemia się pod nim rozstała i ślizgając się na grząskim gruncie, sturlał się w lawinie błota, porywając ze sobą pochylone kobiety, a potem spadł prosto na zanurzonych w wodzie wieśniaków. Cała rodzina Urvasi zginęła w ciągu paru minut przygnieciona ciałem potężnego zwierzęcia bądź utopiona w szlamie. Trzyletnia dziewczynka została całkiem sama na świecie. Jeden z kapłanów Wisznu zabrał ją ze sobą do świątyni. Była śliczna i w odpowiednim wieku. Dlatego oddano ją do szkoły tańca i polecono wykształcić na tancerkę apsary.

Apsary, boginie wody i mgły, tańczyły dla bogów Śiwy i Wisznu. Pierwsza apsara była, jak uczą Wedy, święte pisma, towarzyszką Gandaharwy i umiała mu tańcem czas, stając się jego inspiracją przy tworzeniu magicznego napoju soma. Tancerki apsary służyły bogom. Owego wielkiego zaszczytu dostępowało co roku jedynie sto dziewczynek z całego imperium. Sam król je wybierał. Dzieci wieśniaków właściwie nie miały żadnych szans, Urvasi stanowiła wyjątek. Była również jedną z nielicznych, które rozpoczęły naukę tak wcześnie. Zazwyczaj do szkoły przyjmowano dziewczynki pięcio- i sześćoletnie. Pewnie dlatego Urvasi była najlepsza. Jej kości, kości trzylatki, łatwiej poddawały się skomplikowanym ruchom, a elastyczne, jeszcze nie całkiem ukształtowane stawy pozwalały się wyginać w dowolny sposób. Urvasi była najzdolniejszą i najpiękniejszą tancerką. Była. Do niedawna. Teraz już koniec. I co dalej? Przez całe życie pilnie ćwiczyła swe ciało, aby do perfekcji opanować prawie pięć tysięcy trudnych figur, wręcz niemożliwych do wykonania dla ludzkich kości ruchów. Przez dziewięć długich lat studiowała wielkie eposy, *Ramajanę* i *Bhagawadgitę*, aby poznać historię bogów i demonów i dokładnie zrozumieć znaczenie skomplikowanego tańca, aby ucieszyć oczy bogów.

To było wszystko, co potrafiła. Szanowana i uwielbiana, chroniona przez kapłanów, żyła w szkole tancerek, nie mając pojęcia, jak wygląda życie w świecie poza nią. Miała jeszcze długo tańczyć. Co najmniej dziesięć lat, jeśli nie więcej. Nigdy się nie zastanawiała, co będzie potem, jak potoczą się jej losy, gdy już nie będzie mogła tańczyć. Teraz nagle została zmuszona do tych rozmyślań. I co dalej?

Powoli kuśtykała w kierunku majaczących już poprzez zasłonę ulewnego deszczu niskich budynków – jedyne domu, jaki znała. Majestatyczne drzewa wyciągały swoje rozłożyste korzenie w stronę kamiennego chodnika korytarza. Wyglądały jak grube węże podążające w pośpiechu w stronę swego pana i władcy, nieśmiertelnego Naga, aby złożyć mu hołd.

Urvasi przystanęła i oparła dłoń na poręczy korytarza, którą stanowił wizerunek potężnego

węża Naga. Wszyscy wiedzą, że Naga potrafią być szczodre. To one mają moc obdarowania zwykłego śmiertelnika boskim przywilejem regeneracji, to one nie tylko decydują o każdym kolejnym wcieleniu, ale mogą wręcz w nieskończoność przedłużyć to jedno jedyne życie ludzkie, dając zdrowie, a czasem nawet nieśmiertelność. Są jednak wrogami ptaków Garuda, boskich wierzchowców Wisznu.

Wisznu i Buddy, pomyślała niechętnie Urvasi. Czy to dlatego jej stopa nie chce się goić? Czy obraziła węża Naga, że odwrócił się od niej? Wiadomo, że Naga są szczodre, ale również złośliwe. Czy jej wypadek to zemsta Naga? Westchnęła, odepchnęła się od poręczy i spojrzała w stronę domu. Przez smugi monotonicznie padającego deszczu ujrzała na otaczającym budynek ganku plamę koloru. Luk Son czekał na nią przy wejściu. Spóźniła się. Ale nie będzie się złościł. On nigdy się nie złościł. Uśmiechnęła się do siebie i nieco szybciej podążyła w jego stronę.

– Witaj, Urvasi. – Luk Son pochylił się przed nią w geście powitania, złączając dłonie na piersiach. – Niech Budda cię chroni i ci błogosławi.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się, oddając ukłon. – Wybacz moje spóźnienie. Długo już na mnie czekasz?

Luk Son, mnich buddyjski ze świątyni Bajon, kpiąco spojrzał jej w oczy.

– Nie to jest istotne, jak długo czekam, Urvasi. O wiele bardziej istotne jest, co cię zatrzymało. Czas nie ma żadnego znaczenia, jeśli prowadzi nas do oświecenia. Powiedz mi więc zatem, dlaczego się spóźniłaś? Szukałaś oświecenia?

– Och, przestań! – Roześmiała się. – Doskonale wiesz, gdzie byłam. Tańczyłam, a właściwie próbowałam tańczyć. – Uśmiech znikł z jej twarzy, zastąpił go ponury grymas zniechęcenia.

Usiadła na rozgrzanych płytach kamiennego zadaszonego ganku. Wyciągnęła stopę w stronę mnicha.

– Urvasi – powiedział poważnie Luk Son. – Powinienem się cieszyć, że praktykujesz pilnie jedną z sześciu cnót Paramita, ale obawiam się, że zaczęłaś nie od tej, od której powinnaś.

– Nie rozumiem?

W niezliczonych rozmowach, które prowadzili przez ostatnich parę miesięcy, gdy Luk Son leczył jej stopę, mnich wielokrotnie próbował wytłumaczyć Urvasi skomplikowane podstawy buddyźmu mahajana. Wiedziała, jakie sześć cnót ma nas doprowadzić do oświecenia. Jednak w tej chwili nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Co ma szczodrość do tańca? Chodzi ci o to, że całe moje życie szczodrze i pilnie cieszyłam oczy bogów moim tańcem? No cóż, ostatnio jakoś nie mogę powiedzieć, abym była szczodra.

– Doskonale rozumiesz – odpowiedział z uśmiechem. – Co prawda od szczodrości powinnaś zacząć, jednak bądź szczodra w pierwszej kolejności wobec siebie, nie wobec bogów. Mnie jednak bardziej chodziło o inną cnotę, o cierpliwość, Urvasi – ciągnął z wyrzutem. Pochylił się nad jej stopą i odwinął opatrunek. – Nigdy nie wyleczysz kontuzji, jeśli cierpliwie nie dasz odpocząć chromej nodze. Jeszcze przyjdzie czas na radosny wysiłek. – Wspomniał kolejną cnotę niezbędną do osiągnięcia oświecenia. – Musisz wykazać cierpliwość. Przestań próbować tańczyć, bo niweczysz wszelkie moje starania. Jeśli rozpiera cię energia, zwróć się w kierunku medytacji. Poszukaj w sobie mądrości wewnętrznej, gdyż nie tylko taniec uszczęśliwia twoich bogów.

– Bogowie odwrócili się ode mnie, Luk Son. Mój wypadek jest karą – odrzekła z rezygnacją. – Jeszcze parę miesięcy temu wiedziałam, jak będzie wyglądało moje życie. Tańczyłam dla bogów i jeszcze długie lata mogłam się cieszyć ich opieką. Och, nie patrz tak, wiem, że czas tancerki nie jest wieczny. Najstarsze z nas tańczą góra do ukończenia dwudziestego piątego roku życia. Było

parę takich, które występowały nawet dłużej, ale prawdą jest, że z każdym rokiem nasze kości sztywnieją i musimy ustąpić miejsca kolejnym dziewczętom, młodszym i elastyczniejszym. Jednak było przede mną jeszcze parę lat tańca. Obraziłam bogów, a teraz oni się mszczą. Nawet jeśli moja stopa odzyska sprawność, już nigdy nie będę w stanie poprawnie jej wygiąć, tak aby oddała boskie ruchy Apsar. To zemsta, Luk Son, kara za moje przewinienia.

– Urvasi. – Klęczał przed nią i wcierał w jej stopę maść przynoszącą ukojenie. – Zawsze wiedziałas, że kiedyś będziesz musiała odejść.

– Nieprawda – oburzyła się. – Nigdy nie zamierzałam opuścić szkoły. Jestem pierwszą tancerką, było oczywiste, że kiedy mój czas się skończy, zostanę i będę kształcić następczynię!

– Nigdy nie myślałaś o opuszczeniu szkoły? Założeniu rodziny, dzieciach, miłości? – zapytał, podnosząc głowę i patrząc uważnie w twarz dziewczyny.

Jego dłoń pozostała jednak tam, gdzie była wcześniej. Mimo że zabiegi lecznicze były już zakończone, jego palce wciąż dotykały łydki Urvasi. Czuła ciepło tej dłoni. Wędrowało w górę po jej udzie aż do brzucha. Czuła pulsowanie tego ciepła w sobie.

– Nie – odpowiedziała, odwracając wzrok. – Wcześniej nigdy. Do teraz...

Luk Son nieświadomie pogłodził jej łydkę. Jego umysł zalały wspomnienia. Ten dzień, kiedy po raz pierwszy ją ujrzał. Jej taniec, który obudził w nim myśli, jakich nigdy wcześniej nie miał. Dzień jej niefortunnego wypadku.

Luk Son był sierotą tak jak Urvasi. Nikt nie wiedział, kim byli jego rodzice. Jak wiele innych dzieci, których najazdy Tajów pozbawiły rodziny, po prostu pojawił się kiedyś na dziedzińcu buddyjskiego klasztoru przy świątyni Bajon. I jak wszystkie inne dzieci został wychowany przez mniszki z tego klasztoru. Gdy był nieco starszy, niejako automatycznie przeszedł do klasztoru buddyjskich mnichów, gdzie wiódł proste życie, takie jak oni. Każdy może wstąpić do zakonu buddyjskiego. Jedynym wymogiem jest porzucenie dotychczasowego trybu życia. Sam rytuał przyjęcia jest prosty. Wystarczy podczas specjalnej ceremonii ogolić włosy i brodę, a potem włożyć żółto-pomarańczową mniszą szatę odkrywającą ramię. Po okresie próby kandydat zostaje przyjęty do zgromadzenia i otrzymuje wszystkie niezbędne do życia rzeczy: trzy szaty, garnuszek do zbierania jałmużny, nóż do golenia, pas i sitko do cedzenia wody, aby przypadkiem nie połknąć drobnych żyjątek.

W przypadku Luk Sona okres próby nie wchodził w rachubę, klasztor był jego domem od początku, chłopiec dzielił z mnichami ich życie i nie znał innego. Pilnie słuchał nauk swoich mistrzów, nauk Buddy. Każdy jego dzień upływał w tym samym rytmie. O świcie przychodził do swojego nauczyciela i udawał się wraz z nim do miasta, by prosić o jałmużnę. Przed południem wracali do klasztoru i dokładali swój datek do tych wszystkich, które zebrali inni mnisi. Później wspólnie przygotowywano jedyny w ciągu dnia posiłek, który musiał być spożyty jeszcze przed południem. Jedzenie po południu i wieczorem było zabronione.

Potem następowały nauki i medytacje. Każdy dzień był taki sam. Nauki Buddy, z którymi każdy kandydat do życia zakonnego musiał się zapoznać po otrzymaniu święceń, były dla Luk Sona naturalne. Cztery źródła pomocy, czyli jedzenie tego, co uzyskał z żebrania, ubiór znaleziony na ziemi, miejsce spoczynku u stóp drzewa i mocz krwi jako lekarstwo, wyznaczały jego sposób życia, nie znał innego. Cztery rzeczy zakazane – a więc: nie utrzymywać stosunków płciowych, nie zabrać ani źdźbła słomy, nie zabić ani jednej mrówki i nie chwalić się – były dla niego czymś oczywistym i naturalnym. W końcu żył wśród mnichów i to oni stanowili dla niego

autorytet i wzorce zachowań.

Kwestie religii w Angkorze były szalenie skomplikowane. Dominował kult Dewaradży, króla boga, a jego podstawą była religia hinduistyczna, z wszystkimi jej bogami, bóstwami i demonami. Poprzednik obecnego władcy, król Dżajawarman VII, który sam był buddystą, nie chcąc zakłócać ciągłości tego kultu, wprowadził kult króla Buddy. Sam Dżajawarman uważał siebie za wcielenie Buddy. Najlepszy dowód na dobrą wolę króla stanowiła sama świątynia Bajon, gdzie charakterystyczne dla hinduistycznych wierzeń posągi o czterech twarzach miały twarz Buddy.

Plan był dobry, co jednak w żaden sposób nie wykluczało nieporozumień. Wielu mieszkańców Angkoru, wspieranych ukradkiem przez kapłanów hinduskich bóstw, buntowało się przeciw kultowi nowego boga Buddy. W swej niewiedzy bowiem właśnie tak go pojmowali, jako bóstwo. Luk Son jednak wiedział, że to bzdura i zabobon. Budda nie był bogiem, tylko człowiekiem, nauczycielem. Stworzył naukę, która pozwalała każdej ludzkiej istocie na samodzielne dojście do oświecenia, stanu błogiej nirwany, bez żadnego wpływu mściwych bóstw.

To bogowie zmuszali ludzi do życia w cierpieniu, a co więcej, do nieustannych powtórzeń tego cierpienia. Bogowie skazywali człowieka na kolejne narodziny w cyklu reinkarnacji, po to, by jego cierpienie ciągnęło się w nieskończoność. Budda, który urodził się jako książę Siddhartha, porzucił swoje beztrioskie życie i z własnej woli udał się na wędrowkę, ta zaś doprowadziła go do oświecenia. Próbował wszystkiego, był ascetą, wyrzekł się wszelkich wygod, aby znaleźć odpowiedź na pytanie o sens ludzkiego żywota. Chciał ulżyć cierpieniu ludzi – i udało mu się tę odpowiedź znaleźć.

Zamiast rozmyślać o naturze bogów i próbować ich obłaskawić, człowiek powinien wejrzeć w siebie i skupić się na rozwijaniu swojej istoty, aby uzyskać stan oświecenia, nirwany, ostatecznego wyzwolenia się z zakłętego koła wiecznych narodzin i powrotów poprzez reinkarnację do ziemskiego życia wypełnionego cierpieniem. Budda był nauczycielem, filozofem i mędrcem, lecz nie bogiem. Luk Son zdawał sobie z tego sprawę. Jego własnym celem stało się osiągnięcie oświecenia.

A potem ów cel nagle, w ciągu paru sekund, rozwiął się jak pył na wietrze. Tego wieczoru, gdy zobaczył tańczącą Urvasi.

Mnichom zabronione było oglądanie tańca. Tak samo jak zabronione im było posiadanie jakichkolwiek dóbr i wykonywanie zawodu dającego zysk. Jedynie czysty przypadek sprawił, że Luk Son znalazł się właśnie w tym miejscu i o tej porze. Jego nauczyciel, stary mnich, zapewne pamiętający jeszcze czasy powstania świątyni Bajon, był zapalonym ogrodnikiem, zielarzem. Posiadał sztukę leczenia w stopniu prawie nieosiągalnym dla innych śmiertelników. Jak nakazuje reguła zakonu, leczył nieodpłatnie potrzebujących.

W czasie jednej z licznych potyczek z Tajami król Dżajawarman został lekko ranny. Kiedy jego medycy nie potrafili sobie poradzić ze źle gojącą się raną, wezwano na pomoc buddyjskich mnichów. Mistrz Luk Sona nie opuszczał już dziedzińca świątyni. Był bardzo stary, ślepy i całymi dniami jedynie oddawał się medytacjom. Całą swą wiedzę przekazał uczniowi. Dlatego mnisi postanowili, że uczynią wyjątek od reguły. Życzeniu króla się nie odmawia. Posłali młodego, zaledwie dwudziestoletniego Luk Sona do pałacu, przykazując, by młodzieniec ulżył cierpieniu władcy.

Młody mężczyzna zajął się raną i nie opuszczał króla ani na chwilę, towarzysząc mu we wszystkich poczynaniach. Siedział na kamiennej posadzce u stóp władcy, gdy ten udzielał

audiencji swoim urzędnikom, i niezadowolony podążał za nim, gdy monarcha uparł się, by przemówić do ludu, i opuszczał swój ocieniony, chłodny pałac, narażając zranioną nogę na upał, wysiłek i kontakt z nieczystościami.

Obrzucany niechętnymi, wręcz wrogimi spojrzeniami hinduskich kapłanów, Luk Son ze stoickim spokojem stał za plecami króla, gdy ten brał udział w ceremoniach ku czci Wisznu i Śiwy. Właśnie dlatego znalazł się wtedy w tym miejscu. Stał ze skromnie spuszczonej oczami, usiłując uciec w medytację, za tronem króla Dżajawarmana, ustawionym przed długim kamiennym mostem Angkor Wat, na którym tancerki apsary wyginały swe dłonie i stopy ku czci bogów.

Luk Son naprawdę usiłował nie patrzeć na taniec, nie patrzeć na te kobiety. Przecież sam obrał taką drogę. Chciał podążać za naukami Buddy, pragnął doznać oświecenia. To było tylko jedno przypadkowe spojrzenie, jedna sekunda, która odmieniła całe jego życie. I zmusiła go do przyjęcia do wiadomości tego, że w obecnym życiu oświecenie i nirwana nie są mu jeszcze pisane. Zrozumiał, jak łatwo jest wyrzec się czegoś, czego się nie zna. Jedno spojrzenie na Urvasi sprawiło, że Luk Son nie potrafił przestać o niej myśleć.

Urvasi tańczyła. Jej taniec nie był jedynie opowieścią o bogach. W tańcu Urvasi sama stawała się boginią. Była Parwati, żoną Śiwy, piękną i łagodną oblubienicą boga. Jej nagie piersi, ozdobione złotymi naszyjnikami, kołysały się łagodnie w rytm kroków. Głowę trzymała prosto, zwisające z wysokiego złotego stroika klejnoty delikatnie podzwaniały przy każdym ruchu, kiedy jej łabędzia szyja pochylała się łagodnie, a twarz zwracała ku bogom.

To był tylko taniec, ale dzięki kunsztowi tancerki widownia zapominała o Urvasi. Ludzie widzieli Parwati rozpaczającą po stracie synka. Muzyka niosła stopy dziewczyny. Jej dłonie unosiły się w błagalnym geście. I choć wszyscy znali tę historię, historię powstania Ganeśi – boga z głową słonia – patrzyli teraz jak zaczarowani, chłonąc każdy ruch tancerki. Zgodnie z legendą zazdrosny Śiwa zabił syna Parwati, urywając mu głowę, bo przez pomyłkę uznał, że ten podgląda kąpiącą się boską małżonkę. Zrozpaczona Parwati ubłagała boga, aby uratował chłopca. Śiwa nie mógł mu przywrócić życia, bo bogowie nie są cudotwórcami, nie mogą wskrzeszać umarłych, mimo to jednak, targany wyrzutami sumienia, postanowił pomóc. Obiecał, że przytwierdzi zabitemu głowę pierwszego zwierzęcia, które wynurzy się z lasu. Pierwszy zaś pojawił się słoń. W ten sposób pojawił się bóg Ganeśa.

Urvasi tańczyła tak, jakby to sama Parwati odkrywała swoje cierpienie przed śmiertelnikami. Każdy wyuczony ruch był precyzyjny i pełen ekspresji. Długie czarne włosy spływały po plecach dziewczyny, falując wraz z jej każdym ruchem. Wielkie, bursztynowe oczy spoglądały w przestrzeń, ponad głowami widowni, na majestatyczne wieże Angkor Wat. Po jej twarzy błędził delikatny smutny uśmiech. Złote bransoletki na nadgarstkach, ramionach i kostkach stóp połyskiwały w promieniach czerwonego, zachodzącego słońca. W końcu Ganeśa powstał z martwych jako bóg o głowie słonia, a wdzięczna Parwati pokłoniła się przed obliczem swego boskiego małżonka Śiwy. Taniec dobiegł końca.

Zgodnie z ułożoną przez nauczycielkę choreografią Urvasi miała teraz zgrabnie zeskoczyć z kamiennego pomostu na drewniany podest, tak aby sprawiało to wrażenie, że spłynęła jak na chmurze prosto przed oblicze króla. Wraz z resztą tancerek miała towarzyszyć królewskiemu dworowi w dalszych obchodach uroczystości. Jednak kiedy po przedstawieniu kłaniały się zachwyconej publiczności, cała koncentracja i skupienie opuściły dziewczynę. Spoglądała dumna i szczęśliwa na twarze ludzi podziwiających jej występ. Tuż za królewskim tronem dostrzegła plamę pomarańczowego koloru, która przyciągnęła jej wzrok. Buddyjski mnich?

Tutaj? Dziwne.

Najpierw to zwykła ciekawość skierowała jej spojrzenie ku twarzy młodzieńca. A potem ujrzała wpatrzona w siebie oczy mnicha. W tych oczach był nie tylko podziw dla jej tańca, ujrzała w nich dużo więcej; uwielbienie, oddanie i coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że fala gorąca powędrowała wzdłuż kręgosłupa w górę jej ciała i rozpałała ogień, który ją wręcz spalał.

Wszystkie myśli uciekły gdzieś, nagle zniknęły spłoszone jak małpy, leniwie wygrzewające się na słońcu, przestraszone głośnym rykiem tygrysa. Bezwiednie zrobiła krok do przodu, szykując się do skoku na podest. Nie potrafiła jednak oderwać oczu od hipnotyzującego wzroku buddyjskiego mnicha. W ułamku sekundy zarejestrowała niespokojną myśl: Budda – i skoczyła. Wylądowała prawą stopą poza krawędzią drewnianego podestu. W kostce coś chrupnęło, a potworny ból wyrwał z jej gardła zduszony krzyk. Ciało Urvasi zabrakło pełnego oparcia i opadła bezwładnie na ziemię przed królewskim tronem.

Podbiegły do niej koleżanki, za nimi kierująca szkołą stara tancerka apsary, a nawet sam władca.

– Urvasi – spytał zaniepokojony. – Nic ci nie jest? Zraniłaś się?

– Nie wiem, najjaśniejszy panie – wyszeptała z trudem. Ból nie pozwalał jej mówić.

Dziewczęta próbowały pomóc jej się podnieść. Nauczycielka uklękła przed Urvasi i uważnie obejrzała stopę wykręconą pod dziwnym kątem. Z poważną miną pokręciła głową w obie strony, zasłaniając usta dłonią. Gdy Urvasi krzyknęła z bólu, ułożono ją ponownie na ziemi.

– Złamana! – wyszeptała z przerażeniem nauczycielka. – Urvasi już dla nikogo nie zatańczy, ani dla ciebie, najjaśniejszy panie, ani dla bogów.

– Urvasi, moja ulubienico – powiedział król – nie poruszaj się. Nie bój się, na pewno zdołamy ci pomóc.

Skinął ręką w stronę mnicha, który stał nieruchomo z boku, obserwując całą tę scenę.

– Luk Son, podejdź tutaj. Żądam, abyś obejrzał nogę tej kobiety.

Luk Son doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien. Mimo to podszedł i pochylił się nad leżącą tancerką. Wyznam później swój grzech braciom, pomyślał, ale teraz muszę się poddać woli króla, w końcu jest inkarnacją Buddy.

Delikatnie dotykał bolącej kostki, nie próbując jej poruszać. Nauczycielka miała rację, noga była złamana. Mógł pomóc, mógł spróbować poprawnie ją złożyć i usztywnić, ale ból, który ten zabieg przyniósłby dziewczynie, był niewyobrażalny. A on nie chciał i nie mógł nikomu zadawać bólu.

– Najjaśniejszy panie – zwrócił się do króla. – To rzeczywiście paskudne złamanie. Kostkę da się złożyć i wyleczyć, lecz powrót do zdrowia będzie bardzo długi i bolesny.

– I znów będę mogła tańczyć? – wyszeptała Urvasi słabym głosem, patrząc mu ufnie prosto w oczy.

– To nierealne – oświadczyła stanowczo nauczycielka. – Widziałam wiele różnych złamań i zranień. Takiego przypadku nie da się wyleczyć, twoja stopa nigdy nie będzie w stanie podolać wymaganiom figur tańca apsary!

– Nie wiem. – Luk Son wzruszył bezradnie ramionami. – Nie mogę dać żadnej gwarancji, nie znam zasad tego tańca. Ale widziałem już wiele skomplikowanych złamań i wiem, że to da się wyleczyć. Nie potrafię jednak powiedzieć, czy ta kobieta będzie mogła tańczyć, ale wiem na pewno, że przy odrobinie szczęścia i dużej dozie cierpliwości będzie mogła chodzić. Oczywiście jeżeli ktoś odpowiednio się nią zaopiekuje.

– Nie ktoś – powiedział władczo król. – Ty, Luk Son. Rozkazuję, abyś od tej chwili zajął się

Urvasi. Życzę sobie jeszcze długo podziwiać jej sztukę. Mnie już pomogłeś, jestem zdrowy, rana zadana tajskim mieczem już mi wcale nie doskwiera. Żądam, żebyś wyleczył Urvasi, tak jak mnie.

– Ale najjaśniejszy panie – opierał się słabo Luk Son – mnie nie wolno uprawiać zawodu lekarza. Jestem mnichem, podążam ścieżką Buddy. Musiałbym mieć szczególne przyzwolenie moich braci, całego klasztoru, mojego mistrza.

– I będziesz miał – oświadczył stanowczo król. – Zajmę się tym osobiście. Poświęć siebie. Nie będziesz pierwszy. Wielu oświeconych odłożyło swą drogę, aby pomóc potrzebującym. Będzie ci to zaliczone na poczet dobrych uczynków. Zrób to, proszę, na moją prośbę.

– Twoja prośba, najjaśniejszy panie, jest dla mnie rozkazem. – Luk Son złożył ręce na piersi i skłonił się nisko przed królem Dżajawarmanem VIII, wcieleniem Buddy w imperium Khmerów.

Zatem w wyniku królewskiego rozkazu Luk Son od prawie pół roku spędzał z Urvasi każde popołudnie. Medytacje i studiowanie drogi Buddy, dążenie do oświecenia poprzez odrzucanie spraw tego świata musiały zaczekać. Początkowo myślał, że jedynie odłożył te sprawy na potem, że wróci na ścieżkę Wielkiego Nauczyciela i poświęci życie doskonaleniu swego wnętrza, aby w końcu dojść do nirwany. Z czasem jednak pojął, że ten świat z jego wszystkimi pokusami, a nawet z cierpieniem, jest właśnie tym, w którym pragnął teraz żyć. Pod jednym warunkiem. Pod warunkiem, że częścią tego świata będzie ona – Urvasi, tancerka apsary.

– Wcześniej nigdy... do teraz – wyszeptła pewnego dnia Urvasi, spuszczać oczy.

Tym wyznaniem upewniła Luk Sona, że dzieli jego pragnienia. Wcześniej nigdy nie chciała innego życia niż życie tancerki apsary. Ale ostatnie pół roku obudziło w niej nowe marzenia. Teraz dopuszczała do siebie myśl, że można żyć tu i teraz jak zwykli, przeciętni ludzie. I rozumiała, że pragnie miłości tego mężczyzny.

Luk Son wiedział, doskonale zdawał sobie sprawę, że uczucie, które ich połączyło, jedynie na początku było fascynacją. Z czasem, gdy się coraz lepiej poznawali, przerodziło się w coś innego, głębszego, w miłość. Teraz musiał zatem podjąć najważniejszą decyzję w swoim dotychczasowym życiu. Nie mógł już dłużej być mnichem. Mądrość, oświecenie i nirwana nie były mu w tym życiu przeznaczone. Jego drogą jest droga miłości. Musiał opuścić klasztor.

– Urvasi – delikatnie ujął jej dłoń – stopa w końcu, prędzej czy później, wróci do dawnej sprawności. Będziesz mogła znów tańczyć. Nawet jeśli to potrwa jeszcze rok lub dłużej.

– Mój kochany Luk Son. – Spojrzała mu poważnie w oczy. – Oboje wiemy, że już nigdy nie będzie tak jak przedtem. Nigdy nie będę mogła idealnie ustawić stopy. Już nigdy nie powtórzę wszystkich pięciu tysięcy ruchów. A każdy z nich jest ważny, nawet ten najdrobniejszy. Nawet jeśli będę mogła tańczyć, to nigdy nie stanę na kamiennym moście, nie będę główną tancerką, nie wystąpię w roli bogini. Tak, zapewne jeszcze będę mogła tańczyć. Gdzieś w tle, jako jedna z dziesiątek tancerek, po których jedynie prześlizguje się wzrok patrzących, aby skupić się na tej jednej jedynej. Nie, Luk Son, to nie to samo. Oczywiście będę mogła nadal tańczyć dla bogów u stóp świątyni. Ale to naprawdę nie to samo.

– Wiesz, że wiele tancerek apsary wraca po latach do swoich rodzin. Wychodzą za mąż i wiodą nudne szczęśliwe życie – powiedział, wstrzymując oddech. – Nikt im tego nie zabrania. Ty też masz do tego prawo.

– Tak – odrzekła. – Mam prawo i nikt mi go nie odmawia. Tylko że ja nie mam dokąd pójść. Nie mam żadnej rodziny, Luk Son, nie mam gdzie się podziać. Jedyń domem, jaki znam, jest szkoła tancerek. Jedyń rodziną – moje nauczycielki i towarzyszki. No i bogowie, którzy

odwrócili się ode mnie.

– Nie mów tak! – zaprotestował. – Masz jeszcze króla. Wielokrotnie znajdował dobrych, bogatych mężów tancerkom apsar, kiedy postanowiły odejść. Zawsze byłeś jego ulubienicą, więc jeśliś go poprosiła...

– Nie chcę obcego, bogatego mężczyzny za męża! – zachnęła się i wyrwała rękę z jego uścisku.

– Nie obrażaj się, Urvasi – powiedział cicho, ponownie ujmując jej dłoń. – Chcę jedynie twojego dobra. A... – Zawahał się i głośno przełknął ślinę. – A gdybym to ja został twoim mężem? Co byś powiedziała, gdybyśmy oboje opuścili świątynię i razem zamieszkali w mieście? Twoim bogom tańczyłyby inne... Poszłabyś ze mną, Urvasi?

– Chciałbyś tego? – Jej oczy rozbłysły. Nie potrafiła uwierzyć swemu szczęściu. – Ale przecież to niemożliwe! Jesteś mnichem, kapłanem wielkiego Buddy. Pozwolą ci odejść?!

– Nie jestem kapłanem – tłumaczył z uśmiechem. – A Budda nie jest bogiem, tylko nauczycielem. Nikt mnie nie będzie zatrzymywał. Budda jedynie wskazał drogę dla wszystkich ludzi, drogę do oświecenia, wyzwolenia, i ja podążam tą drogą. Jako mnich mam szansę szybciej niż inni osiągnąć swój cel. Ale prędzej czy później każdy, kto podąża ścieżką Buddy, ów cel osiągnie. Jeśli nie w tym życiu, to w następnym. Ja zaś, moja piękna Urvasi, moje obecne życie pragnę spędzić z tobą. Pokochałem cię już w pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Długo broniłem się przed tą miłością, jednak nie można się bronić przed przeznaczeniem. Nie wiem, czy to wola twoich bogów, czy po prostu nie jestem jeszcze gotów do kolejnego kroku na drodze Buddy. Nieważne. Zrozumiałem, że chcę tylko ciebie w tym życiu. Co powiesz? Odejdziemy stąd razem?

Urvasi zwróciła ku niemu twarz i złożyła na jego ustach pierwszy pocałunek. Luk Son przyciągnął ją do siebie z gwałtownością, która go samego przeraziła. Jego dłonie błędną gorączkowo po ciele dziewczyny. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, Urvasi spojrzała na niego rozjaśnionymi szczęściem oczami.

– Z tobą, kochany, pójdę wszędzie – powiedziała z uśmiechem.

Miłość jest piękna – to prawda. Ale prawdą jest również, że nie da się żyć jedynie miłością. Tę smutną prawdę Urvasi i Luk Son zrozumieli bardzo szybko. Można przyzwyczaić się do spania pod gołym niebem, na twardej ziemi, byle w objęciach ukochanego. Można się chronić przed wszechobecnym monsunowym deszczem pod liśćmi rozłożystego drzewa banianu. Można żyć bez pięknych szat i złotych ozdób. Dla Luk Sona nie było to żadnym problemem, nie różniło się to zbyt od jego wcześniejszego życia w buddyjskim klasztorze.

Urvasi, nawet jeśli takie życie było dla niej trudne, nie narzekała. Do wielu rzeczy można się przyzwyczaić, z wielu da się zrezygnować. Niestety, nawet największa miłość nie zagłuszy burczenia pustego żołądka. Nawet najsilniejszą miłością nie da się zagłuszyć głodu. A szanse tych dwojga na zdobycie jedzenia były prawie żadne.

Luk Son jako mnich żył z jałmużny dobrych ludzi. Wielu przychylnych Buddzie chętnie dawało żebrzącym mnichom pożywienie. Teraz jednak Luk Son nie był już mnichem. Obecnie nie miał prawa golić głowy ani nosić pomarańczowej szaty. Jako zwykły żebrak, jak wielu innych w milionowym mieście, rzadko kiedy otrzymywał datki. Był dorosłym, zdrowym mężczyzną, tacy powinni pracować, nie żebrać. Starcy i małe dzieci mieli większe szanse w tym zajęciu. Dobrzy ludzie woleli dać coś mnichom albo potrzebującym niżli jemu.

Próbował znaleźć sobie pracę, jednak bez powodzenia. Jego sytuacja była o tyle skomplikowana, że po pierwsze, wszystko, co potrafił, to leczyć ludzi, a po drugie, do niedawna był mnichem buddyjskim. Zawód lekarza był w Angkorze zajęciem opłacalnym, jednak na zatrudnienie własnych medyków pozwalali sobie jedynie bogacze, ci z najwyższych kast, rycerze i urzędnicy króla. Sytuacja religijno-polityczna imperium khmerskiego w tysiąc dwieście siedemdziesiątym roku wydawała się dosyć skomplikowana. Króla, władcę absolutnego, uważano za inkarnację bogów. W przypadku władającego prawie pół wieku wcześniej króla Dżajawarmana VII kwestia boga była jasna. Był on bowiem praktykującym buddystą i sam siebie określał jako ziemskie wcielenie Wisznu/Buddy. Tym samym łączył pod swoimi rządami zarówno główną religię królestwa, czyli hinduizm, jak i swoje własne przekonania, umacniając w imperium kult Buddy.

Za panowania obecnego króla Dżajawarmana VIII, który przyjął imię wielkiego władcy, lecz nie podzielał jego przekonań, sympatie dworu, a nawet zwykłego ludu odwróciły się od buddyzmu. Wyznawców Buddy tolerowano, jednak spoglądano na nich z podejrzliwą niechęcią. Kasta kapłanów służących hinduskim bóstwom, Wisznu, Śiwie i innym, z powodzeniem rozpowszechniała plotki, że najazdy Tajów na imperium są karą bogów za wprowadzenie Buddy do Angkoru. Dlatego żaden bogaty Khmer nie pozwoliłby sobie na przyjęcie do swego domu lekarza buddysty, a co dopiero byłego mnicha buddyjskiego.

Biedacy natomiast nie szukali pomocy lekarzy. Po co? Mogli ją dostać za darmo, bez ponoszenia żadnych opłat, nawet bez ofiar, w każdym buddyjskim klasztorze, w każdej świątyni, która propagowała kult Buddy. Zresztą biedacy i tak nie mieliby czym płacić za leczenie. Dlatego Luk Son z każdym dniem, z każdym miesiącem był coraz bardziej przygnębiony. Obietnicą szczęścia wywabił ukochaną Urvasi z jej bezpiecznego schronienia, a zamiast szczęścia potrafił jej zaferować jedynie pusty brzuch.

Natomiast Urvasi... Luk Son doskonale zdawał sobie sprawę, czego się po niej spodziewać. Kochał ją całym sercem, gotów był zrobić dla niej wszystko, ale ta dziewczyna nie nadawała się do takiego życia. Jego błąd, jego wielka wina. Powinien był najpierw zapewnić im jakieś minimalne podstawy wspólnej egzystencji, zanim wyciągnął ukochaną ze szkoły tancerek. Gdyby wcześniej nie był takim zaślepionym miłością optymistą, nigdy nie odważyłby się zapytać, czy Urvasi z nim pójdzie.

Przez prawie pół roku, gdy zajmował się leczeniem jej złamanej stopy, miał okazję obserwować, jak wyglądało jej życie. Życie tancerki apsary, tancerki bogów. Urvasi nie mogła codziennie ćwiczyć, lecz mimo to przez cały ten czas dobrowolnie chodziła na wszystkie zajęcia teoretyczne. Studiowała znaczenie poszczególnych gestów, z prawdziwym entuzjazmem słuchała wyjaśnień nauczycielek, uczestniczyła w układaniu choreografii i projektowaniu strojów do kolejnych występów. Takie były obowiązki tancerek.

Poza tym nie musiały robić niczego i nie robiły. Jako tancerki bogów należały nie tylko do świątyni, lecz przede wszystkim do dworu króla i jak wszyscy dworzanie miały na swe usługi służbę monarchy. O tak, Urvasi potrafiła wymyślać przepiękne stroje, ale nie miała pojęcia, jak posługiwać się igłą do szycia, aby je wykonać. Nie umiała także przygotować najprostszej potrawy. Nie nadawała się do zwyczajnego życia, a już na pewno nie do życia biedaków. Jednak nie skarżyła się nigdy. Kochali się prawdziwie, starała się, jak mogła, wspierać Luk Sona, ale była przecież stworzona do tańca i nie potrafiła robić nic innego.

– Luk Son, kochany – powiedziała w zamyśleniu pewnego deszczowego popołudnia.

Siedzieli przytuleni do siebie pod drzewem banianu, patrząc na kaskady deszczu,

rozpryskujące się na tafli wielkiego zbiornika wodnego przed wejściem do kompleksu świątyn Angkor Wat. – Jak myślisz, to takie wielkie miasto, może znalazłby się ktoś, kto by nam zapłacił za mój taniec.

– Jak to, za taniec? – zdziwił się jej ukochany.

– Sam pomyśl – tłumaczyła ożywiona. – Moja stopa jest już zdrowa. Nie mogę, co prawda, tańczyć dla bogów, ale jestem wystarczająco sprawna, abym tańczyła dla ludzi. To nie muszą być wielkie eposy, tylko proste ruchy, i prawie nie włączałabym partii przeznaczonych dla stóp. Umiem pięknie tańczyć, a ludzie cenią piękno. Może znalazłby się ktoś, kto chciałby za to zapłacić.

– Pewnie tak. – Luk Son się zamyślił. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ale nawet jeśli znaleźliby się chętni, którzy zapłaciliby za twój taniec, to chyba, niestety, jest to w naszej obecnej sytuacji niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytała urażonym tonem. – To, że dwa lata nie ćwiczyłam, nic nie znaczy. Doskonale pamiętam wszystkie figury. Zobacz sam! – Zerwała się na równe nogi i zaczęła tańczyć.

Patrzył na nią z miłością. Tańczyła tak pięknie. To nie bębny ani dzwonki wyznaczały rytm jej ruchów, tylko krople deszczu, spadające na liście drzewa banianu, i monotony szum monsunowej ulewy były muzyką, do której tańczyła. I w tańcu ona sama stała się deszczem. Wyginała wdzięcznie dłonie, tak jak wyginają się liście bambusa smagane brutalnymi strugami ulewy, pochylała głowę, tak jak pochyla swe kwiaty orchidea, gdy deszcz nie przestaje padać. Jej ciało falowało płynnie jak wody jeziora Tonle Sap, gdy dopływ potężnego Mekongu odwróci swój bieg, by zalać wysuszone brzegi. Wznosiła się niczym młode pędy ryżu obudzone życiodajną wodą. Była deszczem. Była zadziwiająca, magiczna, piękna.

To prawda, nadal potrafiła tańczyć i wciąż była piękna, ale to nie było to samo. Urvasi, tancerka apsary, była kim innym. Zjawiskowo piękną kobietą, dumną, wzbudzającą zachwyt i pożądanie każdego, nawet bogów. Kobieta, która tańczyła dla niego dzisiaj, była inną Urvasi. Tylko wielkie bursztynowe oczy się nie zmieniły, błyszczały radością tańca, a reszta...

Była wychudzona do ostatnich granic, cienkie ręce i nogi sprawiały wrażenie kości jedynie okrytych szarą skórą. Czarne włosy, chociaż nadal długie, sięgające aż po uda, były splątane, zmierzwione i bez połysku. Włosy tancerki apsary tańczyły razem z nią, żyły własnym życiem.

Włosy obecnej Urvasi nie miały siły tańczyć. Przemykała zgrabnie między długimi lianami zwisającymi z korony drzewa. Dawniej, w barwnym, bogato zdobionym złotem i klejnotami stroju, wyglądałaby na ich tle jak płomień życia pełgający wśród szarych i nudnych zasłon. Teraz, w zbyt obszernych brunatnych łachmanach, które miała na sobie, wtapiała się w zwisające liany i w nich znikła. Przestała tańczyć i podbiegła ku niemu, dysząc ciężko.

– I co? I co? – śmiała się radośnie, rzucając się mu na szyję. – Widzisz, że umiem. Niczego nie zapomniałam! O, bogowie, jak bardzo mi tego brakowało!

Po policzku Luk Sona powoli spłynęła łza.

– Umiesz, ukochana – powiedział, przytulając ją do piersi. – Jesteś wspaniała, zachwycająca. Twój taniec to czysta radość.

– Wiedziałam, byłam pewna. – Ucieszyła się z komplementu. – No to teraz sam powiedz! Może jednak to ma sens? Może znajdzie się ktoś, kto będzie chciał zapłacić za mój taniec? Może w końcu przestanę być taka bezużyteczna?

– Urvasi, moja najukochańsza, moja najwspanialsza żono – wyszeptał ze smutkiem. – Serce mi krwawi z rozpaczy, że muszę cię rozczarować. Tańczysz tak pięknie, to prawda, nikt nie robi

tego piękniej od ciebie. Ale popatrz na nas: kto będzie chciał zapłacić za taniec chudej i zabiedzonej żebraczki? Na moście przed świątynią miałaś na sobie piękne szaty. Twoje włosy zdobiły złote diademy wysadzone klejnotami, twoje nadgarstki i kostki okalały złote bransolety. Twoje włosy, pięknie ułożone, błyszcząły, gdyż byłaś najedzona i w pełni sił. Taniec był oczywiście najważniejszy, ale to wszystko, cała oprawa sprawiała, że widzowie nie posiadali się z podziwu. Taniec i twój wygląd wzbudzały zachwyt. Nie, kochana. Nikt nie zapłaci za taniec żebraczki. Bo właśnie tym dziś jesteśmy – żebrakami.

Urvasi wtuliła się mocniej w jego ramiona. Zamilkła. W nocy słyszała, jak cichutko łkała, ale nie wiedziała, jak jej pomóc.

Parę dni później, nic nie mówiąc Luk Sonowi, Urvasi wybrała się na targ. Wiedziała, że jej jedyną szansą spotkania starej nauczycielki, przełożonej tancerek, jest właśnie ten dzień i to miejsce. Wielkie targowisko odbywało się raz w miesiącu. A jedynie raz w roku z dalekich krajów przyjeżdżali handlarze z piórami.

Szkoła otrzymywała wszystkie stroje gotowe z królewskich szwalni, wykonane precyzyjnie, zgodnie z poleceniami nauczycielek. Materiały do wykonania tych strojów musiały wcześniej wybrać główna przełożona. Wszystkie były dostarczane do jej ostatecznej akceptacji na miejsce, do szkoły, przez dostawców i handlarzy. Wszystkie oprócz tej jednej ozdoby. Raz do roku przełożona udawała się w towarzystwie służby na wielki targ, aby osobiście wybrać egzotyczne ptasie pióra, zdobiące stroje tancerek bogów. Urvasi nie mogła przepuścić tej okazji. Nie miała innej możliwości spotkania swojej mentorki. W momencie, kiedy z własnej woli opuściła szkołę i świątynię, chroniące ją przed światem zewnętrznym, powrót stał się niemożliwy. Straże królewskie pilnie strzegły wejścia. Obcy, a przecież ona teraz była obca, nie mieli czego szukać w przybytkach bogów.

Zobaczyła ją z daleka. Stara nauczycielka stała pośród handlarzy i w skupieniu oglądała prezentowane jej towary. Urvasi podeszła tak blisko, jak mogła. Służący otaczali swą panią ścisłym kordonem, chroniąc ją przed tłumem. Dziewczyna próbowała precyzyjnie się bliżej, ale za każdym razem była odpychana i przepędzana przez pachołków. Zrozpaczona próbowała przekrzyknąć gwar targowiska.

– Nauczycielko! – zawołała, wymachując rękami. – Pani! Nauczycielko, spójrz na mnie, proszę. Nauczycielko! To ja, Urvasi!

Stara kobieta na chwilę oderwała oczy od kolorowych pawich piór i spojrzała w jej kierunku. Ominęła ją wzrokiem, szukając dalej, a potem szybko powróciła spojrzeniem ku twarzy Urvasi. Patrzyła na nią z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

– Puśćcie tę kobietę do mnie – rozkazała służącym.

Urvasi z radością podbiegła do swej mentorki. Skłoniła się nisko, opuściła głowę, złożyła dłonie na piersiach i w milczeniu czekała, aż stara nauczycielka pozwoli jej się odezwać. Nie widziały się ponad dwa lata.

Przełożona uniosła jej twarz i przyciągnęła ku sobie. Przyglądała się uważnie dawnej uczennicy.

– To niemożliwe – szepnęła. – Urvasi, co się z tobą stało, dziecko? Jak ty wyglądasz?

– Tak, pani, to ja – odpowiedziała z szacunkiem dziewczyna, uśmiechając się do niej. – Wiem, że nie wyglądam najlepiej. Życie tutaj – wzruszyła ramionami – życie poza szkołą jest zupełnie inne. Bardziej skomplikowane. Czasami trudno zdobyć pożywienie. Ale, pani, ani przez chwilę nie żałowałam swojej decyzji. Jestem bardzo szczęśliwa z moim mężem.

– Tak... – odparła nauczycielka. – Byłaś najlepszą uczennicą, jaką w życiu miałam. Byłaś

moją największą nadzieją. Rzuciłaś to wszystko, zdradziłaś taniec dla mężczyzny.

– Nie, nauczycielko, to nie tak – tłumaczyła się Urvasi. – Odeszłam, bo nie mogłam już tańczyć dla bogów. Moja stopa zrosła się co prawda – wyciągnęła przed siebie prawą nogę – ale do dzisiaj nie mogę jej prawidłowo zginać. To nie ja unicestwiłam twoją nadzieję, to bogowie zesłali na mnie taki los. Chyba nie chcieli, żebym dłużej dla nich tańczyła. Teraz nie jestem w stanie wykonać poprawnie poszczególnych ruchów tańca. Moja stopa już nigdy nie będzie posłuszna mojej woli.

– To nie ma znaczenia – oświadczyła sucho stara kobieta. – Odeszłaś, bo chciałaś. Mogłaś zostać, mogłaś być mi oparciem. Kształcić młode tancerki, tak jak ja to czynię od dnia, kiedy przestałam tańczyć dla bogów. To ty miałaś być moją następczynią. Byłaś moją nadzieją. Jeśli teraz z głodu i nędzy chcesz wrócić i liczysz, że przyjmę cię z powrotem, to się mylisz.

– Nie – zaprotestowała Urvasi. – Ja tylko chciałam...

– Nie przerywaj mi – powiedziała ostro nauczycielka. – Kochałam cię, dziecko, i nadal cię kocham. Ale reguły szkoły są surowe. Wszystkie kobiety w świątyni muszą być dziewicami. Mają prawo odejść w każdej chwili, lecz jeśli odejdą do mężczyzny, powrót jest surowo wzbroniony. To szkoła tancerek apsar, nie zakon buddyjski – prychnęła lekceważąco – gdzie możesz odchodzić i wracać, kiedy chcesz. Odeszłaś z mężczyzną, dziecko, a zatem sama sobie zamknęłaś drzwi. Nawet jeśli twój mnich cię porzucił, to ja ci nie mogę pomóc. Sama jesteś sobie winna.

– Nie, pani, to nie tak – odrzekła z pokorą Urvasi. – Nie chcę wrócić. Jestem bardzo szczęśliwa z Luk Sonem. Nie porzucił mnie.

– Nie chcesz wrócić? – zdziwiła się przełożona. – To czego chcesz? Jadła, datków? Czy ty próbujesz żebrnąć? U mnie?

– Nie, pani, nie żebrzę – odparła dumnie Urvasi. – Nie proszę o jadalno...

– Patrząc na ciebie, mam wrażenie, że robisz błąd, nie prosząc o jadalno... – stwierdziła nauczycielka.

– Chciałam cię prosić, pani, o pomoc, nie o jałmużnę – mówiła dalej Urvasi. – Sami zarobimy na swoje utrzymanie. Chciałam cię prosić, pani, abyś w swej wielkoduszności i przez wzgląd na dawniejsze lata zechciała mi podarować jedną z szat, które zamierzasz spalić w ofierze. Wiem przecież, że co roku płoną stopy strojów, z których tancerki już nie korzystają, na ołtarzu Ganeśi, opiekuna szkół. Chciałam cię prosić, abyś mi podarowała jedną jedyną, tę najskromniejszą.

– A więc jednak żebrzesz, prosisz o wsparcie – mruknęła nauczycielka. – Po co ci strój tancerki apsar? Nie możesz już tańczyć dla bogów, nie z twoją kaleką stopą.

– Pani, strój to nie jałmużna, nie napełnię nim pustego żołądka. To prawda, że nie mogę już tańczyć dla bogów, lecz nadal umiem wystarczająco dużo, by tańczyć dla ludzi. Chciałam zarobić na swoje utrzymanie tańcem. Do tego jednak potrzebna mi odpowiednia szata.

– Tańczyć, za pieniądze? Dla rozrywki bogaczy? – oburzyła się stara kobieta. – Taniec, dziewczyno, jest zaszczytem i przywilejem. Jest darem od bogów i jedynie ich, bogów, radości ma służyć. Czy niczego się nie nauczyłaś w szkole tancerek?

– Nauczyłam się, pani, bardzo wiele się nauczyłam – odrzekła Urvasi. – W szkole nie musiałam się martwić pustym brzuchem. Tańczyłam dla bogów i króla, a oni karmili mnie i opiekowali się mną w nagrodę. Tylko że teraz bogowie nie chcą już mego tańca, straciłam ich opiekę, świątynia już mnie nie wyżywi. Mogłabym jednak utrzymać się sama, jeśli ty nie odmówisz mi swej pomocy. Bo, moja dostojna nauczycielko, to nie bogowie mi jej odmawiają, tylko ty.

– Nic ode mnie nie dostaniesz! Nie zasłużyłaś na to. Odeszłaś z własnej woli, porzuciłaś mnie, szkołę i bogów. – Przełożona odwróciła się do służących. – Przegońcie tę żebraczkę!

Urvasi, popychana przez strażników nauczycielki, krzyknęła jeszcze w kierunku odchodzącej mentorki:

– Jeśli zmienisz zdanie, pani, znajdziesz mnie każdego poranka w cieniu wielkiego banianu po prawej stronie dużego zbiornika, przy moście do Angkor Wat. Niech bogowie natchną twe serce litością, pani!

Nauczycielka w żaden sposób nie dała po sobie poznać, czy usłyszała te słowa. Odwrócona plecami, całą swoją uwagę zwróciła na towary handlarzy ptasich piór.

Odtąd każdego dnia Urvasi, zamiast wyruszać z garnuszkiem po jałmużnę, żegnała się z mężem, który szedł żebraczkę do odległych dzielnic, i mówiąc mu, że będzie prosiła o datki w okolicy, biegła pod drzewo banianu, gdzie w jego cieniu aż do upalnego południa czekała z ufnością na odpowiedź od swojej mentorki. Już prawie straciła nadzieję, gdy po tygodniu od jej rozmowy z przełożoną szkoły wypatrzyła na moście prowadzącym do kompleksu Angkor Wat, największej świątyni i pałacu króla, służącą ze szkoły tancerkę apsary. Dziewczyna niosła niewielki wiklinowy kosz i wyraźnie kierowała się w stronę banianu. Urvasi z nadzieją wybiegła jej naprzeciw.

– Witaj. – Pochyliła się w tradycyjnym ukłonie. – Pamiętasz mnie jeszcze, jestem Urvasi.

– Pamiętam. – Tamta skłoniła głowę. – Witaj, Urvasi. Moja pani, przełożona tancerki, wysłała mnie tutaj z poleceniem oddania ci tego kosza.

Wyraźnie czuła się nieswojo. Patrzyła zdezorientowana na żebraczkę Urvasi i nie wiedziała, jak ma się zachować. Jeszcze parę lat temu usługiwała wspaniałej tancerce Urvasi i traktowała ją z należnym szacunkiem. Nie wiedziała, jak ma się zachować wobec tej obszarpanej nędzarki, którą dziś była jej dawna pani. Urvasi przerwała tę nieprzyjemną sytuację, chwyciła kosz, podziękowała i pożegnała się uprzejmie. Dziewczyna odeszła szybko, nie oglądając się za siebie.

Urvasi zaniósła kosz tam, gdzie teraz mieszkała wraz z mężem. Nie mieli domu, tak naprawdę nie mieli żadnego miejsca, by chroniło ich od deszczu i osłaniało przed obcymi spojrzeniami. Najbardziej na miano ich wspólnego domu zasługiwało potężne drzewo banianu, którego zwisające liany tworzyły ściany, rozłożyste konary dach, a poskręcane korzenie służyły za schowek dla tych paru nielicznych rzeczy, jakie posiadali.

Drzewo stało nieco dalej od uczęszczanych szlaków i ulic miasta, co dawało im z jednej strony trochę intymnej prywatności, z drugiej jednak nie mogli czuć się tu w pełni bezpieczni, gdyż wokół miasta rozciągała się dżungla. Co prawda tygrysy i lamparty rzadko zapuszczały się między ludzi, ale węże i jadowite pająki stanowiły poważne zagrożenie.

Urvasi odkryła wiklinową pokrywę kosza dopiero w cieniu drzewa. Aż krzyknęła z radości. W środku, starannie ułożone, leżały prawdziwe bogactwa. Ta myśl ją rozśmieszyła. Kiedyś w dawnych czasach mianem bogactwa określała piękną złotą biżuterię, zdobioną błyszczącymi szlachetnymi kamieniami. Klejnoty, w których mogła niegdyś tańczyć dla bogów, to były prawdziwe bogactwa. Dzisiaj określiła tak skromną szatę z turkusowej tkaniny, wyszywaną żółtą nicią, naczynie wypełnione olejkiem do natłuszczania włosów i jedzenie, owoce, warzywa oraz parę placków ryżowych zawiniętych w liście bambusa.

Szczęśliwa, ukryła kosz w konarach drzewa, sama zaś udała się w kierunku rzeki, zabierając ze sobą drogocenny olejek do włosów. Było jeszcze wcześniej. Nim Luk Son wróci, zdąży mu przygotować niespodziankę. Wykąpała się, wtarła we włosy odrobinę olejku i mozolnie je rozczesała za pomocą zaostrego kamienia, który znalazła na brzegu. Wystrzępione końcówki

ucięła równo ostrym nożem, jedną z nielicznych rzeczy, jakie posiadała. Co z tego, że włosy staną się nieco krótsze, za to będą zdrowsze.

W drodze powrotnej do drzewa banianu nazrywała cały bukiet żółtych, mięsistych orchidei. Nie dostała od przełożonej żadnej biżuterii ani stroików na głowę, które stanowiły ważną część ubioru tancerki. Nie szkodzi, najważniejsza jest szata. Nie potrzebuje złota, kwiaty doskonale zastąpią klejnoty. Przygotowała z orchidei ozdoby na nadgarstki i głowę. Rozścieliła na ziemi bambusowe maty, które własnoręcznie splótł Luk Son, a które im służyły za maty do siedzenia, spożywania posiłku i również jako łoża małżeńskie. Ustawiła na nich kosz z jedzeniem, a potem przebrała się w turkusową szatę, ustroiła kwiatami i usiadła na macie, czekając na męża. Nie miała lustro, w którym mogłaby się przejrzeć, nie potrafiła ocenić, jaki efekt przyniosły jej zabiegi. Kiedy Luk Son wrócił z porannego zbierania jałmużny i odsłonił liany zwisające z ich drzewa, ujrzał widok, który zaparł mu dech w piersiach.

– Urvasi! – wykrzyknął. – Jesteś taka piękna!

– Witaj, kochany mężu – powiedziała, wstając i przyjmując jedną z póź tancerek apсарy. – I co, rozpoznajesz dziewczynę, w której się zakochałeś?

– Och, wyglądasz wspaniale! Jak to możliwe? Jak to się stało? – Spojrzał na posiłek rozłożony na matach. Od bardzo dawna nie mieli takiej ilości jedzenia. – Skąd się to wszystko wzięło?

– Usiądź. Zjedzmy. – Pociągnęła go za sobą w stronę mat. – Opowiem ci wszystko.

Przytulił ją do siebie i natychmiast odsunął się gwałtownie.

– Och, uważaj. Jestem brudny, nie chcę ubrudzić twojej pięknej szaty!

– Masz rację – przyznała ze śmiechem. – Lepiej ją zdejmę i schowam. Poczekaj chwilę, przebiorę się szybko. Też nie chciałabym jej zniszczyć, mam nadzieję, że jeszcze mi się przyda.

– Nie, zostań w niej jeszcze chwilę! Daj mi nacieszyć oczy! Skąd ją wzięłaś, musi być warta majątek, jest taka piękna!

– Wcale nie jest tak dużo warta, jak ci się wydaje, kochany. – Urvasi poruszała dłońmi delikatnie jak wiatr, w rozmarzeniu wykonując coraz to inne figury i gesty klasycznego tańca bogini mgły. – To prosty ubiór tancerki, przeznaczony jedynie do ćwiczeń, nie na oficjalne występy. Tamte szaty są zdobione złotymi nićmi i klejnotami, ta zaś to zwykła gruba i sztywna bawełna, która ma jedynie dać ćwiczącej odczucie, jak jej ruchy wpływają na ułożenie materiału. Prawdziwe stroje tancerek są dużo cięższe. Do tego dochodzą bransolety, naszyjniki i nakrycia głowy z masywnego złota. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno w tym wszystkim poruszać się z gracją, dając widzom złudzenie lekkości i delikatności mgły. W tej szacie i z kwiatami zamiast złotej biżuterii mogłabym prawie unosić się w powietrzu. – Cieszyła się jak dziecko, tańcząc wokół niego.

– Mimo wszystko jest wspaniała, ty jesteś wspaniała. – Patrzył na nią z uwielbieniem. – Jak to możliwe? Skąd wzięłaś to wszystko, Urvasi?

– Nie uwierzysz, ale chyba jednak wyzebrałam. – Roześmiała się radośnie. – Poczekaj, przebiorę się szybko i zaraz ci opowiem.

Zniknęła za zasłoną lian, a po chwili wróciła ubrana w swoje bure łańchmany. Jedynie żółte orchidee nadal zdobiły jej włosy i nadgarstki. Starannie złożyła turkusową szatę, otuliła ją w szerokie liście lotosu i ułożyła na dnie wiklinowego kosza. Nadal wyglądała przepięknie.

– Jak to, wyzebrałaś? – spytał zaintrygowany Luk Son. – Opowiadaj!

– Pamiętaj naszą rozmowę o tańcu? Miałaś rację, nikt nie chciałby zapłacić za taniec żebraczki. Dlatego zaczęłam się zastanawiać, co zrobić. Jak sprawić, żebym wyglądała jak tancerka, nie jak nędzarka. Widzisz, tancerki w szkole mają bardzo dużo różnych strojów. Na

prawie każdą uroczystość szyje się nowe ubiory, pasujące do nowych układów. Oczywiście biżuteria i złote kosztowne ozdoby są przechowywane w skarbcach szkoły i tancerki jedynie dostają je na występy, ale stroje to zupełnie inna sprawa. Te wyszywane złotem i klejnotami, służące do ceremonialnych tańców dla bogów, pozostają niezmiennie, lecz każda dziewczyna ma przynajmniej dziesięć zestawów sukni takich jak ta. To są tak zwane szaty spodnie. Na nie dopiero nakłada się szaty ceremonialne albo kostiumy do przedstawiania eposów. Zwykle szaty spodnie niszczą się po pewnym czasie albo stają się niepotrzebne bądź mają wyblakłe kolory. Raz do roku wszystkie stare, zbędne szaty są palone jako ofiara dla boga Ganeśi, patrona szkół. Myślałam dużo o swoim wyglądzie. Na to, że jestem wychudzona, nic nie mogę poradzić. O włosy, jak widzisz, zadbałam, wystarczyło trochę je skrócić i już wyglądają lepiej.

– Rzeczywiście są przepiękne. – Luk Son pogładził dłonią gładkie, błyszczące włosy żony. – I takie delikatne, miękkie. Nie wiedziałem, że ich obcięcie może zdziałać takie cuda.

– Och, samo obcięcie nie wystarczyło. Musiałam je porządnie umyć i wycesać, co wcale nie było łatwe bez porządnego grzebienia. Mnóstwo czasu dziś spędziłam jedynie na rozdzielaniu niesfornych pasm zaostrzonym kamykiem.

– Ale efekt jest wspaniały!

– Cóż, nie będę ukrywać, że przede wszystkim pomogła wielkoduszność mojej dawnej mentorki. – Urvasi uśmiechnęła się z dumą. – Dostałam również odrobinę specjalnego olejku do natłuszczenia włosów. Dlatego tak błyszczą. To kolejna tajemnica tancerek, a uwierz mi, jest ich wiele.

– Twojej dawnej mentorki? – zapytał zdziwiony Luk Son. – Jak to? Jak ci się udało wejść na teren pałacu i świątyni? Przecież tam nie wpuszczają żebraków.

– Widzisz, mój kochany, ja wcale nie musiałam iść do szkoły. – Urvasi cieszyła się jak dziecko. – To szkoła przysłała do mnie. Dobrze znać wszystkie zwyczaje i tajemnice tancerek apsary. Przydało się!

Opowiedziała mu ze szczegółami o swoim przemyślnym planie i o tym, jak spotkała swoją mentorkę na targu.

– Gdyby się nie udało... – dodała na zakończenie – gdyby moja stara nauczycielka nie ulitowała się nade mną, nawet bym ci o tej całej sprawie nie opowiedziała. Byłeś tak bardzo pewien, że mój taniec nie jest wart zapłaty. Nie wiedziałam, jak cię przekonać. Musiałam ci pokazać, udowodnić. Wiedziałam jednak, że potrzebna mi jedynie skromna szata, plama koloru. Piękny taniec nie wymaga złota jako oprawy. Wystarczy tak niewiele. Parę kwiatów... Ja jestem nadal bardzo dobrą tancerką, Luk Son. Pomożesz mi? Spróbujesz znaleźć ludzi, którzy zapłacą za mój występ?

– To nie będzie łatwe, ukochana. Wszyscy, którzy kiedyś patrzyli na mnie z szacunkiem, dziś traktują mnie jak żebraka i odpędzają – odrzekł. – Ale spróbuję, oczywiście, że spróbuję. Nawet mam pewien pomysł. Pójdę tam jutro z samego rana.

– Jaki pomysł? – spytała zaciekawiona. – Dokąd chcesz iść?

– W bogatych domach, takich, gdzie urząda się wystawne przyjęcia i płaci tancerkom i sztukmistrzom za ich występy, takich, gdzie trzyma się na stałe muzykantów, nie mam żadnych znajomych. Mnisi buddyjscy nie są tam popularni, bogacze czczą swoich bogów, do Buddy zaś zwracają się głównie ci, którzy są w potrzebie. Ale jakiś czas temu zjawił się w klasztorze jeden ze służących z bogatego domu z prośbą o pomoc. Jego syn był bardzo chory, a ten sługa miał dużą rodzinę i nie mógł opłacać drogich lekarzy ani złożyć ofiary w świątyniach Brahmy, Śiwy i Wisznu. Buddyjscy mnisi byli jego ostatnią nadzieją. Ja sam leczyłem chłopca. Wyzdrowiał.

Ten służący, grajek, chciał mi się koniecznie odwdziżyć. Wtedy, jako mnich, nic nie mogłem przyjąć w podzięce. Dziś mogę, nie jestem już mnichem i sam znalazłem się w potrzebie. Pójdę do domu, w którym służy ten człowiek, i odnajdę go. Może odwdziży mi się po latach, zachwalając twoje występy swemu panu? Może znajdzie się jakaś okazja, abyś znów zatańczyła, kochana? Tym razem za pieniądze.

Jak postanowił, tak zrobił. Teraz los się do nich uśmiechnął. Urvasi zatańczyła na przyjęciu w domu bogatego handlarza. Wynagrodzono ją sownie. A zachwyceni jej umiejętnościami goście zaczęli wzywać ją na występy do swoich domów. Luk Son i Urvasi opuścili swoje schronienie pod drzewem banianu i przenieśli się do małego domku na palach, położonego na brzegu kanału, doprowadzającego wodę z barajów – wielkich zbiorników po obu stronach głównego kompleksu świątyń Angkor Wat i Angkor Thom – bezpośrednio do wnętrza otoczonego murami pałacu królewskiego.

Zamieszkali w samym centrum olbrzymiego miasta, występy Urvasi pozwoliły im na to. Wreszcie mieli swój pierwszy, prawdziwy, wspólny dom. Opłata była wysoka, pięć worków ryżu rocznie, jednak Urvasi już po paru miesiącach tańca zarabiała bardzo dużo. Pół worka ryżu za jeden trzygodzinny popis. Ale bogacze wiedzieli, że Urvasi jest warta każdego ziarenka.

Po pół roku kupiła dwie nowe szaty tancerki. Biżuterii, bransoletek, złota i klejnotów nie chciała. Nie tylko dlatego, że były dla niej nadal zbyt drogie. Po co, mówiła, wydawać cenny ryż na zbytkowe ozdoby? Najlepszy rzemieślnik i tak nie odda swym dółtem prawdziwego naturalnego piękna roślin. Urvasi tańczyła więc przystrojona bajecznie kolorowymi kwiatami z dżungli, a zamiast złotych bransoletek na jej przegubach pobrzękiwały muszelki na drewnianych i skórzanych obręczach.

Nie byli bogaci. Zarobki Urvasi wystarczały, co prawda, na mieszkanie i jedzenie, lecz na nic więcej. Jednak przestali być żebrakami. Żyli bardzo skromnie, ale byli bardzo szczęśliwi. Luk Son, niestety, nie miał takiego szczęścia jak jego żona. Nie udało mu się znaleźć żadnej pracy. Mieszkali w centrum miasta, mógłby więc zatrudnić się jako tragarz przy noszeniu towarów, przywożonych do Angkoru z całego świata szlakami wodnymi. Był silny i nie bał się pracować. Mógł pomagać handlarzom, był wykształcony, umiał liczyć i pisać. Z radością przyjąłby każdą pracę i nie ustawał w poszukiwaniach, jednak bez powodzenia. Sąsiedzi przychylnym okiem patrzyli na piękną i utalentowaną tancerkę Urvasi, lecz jej męża, buddystę i byłego mnicha, traktowali nieufnie. Nikt nie chciał go zatrudnić, bojąc się zemsty hinduskich bogów.

Luk Son martwił się bardzo, chciał pomóc żonie, czuł się za nią odpowiedzialny i chciał się o nią troszczyć. Tymczasem jedynie dzięki jej pracy mieli co włożyć do garnka. Urvasi śmiała się tylko, tuliła się do niego i próbowała pocałunkami przegonić troski ze zmarszczonego czoła męża. Była jeszcze młoda, mogła jeszcze długo tańczyć. Nie martwiła się o przyszłość. Złe czasy głodu odeszły w niepamięć, teraz mogło być już tylko lepiej. Miłość, którą jej dawał Luk Son, jego dobroć i oddanie – to wszystko, czego pragnęła. Była zakochana i bezgranicznie szczęśliwa.

A potem zaszła w ciążę. Na początku nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej silny organizm, przyzwyczajony do ciężkich ćwiczeń tancerki, sprawił, że nie odczuwała żadnych skutków swego stanu. Nie było ani porannych nudności, ani żadnych innych sygnałów ostrzegawczych. Zrozumieli dopiero, gdy jej napięty okrągły brzuch stał się już wyraźnie widoczny. Cięża w Angkor nie była niczym wstydlwym. Kobiety, które w tym dużym mieście trudniły się głównie handlem, pracowały do ostatnich dni przed rozwiązaniem. Potem robiły krótką, tygodniową przerwę i wracały do swoich stałych miejsc na targowiskach, rozkładały na matach towary i pracowały z niemowlętami przy piersi. Tak robiły handlarki, naprawiaczki sieci

w niewielkich portach rybackich czy też służące.

Urvasi jednak była tancerką. Już w szóstym miesiącu ciąża stała się wyraźnie widoczna. Strój do tańca jeszcze dodatkowo ją podkreślał. Skończyły się zaproszenia na występy. Nie mieli żadnych zapasów. Odłożonego ryżu nie wystarczyło na opłacenie kolejnego czynszu. Musieli opuścić swój domek na palach i wrócić pod stare, dobre drzewo banianu. Przez te trzy miesiące do rozwiązania po kolei sprzedawali cały dobytek, jaki udało im się zgromadzić w ciągu tych trzech dobrych lat, kiedy Urvasi tańczyła. Teraz miała dwadzieścia lat, a Luk Son dwadzieścia cztery. To dziecko było owocem ich wielkiej miłości, ale nie wiedzieli, czy uda im się przeżyć do momentu, kiedy ono przyjdzie na świat.

W końcu sprzedali już wszystko. Parę garnków, szaty tancerek, koce, drewniane ozdoby. Kiedy już nie zostało im nic prócz tej pierwszej sukni, подарowanej Urvasi przez starą nauczycielkę, grzebienia do włosów i mat do spania, Luk Son podjął decyzję. Dziecko miało lada dzień przyjść na świat. On sam nie jadł już od paru dni, oddając wszystko, co zdołał uzbierać, ukochanej żonie.

Urvasi nie skarżyła się, ale widział, jak bardzo cierpiała z głodu. Powinna była teraz jeść za dwoje, a on czasami nie potrafił jej zapewnić nawet garnuszka stawy dziennie. Nie mogli tak dalej żyć. Jeśli nie dostanie jakiejś pracy, jeśli nie znajdzie wyjścia, to będzie musiał bezradnie patrzeć, jak jego dziecko umrze z głodu. A potem będzie patrzył na rozpacz żony. Jego ukochana już nigdy nie zatańczy, nieszczęśliwi ludzie nie tańczą. Nieszczęśliwi płaczą. Czy taka ma być ich przyszłość – głód, płacz i rozpacz?

Gdyby nie był buddystą, pewnie by zabił Urvasi. Odebrałby jej życie, aby oszczędzić żonie cierpienia, a potem sam by się powiesił. Ale był buddystą, a najważniejsze prawo i przykazanie, które go obowiązywało, nie pozwalało mu zabijać. Każdy, nawet najmniejszy robak, ma nieśmiertelną duszę, która odradza się wiecznie w ciałach różnych istot. Uczniowie Buddy nie uśmiercają żyjących istot. Mógłby spróbować upolować jakieś zwierzę lub chociaż nałapać szarańcza i nakarmić nią Urvasi. Lecz nawet szarańcza jest żywym stworzeniem.

Luk Son odszedł co prawda z klasztoru, jednak nie porzucił drogi Buddy. Nie wolno mu było zabijać! Musiał znaleźć pracę, żeby kupić pożywienie, warzywa, owoce, ryż. Pracę, która pozwoliłaby mu zapewnić Urvasi inny dach nad głową niż ten z liści drzewa banianu. Taką, dzięki której będą mogli wychować swoje dziecko. Dziecko tancerki bogów i mnicha buddyjskiego.

Luk Son podjął decyzję. Koniec z szukaniem wyjść awaryjnych i półśrodków. Był lekarzem, i to doskonałym. Tam, gdzie inni medycy sobie nie radzili, wzywano właśnie jego. Mimo że był buddystą, król bóg, inkarnacja Wisznu, wezwał go w potrzebie, aby uleczył jego ranę. Nawet jeśli hinduscy możni boją się zemsty bogów i nie chcą mu dać pracy, to ten najważniejszy i najbogatszy z nich doskonale wie, że Luk Son jest bardzo dobrym lekarzem. On nie musi się bać niczyjej zemsty, wszak sam jest wcieleniem boga. Luk Son postanowił błagać o pracę samego króla. Co prawda nie wiedział, jak się dostanie przed oblicze władcy, ale przysiągł samemu sobie, że tego dokona.

Absolutnie nierealne było, aby żebrak, wyrzucony poza ramy społeczeństwa Angkoru, mógł stanąć przed obliczem monarchy. Mieszkańcy imperium Khmerów i samego Angkoru byli podzieleni na cztery podstawowe kasty, zwane warnami. Najwyższą z nich stanowili bramini – kapłani. Z tej kasty wywodzili się urzędnicy państwowi. Kolejną wysoką kastą byli rycerze – kszatraci, oni tworzyli armię imperium oraz gwardię przyboczną króla, strzegli miasta i świątyni.

Jedynie członkowie obu wysokich kast byli dopuszczani przed oblicze króla i jedynie

z członkami tych kast władca rozmawiał. Przedstawiciele kast niskich, a więc wajsjowie, do których zaliczali się rzemieślnicy, rolnicy, hodowcy i handlarze, oraz służący – siudrowie – mogli przebywać z królem bogiem w jednym pomieszczeniu, ale po prostu nie liczyli się dla monarchy.

Zebracy i biedota, taka jak Luk Son, nie mieli żadnej możliwości dostania się przed oblicze króla. Społeczeństwo zdawało sobie sprawę z istnienia kast niskich, natomiast tacy jak Luk Son byli niczym, mieli wartość mniejszą niżli wartość zwierząt pociągowych. Jak Luk Son mógłby się zwrócić ze swoją prośbą do króla, skoro on sam w ogóle nie istniał dla władcy? Nierealne. Nawet gdyby był siudrem albo wajsjem, nie miałyby żadnych szans.

Przedstawiciele wyższych kast może wysłuchaliby jego prośby, a następnie ją odrzucili, nie zwracając sobie głowy przedstawieniem jego słów władcy. Przecież nie był nawet sługą, był nikim. Luk Son długo zastanawiał się, jak przezwyciężyć tę trudność, zdawałoby się nie do pokonania. W końcu wpadł na pewien pomysł, choć miał minimalną szansę, właściwie cień szansy. Ale była to jedyna możliwość i Luk Son uczeplił jej się z całych sił. Obmyślił plan.

Dżajawarman VIII był królem bogiem, inkarnacją Wisznu. Jego pałac znajdował się w otoczonym murem mieście Angkor Thom, połączonym z kompleksem świątyń i z główną świątynią Angkor Wat, poświęconą Wisznu. Król opuszczał pałac tylko wówczas, gdy wojna czy też potyczki z Tajami wymagały jego obecności. Raz w roku objeżdżał całe swoje imperium, by błogosławić świątynie i modlić się o pomyślne zbiory, była to jego jedyna regularnie odbywana podróż. Zarządzał swoim imperium ze stolicy, z Angkoru.

W obrębie miasta, zarówno pilnie strzeżonego Angkor Thom, jak i całego potężnego Angkoru ze wszystkimi jego licznymi świątyniami, król brał czynny udział we wszystkich rytualnych ceremoniach poświęconych licznym bóstwom. Oczywiście najczęściej, bo codziennie, odwiedzał świątynię Angkor Wat, sam bowiem był przecież królem bogiem, wcieleniem Wisznu. Ale nie zaniedbywał wizyt w pozostałych miejscach kultu, jako że nie chciał dopuścić, aby inne bóstwa czuły się urażone. Nie mógł sobie pozwolić na ich zemstę; najazdy Tajów, którzy bezustannie nękali imperium, były wystarczającą plagą.

Każda zatem z licznych świątyń przynajmniej raz w miesiącu dostępowała zaszczytu osobistej wizyty Dżajawarmana VIII, króla boga. W tym dniu odbywały się tam wielkie uroczystości, połączone ze wspianym pochodem orszaku królewskiego przez dziedzińce zewnętrzne, występami tancerek apsary i modłami na dziedzińcach wewnętrznych, dostępnych jedynie wysokim kastom. Sam król zaś modlił się w głównych sanktuariach świątyń.

Jedyną całkowicie wyłączoną z tych obrzędów świątynią była leżąca w granicach Angkor Thom Ta Prohm, świątynia tylko i wyłącznie buddyjska. Została zbudowana jako przybytek Buddy i poświęcona matce króla Dżajawarmana VII, lecz nie łączyła synkretycznie, jak większość innych budowli sakralnych, hinduizmu z buddyzmem. Tej król nie odwiedzał. Funkcjonowała sobie spokojnie razem z buddyjskim uniwersytetem oraz licznymi szkołami i działała bez większych przeszkód. Mnisi medytowali i oddawali się swym studiom odcięci od zewnętrznego świata i hinduskich bogów.

Inaczej było z Bajon. Co prawda tutaj też głównym kultem był buddyzm, ale mnisi buddyjscy, żyjący w położonym nieopodal klasztorze, praktykowali na dziedzińcu świątyni Bajon sztukę leczenia. To do Bajon mógł przyjść każdy mieszkaniec Angkoru, który potrzebował pomocy lekarskiej, i tu nieodpłatnie ją otrzymywał. To właśnie w klasztorach mnichów z tej świątyni wychował się i wykształcił Luk Son.

Jednak Bajon nie była świątynią Buddy, lecz Wisznu, którego awatarem, kolejnym

wcieleniem, miał być Budda. Olbrzymie posągi z twarzami króla boga Dżajawarmana VII, wcielenia Wisznu/Buddy, spoglądały na cztery strony świata, obserwując śmiertelników, błogosławiąc im i współczując ich ziemskim cierpieniom, niezależnie od tego, czy owi ludzie podążali ścieżką oświecenia Buddy czy też bili pokłony Wisznu, Śiwie i Brahmie.

Król zatem musiał odwiedzać Bajon, nawet jeśli obecność mnichów buddyjskich w świątyni nie była miła jego oczom. Raz w miesiącu Dżajawarman VIII przybywał do świątyni Bajon, aby się modlić do wszechwładnego boga Wisznu. W tej uroczystości Luk Son, znający doskonale Bajon i zaznajomiony z przebiegiem rytualnych uroczystości, widział swoją jedyną szansę.

Brakowało jeszcze wielu godzin do świtu, gdy Luk Son opuścił posłanie obok swej ciężarnej żony. Urvasi oddychała spokojnie, czasami mrucząc coś niewyraźnie przez sen. Jej wielki brzuch sięgał krawędzi wąskiej maty, na której leżała. Luk Son ucałował ją delikatnie w czoło, potem poszedł do rzeki i starannie ogolił głowę. Wiedział, że nie powinien tego robić, nie był już mnichem i nigdy nie będzie. Ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli mu się uda, jeśli nawet król na niego spojrzy, to nigdy nie rozpozna dawnego Luk Sona w brodatym i kudłatym żebraku, którym się stał. Dlatego teraz zdecydował się ogolić głowę.

Miał tylko tę jedną szansę. Jeśli się nie uda, jeśli zostanie oskarżony o zbezczeszczenie świątyni lub zakłócanie uroczystości religijnej, i tak straci życie. Wtedy to, czy ma ogoloną głowę, czy też nie, nie będzie miało żadnego znaczenia. Umył się starannie i ruszył w drogę do Bajon bardzo wcześnie, tak aby znaleźć się na miejscu jako jeden z pierwszych gapiów.

Świątynia Bajon różniła się od wszystkich innych angorskich świątyń. Po pierwsze, nie była otoczona murem. Wokół budowli ciągnęły się wsparte na kolumnach zadaszenia, dające chłodny cień nawet w najgorętsze dni pory suchej. Kamienne posadzki wręcz zapraszały do odpoczynku. Wielokrotnie wcześniej, jeszcze jako mnich, Luk Son siadał w cieniu na kamieniach, oparty o kolumnę, i medytował w skupieniu. Małe jaszczurki wspinały mu się na nogi, wcale się go nie obawiając.

Już na tym pierwszym, olbrzymim otwartym dziedzińcu, otaczającym właściwe sanktuarium, na dziedzińcu, który prowadził do wnętrza i był dostępny dla wszystkich mieszkańców miasta, znajdowały się miejsca, gdzie dochodziło do niewytłumaczalnych zjawisk akustycznych. Jeśli ktoś właśnie tu zagrał na popularnym jednostrunowym instrumencie *kse diev*, to dźwięk rozchodził się z całą mocą po olbrzymim dziedzińcu. Zwielokrotniony, brzmiał jak wycie demonów pośród kolumn. Właśnie to miejsce wybrał Luk Son do realizacji swego planu. Usiadł spokojnie pod kolumną, której kształt pozwalał wspiąć się na nią nieco wyżej, ponad kamienną posadzkę, i czekał na rozpoczęcie uroczystości.

Dziedziniec powoli wypełniał się ludźmi. Czekano na uroczysty wjazd króla do Bajon. Przed południem dał się słyszeć rytmiczny huk bębnów i głośnie dźwięki trąb. Król bóg Dżajawarman VIII nadjeżdżał. Wszyscy wyciągali głowy, aby choć z oddali ujrzeć jego orszak. Szum głosów potężniał, gapie wznosili okrzyki pochwalne na cześć władcy. Na przedzie szli rycerze, gwardia królewska. Rozsuwali gęstniejący tłum na boki, tworząc szeroką aleję, przez którą miał przejechać król w drodze do świątyni. Za gwardią postępowali kapłani i tancerze, a następnie konni wojownicy w odświętnych strojach. Król jechał w ociekającej złotem lektyce na słońiu, prowadzoną przez poganiacza. Majestatyczne zwierzę, ozdobione bogato haftowanymi przykryciami i łańcuchami ze złota, zwisającymi między małymi oczami, wachlowało się leniwie uszami, kołysząc się powoli z boku na bok w rytm bębnów wielkiej orkiestry, postępującej w królewskim orszaku. Dżajawarman VIII siedział wyprostowany, osłonięty jedwabnym parasolem. Służący wachlowali go wielkimi wachlarzami ze strusich piór,

zamocowanymi na długich tyczkach. Wszyscy gapie, obecni na wielkim dziedzińcu, upadli twarzami do ziemi. Bębny ucichły, zapadła kompletna cisza, przerywana jedynie zduszonymi pokastywaniami i brzęczeniem owadów. Ten właśnie moment wybrał Luk Son na realizację swego planu. Zręcznie jak małpa wdrapał się na kolumnę, tak że cała jego postać była wyraźnie widoczna ponad głowami klęczącego tłumu.

– Najjaśniejszy panie i królu, wielki i błogosławiony władco. Wcielenie bogów, mądrości Śiwy, wszechwładny Wisznu, panie! – Jego głos rozbrzmiewał wyraźnie na całym dziedzińcu. Niósł się jak grzmot nadchodzącej burzy. – Błagam cię, w twej nieskończonej dobroci, wysłuchaj mnie, o panie! Niechaj wszyscy bogowie obdarzają cię powodzeniem i bogactwem. Niechaj ci będzie dane wieczne szczęście. Wysłuchaj mnie, o panie, w imię boskiego Wisznu, którego wcieleniem na ziemi jesteś!

Gwardziści już biegli w tę stronę, aby go ściągnąć z kolumny. Z wyciągniętymi pałkami i mieczami przeciskali się przez klęczący tłum. Jeszcze tylko parę kroków i będą przy nim. Zabiją go, zanim ktokolwiek zdąży zareagować, wszystko stracone. Król Dżajawarman spojrział zaskoczony w stronę wymachującego dłońmi żebraka, stojącego bezczelnie na wsporniku kamiennej kolumny.

Nikt nie śmiał odezwać się ani stać przed obliczem władcy bez jego wyraźnego pozdrowienia. Monarcha spojrział uważnie na tego szaleńca, a na jego twarzy błysnął cień wspomnienia, cień rozpoznania. Jeszcze nie przebrzmiało echo głosu Luk Sona, gdy wyraźny królewski rozkaz powstrzymał spadające już na jego głowę ciosy.

– Nie zabijać! – zawołał głośno król. – Zabierzcie go na wewnętrzny dziedziniec. Życzę sobie, aby go doprowadzono przed moje oblicze.

Żołnierze ujęli śmiałka pod ramiona i brutalnie powlekli w stronę schodów prowadzących do wnętrza świątyni, a potem dalej, na drugi dziedziniec kolumnowy, na który wstęp miały jedynie wyższe kasty i świta królewska. Tuż przed wejściem na schody poganiacz słonia zmusił zwierzę do przykłonienia. Piękna rzeźbiona lektyka, w której siedział władca, spoczęła na ramionach silnych tragarzy. Króla zaniesiono po schodach do wnętrza świątyni, podążyła za nim jedynie najbliższa świta złożona z kapłanów i urzędników, ochraniana przez najwyższą gwardię. Na końcu wprowadzono pod strażą wcale nie opierającego się więźnia. Gdy potężne drzwi zamknęły się za orszakiem, król opuścił lektykę i wydał polecenie.

– Niechaj kapłani Wisznu z Angkor Wat pójdą przodem i przygotują uroczystość wraz z kapłanami Bajon – rozkazał. – Pragnę odpocząć parę minut przed rozpoczęciem dzisiejszych ceremonii.

Służba natychmiast przygotowała królewski tron, który ustawiono pod namiotem, na uboczu dziedzińca wewnętrznego. Kapłani, niosący wodę w złotych naczyniach i owoce, podążyli za swoim władcą. Dżajawarman usiadł na tronie, przyjął kielich z napitkiem i oddalił wszystkich skinieniem dłoni.

– Przeprowadźcie do mnie tego bezczelnego śmiałka – zażądał.

Żołnierze przyciągnęli Luk Sona przed oblicze władcy i rzucili na ziemię u jego stóp. Przypadł czołem do ziemi i nie podnosząc oczu, czekał w pokornym pokłonie, aż król bóg raczy do niego przemówić. Monarcha odprawił wszystkich. W namiocie pozostał jedynie pojmany winowajca.

– Możesz się podnieść! Jak śmiałeś zakłócić ceremonię poświęconą bogom, nieszczęsny! Nie obawiasz się kary?

Luk Son pozostał na kolanach, jedynie podniósł głowę i spojrział błagalnie na króla.

– Niech cię bogowie błogosławią, o najjaśniejszy! Z pokorą przyjmę każdą karę, którą mi

wyznaczysz, panie, ale błagam, wysłuchaj mnie, zanim umrę!

– Luk Son – powiedział powoli i z namysłem Dżajawarman VIII. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę. Karą za twoje przewinienie jest śmierć. Wiesz o tym?

– Wiem, najjaśniejszy panie – powiedział odważnie młodzieniec. – Jednak śmierć mi nie straszna, tylko życie, które wiodę. Nie dla siebie chcę prosić o łaskę, panie. Nie boję się śmierci, może moje kolejne życie będzie wartościowsze. Może doprowadzi mnie do oświecenia, może będę lepszą istotą niżli w tym? Nieświadomie, z głupoty i niewiedzy uczyniłem rzecz straszną: skrzywdziłem innego człowieka. Należy mi się kara, panie, ale błagam, ulżyj w swej łasce jej cierpieniu.

– Jej? – Monarcha z zainteresowaniem przysłuchiwał się kwiecistej wypowiedzi byłego mnicha.

– Jej, Urvasi, mojej żony – odpowiedział cicho Luk Son.

– No tak, Urvasi – mruknął władca. – Jestem ci winien łaskę za twoje medyczne posługi, zarówno wobec mnie samego, jak i wobec tancerki apsary, którą poleciłem twojej opiece. Źle uczyniłeś, Luk Son. To, że odszedłeś z klasztoru Buddy, to nie grzech. Wolno ci było, miałeś do tego prawo. Jednak zabrałeś ze sobą moją tancerkę, i to na dodatek jedną z ulubionych, a to było niewybaczalne.

– Najjaśniejszy panie, ona sama dokonała wyboru, przecież tancerki również odchodzą!

– Tancerki tak! – Król ze złością uderzył dłonią w oparcie tronu. – Ale nie ona! Odeszła bez pytania, bez mojej zgody, wbrew mej woli!

– Panie, to niemożliwe! – Luk Son wpatrywał się w twarz władcy osłupiały. – Nikt jej nie zatrzymywał, nikt nie protestował. Zarówno przełożona tancerek apsary, jak i kapłani Angkor Wat wiedzieli całe tygodnie wcześniej, że Urvasi chce opuścić szkołę. Nie czyniono jej żadnych trudności. Dostała zgodę.

– Oczywiście, że dostała – odpowiedział z irytacją monarcha. – Jakże miałyby nie dostać? Gdyby jej zabroniono, to zbuntowałyby się wszystkie inne tancerki. Nie są niewolnicami. Tańczą dla bogów, dla zaszczytu i z własnej woli. Poświęcają siebie. Zachowują dziewictwo dłużej niż jakakolwiek inna kobieta w imperium, rezygnują z rodziny, miłości, mężczyzn i potomstwa tak długo, jak długo mogą tańczyć. Robią to dla bogów, ale również dlatego, że wiedzą, iż czeka na nie nagroda jeszcze w tym życiu. Ta nagroda to wolność i wieczny szacunek. Tancerki apsary odchodzą i zakładają rodziny, a ich trud i poświęcenie zostają im wynagrodzone. Nagrodą jest nie tylko szacunek całego otoczenia, tak długo, jak długo żyją. Nagradzam je również ja sam, pomagając im dokonać odpowiedniego wyboru męża i dając posag, który zapewni dobrobyt całej rodzinie do końca życia. Jednak nie zmuszam żadnej do małżeństwa, dostają posag nawet wówczas, gdy nie decydują się na założenie rodziny. Bo najważniejsze, że są wolne. Mogą odejść, mogą zawsze dokonać własnego wyboru. Nie mogłem odmówić tego prawa Urvasi! Ale nie mogłem jej również obdarować. Odeszła nie dlatego, że nie mogła już tańczyć, nie dlatego, że nie było dla niej miejsca w szkole. Odeszła dla ciebie, dla buddyjskiego mnicha. Nie mogłem nagrodzić takiej zdrady! Nie rozumiesz tego? Ona była tancerką apsary, tancerką bogów!

– Panie, wybac! – Luk Son ponownie przypadł czołem do ziemi. – Nie miałem pojęcia. Nie zdawałem sobie sprawy...

– Wiem, że nawet o tym nie pomyślałeś. Żądza was zaślepiła, lecz wasz grzech był zbyt wielki, abym mógł wam wybaczyć. – Król westchnął. – Powiedz teraz, o co chciałeś mnie prosić, Luk Son.

– To już nieważne, panie – jękał się. – Nie wiedziałem, nie zdawałem sobie sprawy. Teraz to już się nie liczy. Nie ma żadnej szansy cofnięcia czasu. Nie ma powrotu. Najjaśniejszy panie, wydaj rozkaz, aby mnie ścięto. Błagam tylko o jedno, jeśli możesz... uratuj moją Urvasi. Ona umrze, jeśli jej nie pomożesz. Jest brzemienna, nie poradzi sobie sama. Nie mamy dachu nad głową ani pożywienia. Uratuj ją, panie, błagam. Pomóż jej.

– Tylko jak? – Król pokręcił niechętnie głową. – Sami zdecydowaliście się na ten los, sami odeszliście. Macie takie życie, jakie sobie wybraliście. Czy to była twoja prośba, czy z takim zamysłem zakłóciłeś ceremonię ku czci Wisznu? To był twój plan? Twoje życie za pomoc Urvasi?

– Nie, mój królu. Chciałem cię błagać o pracę. Ty, panie, wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że jestem dobrym medykiem. Jesteś królem bogiem. Twoje słowo jest rozkazem, prawem. Od dnia, gdy odszedłem z zakonu, nikt nie chce mi dać zajęcia. Ludzie boją się zemsty bogów, bo jestem buddystą. Nie rozumieją. Ty, najjaśniejszy panie, nie masz takich uprzedzeń i wiesz, co warta jest moja wiedza. Miałem nadzieję, że w swej dobroci i mądrości zechcesz mi dać pracę. Wtedy nie musiałbym prosić o łaskę dla Urvasi. Sam bym ją utrzymał, nie żebrząc o jałmużnę. Teraz wiem, że to był naiwny plan. Nie miałem prawa prosić cię o żadną pomoc po tym, co uczyniłem.

Luk Son opuścił głowę na piersi. Łzy powoli spływały po jego policzkach. Czekał na wyrok i wiedział, że przyjmie go z pokorą. Wszystko stracone. Król w zamyśleniu skubał dolną wargę. Potem spojrział uważnie na klęczącego przed nim mężczyznę i powiedział półgłosem:

– Zrobimy inaczej. Nie pomogę Urvasi i nie skazę cię na śmierć. Nie mogę również przyjąć cię na dwór jako jednego z moich medyków. Nie tylko dlatego, że to ty. Głównie dlatego, że jesteś wyznawcą kultu Buddy. Moi bogowie są mniej zazdrośni niż moi dworzanie. To spowodowałoby zbyt wiele protestów i intryg. Ale co do jednego masz rację. Wiem, jak cenna jest twoja wiedza, i nie chciałbym jej stracić. Dlatego proponuję ci następujące rozwiązanie. Wrócisz do zakonu i już nigdy go nie opuścisz. Zamkniesz się za murami klasztoru i oddasz studiom medycznemu. Nie będziesz wychodził po jałmużnę, nie będziesz leczył biedaków, nie pojawisz się nigdy na dziedzińcach Bajon ani żadnej innej świątyni. Będziesz wiódł samotny żywot – z jednym jedynym wyjątkiem. Przyjdiesz na każde moje wezwanie, gdy będę cię potrzebował. I przyjmiesz ucznia, którego sam ci wybiorę. Przekażesz mu wszystko, co umiesz. Co ty na to?

– Jesteś czystą wielkodusznością, panie. Dziękuję ci z całego serca. Ale to nie kwestia mojego życia bądź śmierci jest dla mnie najważniejsza. Mogę umrzeć, jeśli ona żyć będzie. Co się stanie z Urvasi, panie? Jeśli jej nie pomożesz, to ja wybieram śmierć, a nie bezpieczne życie mnicha.

– Ty nie masz żadnego wyboru – odparł król. – Twoje życie, twoja śmierć, wszystko jest w moich rękach. Składałem ci tę propozycję tylko z jednego powodu. Interesuje mnie jedynie twoja wiedza medyczna. Jeśli przysięgniesz mi tu i teraz, że wykształcisz ucznia i znikniesz z życia Urvasi... Że zapomnisz o niej, że nie będzie nic, co by cię łączyło ze światem za murami klasztoru, to ja zadbam o przyszłość jej i waszego dziecka. Zapewnię jej dom i środki, wystarczające na przyzwoite życie. Czas nagli. Zdecyduj się teraz. Masz tę jedną szansę.

Oblicze Luk Sona rozjaśniła nadzieja.

– Najjaśniejszy panie, dzięki! – wyszeptał z przejęciem. – Oczywiście, że się zgadzam! Pożegnaj się z nią, wyjaśnię wszystko i już od jutra moje życie należy tylko do ciebie, panie, i do Buddy.

– Nie! – Król pokręcił przecząco głową. – Jeśli opuścisz ten dziedziniec żywy, to zostaniesz odwieziony bezpośrednio do klasztoru. Nie zobaczysz jej już nigdy, niczego jej nie będziesz

tłumaczył. Nie pozostaje ci nic innego, jak zaufać, że dotrzymam mojej obietnicy. Ale Urvasi nie zobaczysz już nigdy.

– Ale mój panie. Jeśli się z nią nie pożegnam, będzie myślała, że ją porzuciłem, zdradziłem, że jej już nie kocham.

– I tak właśnie ma myśleć. – Władca skinął głową na potwierdzenie. – Zgadając się na moją propozycję, zamkniesz za sobą wszystkie drzwi do tamtego życia. Wyrzekniesz się miłości, Urvasi i dziecka. Ona musi cię znienawidzić, aby móc żyć dalej. Decyduj! Teraz!

Luk Son myślał gorączkowo. Był gotów wyrzec się wszystkiego, był gotów na śmierć, aby tylko jego ukochana miała dobre, szczęśliwe życie. Ale przecież nie w ten sposób! Chciał, żeby była szczęśliwa, nawet bez niego, ale pragnął również, by zawsze była pewna jego miłości. Tak, żeby wiedziała, że poświęcił się dla niej, dla ich miłości. Żeby czciła jego pamięć, żeby go kochała! Przez głowę przemknęła mu nagle pewna myśl, jedna z głównych czterech rzeczy zakazanych przez buddyzm. Nie chwał się! Przecież właśnie ten zakaz próbuje teraz złamać. Zamierza się chwalić swoją gotowością do poświęcenia przed Urvasi. Nie! O jakże mądry jest król, który choć sam służy hinduskim bogom, z litością pozwala mu wrócić na drogę jego własnej wiary. Na ścieżkę Buddy. Nie wahał się dłużej.

– Dziękuję ci, najjaśniejszy panie, za twą wielkoduszność. Zgadza się. Jestem gotów natychmiast udać się do klasztoru. Poddam się twojej woli. Urvasi schroniła się pod drzewem banianu, trzy kwadranse drogi od wielkiego kanału...

– Wiem, gdzie się schroniliście – odrzekł powoli król. – To miasto jest pełne moich szpiegów. Podjąłeś dobrą decyzję. Teraz muszę oddać się sprawom boskim. Kapłani Wisznu już czekają. Straże odprowadzą cię do klasztoru.

Urvasi nigdy się nie dowiedziała, co stało się z jej mężem. Nie mogła uwierzyć, że Luk Son tak po prostu ją porzucił. Zaledwie dzień po jego zniknięciu jej los diametralnie się odmienił. Córeczce, którą urodziła trzeciego dnia po odejściu ukochanego, nigdy nie wspomniała o jej prawdziwym ojcu, mnichu buddyjskim. Drugi mąż Urvasi, bogaty rycerz, był dla dziewczynki dobry, kochał ją tak, jakby była jego własnym dzieckiem.

Właśnie ten rycerz uratował jej życie. Dzień po odejściu Luk Sona przejeżdżał przypadkiem konno obok drzewa banianu i znalazł ją tam cierpiącą. Bóle porodowe już się rozpoczęły. Przysłał służącą i zabrał Urvasi do swego domu. Tam zaopiekowano się nią i jej dzieckiem. Jeszcze przez cały kolejny rok chodziła codziennie pod drzewo banianu w nadziei, że Luk Son, jej mąż, tam na nią czeka. Rodzina rycerza, której opowiedziała o wszystkim, przyjęła ją z szacunkiem i życzliwością, wspierając i utrzymując nieszczęsną byłą tancerkę apsary, której mąż zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Po roku Urvasi sama ogłosiła się wdową. Po dwóch latach wyszła za mąż za mężczyznę, który ją uratował.

Nieubłagany czas zatarł ślady istnienia potężnego imperium Khmerów. Najazdy Tajów sprawiły, że milionowa średniowieczna metropolia Angkor, której powierzchnia zajmowała ponad czterysta kilometrów kwadratowych, zniknęła w mrokach niepamięci. Wieloletnie susze doprowadziły do wyschnięcia olbrzymiego zbiornika wodnego, zasilającego szlaki komunikacyjne miasta. Najpierw Angkor ograniczył się do zaledwie Angkor Thom, położonego na obszarze dziewięciu kilometrów kwadratowych. Potem, po kolejnych najazdach tajskich, w roku tysiąc czterysta trzydziestym drugim stolicę państwa Khmerów przeniesiono na południe,

do Phnom Penh. Miasto Angkor straciło swoje znaczenie i z czasem stało się jedną z bardzo wielu miejscowości, ukrytych, jak inne miasta i wioski, w kambodżańskiej dżungli. Jedynymi śladami potęgi i wspaniałej kultury imperium Khmerów pozostały ruiny świątyń. Jedynymi dowodami istnienia tego bajecznego miasta, ukazującymi życie jego mieszkańców i ich zwyczaje, są reliefy na ścianach Angkor Wat, Bajon, Ta Prohm.

Sama Urvasi dożyła sędziwego wieku siedemdziesięciu lat. Żyła w dobrobycie, otoczona miłością i szacunkiem rodziny. Urodziła czworo dzieci. Jej najstarsza córka została wybrana do zaszczytnej funkcji tancerki apsary i spędziła dzieciństwo w szkole, którą opuściła dopiero w wieku dwudziestu czterech lat. Wyszła za mąż i obdarowała matkę gromadką wnucząt. Nie ma znaczenia, jak potoczyły się losy potomków Urvasi. Nie jest ważne, że parę wieków po jej śmierci opuścili oni Angkor i przenieśli się do małej wioski, która z czasem się rozrosła i stała prowincjonalnym kambodżańskim miasteczkiem Siem Reab. Ważny jest jedynie pewien drobny szczegół, który sprawił, że tradycja tańca apsary przetrwała w tej rodzinie. Parę gestów, niespotykane ruchy, które Urvasi wymyśliła sama. Połączenie i wygięcie palców, oznaczające kwiat lotosu. Drżenie dłoni, naśladujące poruszające się płatki kwiatu, na które padają krople monsunowego deszczu. To tamten gest, który Urvasi wykonała po raz pierwszy, gdy tańczyła do szumu ulewy w cieniu drzewa banianu, za zasłoną mokrych lian. Ów ruch był nie tylko przysięgą jej miłości do Luk Sona, lecz także symbolem radości życia, takiego, jakie jest, z wszystkim, co nam przynosi, niezależnie od tego, czy daje biedę, czy bogactwo. Był to pierwszy gest, którego Urvasi nauczyła swoją córeczkę. Ta zaś przekazała tradycję swoim córkom, a potem wnuczkom i prawnuczkom. I tak, w tym jednym ruchu przetrwała pamięć o tancerce apsary i buddyjskim mnichu. Nawet jeśli ich imiona zniknęły z pamięci rodziny, tak jak potężny Angkor zniknął z mapy świata, to ów jeden znak przetrwał przez stulecia.

Ten sam gest i ten sam taniec oczarował Gwidona Bendieux, potomka francuskich plantatorów, gdy po raz pierwszy zobaczył Robam Sue, tancerkę apsary, córkę kambodżańskiego urzędnika.

Dzisiaj

Maj 2005, mieszkanie Gwidona Bendieux w Paryżu

Marek celowo upierał się, aby zakończyć spotkanie w mieszkaniu Adama wcześniej, niż planowali panowie Bendieux. Mieli spędzić tam razem całe popołudnie, ustalając szczegóły przebudowy i umeblowania poszczególnych pomieszczeń. Obaj byli niepomrotnie zdziwieni, kiedy Marek stanowczo stwierdził, że bez sprawdzenia teraz, natychmiast, dostępności i cen materiałów niezbędnych do remontu łazienki nie jest w stanie prowadzić dalej rozmowy i określić ostatecznych kosztów zlecenia. Najbardziej zaskoczony był Gwidon, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że większość materiałów została już dawno zapłacona i zamówiona zgodnie z planami, które sam wykonał, a pertraktacje cenowe były jedynie przedstawieniem, które sam przygotował dla jednego widza – Adama. Jego syn bowiem, z właściwą sobie stanowczością, upierał się, że nie życzy sobie żadnej pomocy finansowej w remoncie, chociaż po całonocnej rozmowie z ojcem ostrożnie przyjął ofertę jego fachowej pomocy. Gwidon patrzył na Marka z osłupieniem, lecz nie pozostawało mu nic innego, jak robić dobrą minę i milczeć. Gdyby próbował protestować, cały spisek by się wydał. A nie chciał ryzykować, że przez drobne, niewinne kłamstewko ponownie straci dopiero co odzyskane kruche zaufanie syna.

Dlatego jeszcze przed południem, po dwugodzinnych rozmowach Marek opuścił apartament Adama, zostawiając obu panów Bendieux pogrążonych w dyskusji na tematy projektowo-budowlane, a sam wrócił do pustego mieszkania swego przyjaciela. Wiedział, że doktor Dembska środy ma wolne, i bardzo liczył na to, że zastanie ją samą w domu. Ewa miała zaplanowanych na dzisiaj mnóstwo zajęć, a jej ojciec pracował w rejonowej przychodni od ósmej do szesnastej. Jeśli będzie miał szczęście i doktor Dembska nie wyszła na zakupy albo gdziekolwiek indziej, to uda mu się spokojnie z nią porozmawiać.

Nie tylko dla Gwidona i Adama, którzy rozmawiali jeszcze prawie do świtu, również dla niego była to bezsenna noc. Leżał w łóżku, wpatrując się w sufit i rozważając w myślach każde słowo starego architekta. To nieprawdopodobne, ale jeśli tak było? Jeśli jego Ewa jest biologiczną córką Gwidona, co powinien zrobić? Jak się zachować? Ewa miała wspaniałych rodziców, dobre, bezpieczne i uporządkowane życie. Za parę miesięcy zostanie jego żoną, będą mieli dzieci, wnuki. Tak bardzo ją kochał. Czy miłość rodziców, męża, spokojne, ustabilizowane, zwyczajne życie nie wystarczy do szczęścia? Czy miał prawo ją niepokoić jakimiś nieprawdopodobnymi przypuszczeniami? Przypominać jej dzieciństwo, którego chyba wcale jej nie brakowało, bo nigdy o nim nie wspominała? Może pragnęła je wymazać z pamięci? Może, próbując budzić duchy i ożywiać jakieś nieprawdopodobne egzotyczne historie, przypomni jej coś całkiem innego, wyrodnego ojca tyrana czy też niedobrą matkę, która nie chciała upośledzonego dziecka?

Nie zamierzał budzić demonów, choć domyślał się, że musiały istnieć. Ewa zawsze uciekała od rozmów o przeszłości. Żyła tak, jakby jej życie zaczęło się w wieku dziewięciu lat.

Oczywiście powiedziała mu, że została adoptowana, jednak nigdy nie wspominała o tym, co było wcześniej. Mówiła krótko „nie wiem”, a potem zmieniała temat i opowiadała jakieś zabawne historie z okresu, kiedy po odzyskaniu słuchu właściwie zaczęła się uczyć życia. Dembscy też nigdy nie mówili o czasach przed operacją. Owszem, chętnie wracali do tych wspomnień i jak to lekarze, ze szczegółami opowiadali o chorobie Ewy, o przygotowaniach do skomplikowanego zabiegu, o samej operacji i procesie rekonwalescencji, ale nigdy nie opowiadali, co było przedtem.

Czy Marek miał prawo niepokoić swoich przyszłych teściów pytaniami? A co będzie, jeśli go źle zrozumieją? Jeśli zwątpią w to, że kocha Ewę taką, jaka jest, niezależnie od tego, jakie jest jej pochodzenie, jakie są jej korzenie? Ma być w końcu matką jego dzieci. Może uznają, że wypytuje o te sprawy, bo się boi jakichś ukrytych dziedzicznych chorób albo obciążeń? Albo będą myśleli, że on się obawia, że ich dzieci też mogą być upośledzone, jak ponoć Ewa w dzieciństwie?

Bił się z myślami całą noc. W końcu zdecydował, że nie może tego tak zostawić. Nie będzie tchórzem. Sprawdzi fakty, a potem, kiedy ta sprawa okaże się fantastyczną bzdurą i zbiegiem okoliczności, zapomni o wszystkim. Ewa miała przyjechać do niego do Paryża po zakończeniu prac remontowych. Oczywiście, że zamierzał ją przedstawić swojemu przyjacielowi. Lepiej więc, żeby cała ta historia została wyjaśniona, zanim się poznają. Przecież Ewa przypadkiem mogłaby zobaczyć tutaj Adama i doznałaby takiego samego szoku, jaki on, Marek, przeżył wczoraj. Nie, lepiej to wyjaśnić, sprawdzić i nie narażać się na głupie niespodzianki.

Kiedy wreszcie podjął decyzję, usnął godzinę przed świtem. Nie zamierzał sprawiać bólu Gwidonowi i budzić niepotrzebnych nadziei. Dlatego postanowił nic mu nie mówić, zadzwonić do doktor Dembskiej, wyjaśnić wątpliwości, wykluczyć wszelkie spekulacje, że Ewa jest jego córką. Kiedy już będzie miał pewność, opowie wszystko swojemu mentorowi i uprzedzi Ewę o całym zamieszaniu, żeby nie czuła się zaskoczona, kiedy przyjedzie do Paryża i pozna swojego francuskiego sobowtóra.

Teraz siedział w swoim pokoiku w mieszkaniu przyjaciela i ze ściśniętym żołądkiem wsłuchiwał się w przerywany sygnał połączenia w słuchawce telefonu.

– Zofia Dembska, słucham – rozległ się po paru sekundach wyraźny głos jego przyszłej teściowej.

– Dzień dobry, pani doktor. To ja, Marek – wychrypiął niepewnie do słuchawki.

– A, witaj, Marcuszu! – ucieszyła się. – A co ty tak oficjalnie? Przestań mi doktorować! Zapomniałeś w tydzień, jak mam na imię? Pecha masz, mój drogi, Ewunia poszła na rozmowę o pracy. Wróci pewnie dopiero na obiad. Zadzwoń wieczorem.

– Nie... – zająknął się. – Ja wiem, że Ewy nie ma. Specjalnie dzwonię teraz. Do pani – chrząknął i poprawił się – do ciebie, Zosiu. Właśnie z tobą chciałem porozmawiać.

– A to co innego. No to mów, opowiadaj, jak ci idzie to twoje wielkie przedsięwzięcie?

– Nawet jeszcze dobrze nie zacząłem. Na razie jesteśmy na etapie omawiania projektu, ale to nieważne. Zosiu, ja mam pewną sprawę do ciebie...

– O! Do mnie? No to mów! Co jest? Potrzebujesz czegoś, Marcuszu, jak mogę ci pomóc?

– Nie, niczego – odpowiedział odruchowo. – To znaczy, tak. To znaczy, nie, ja niczego nie potrzebuję, wszystko okej. Ale muszę cię zapytać o coś, co dotyczy Ewy, tylko sam nie wiem, od czego zacząć.

– Marek, coś ty taki tajemniczy? O co chodzi? Znalazłeś sobie inną czy co? Dzieje się coś złego?

– Nic złego się nie dzieje. – Sam nie miał pojęcia, jak zadać to jedno ważne pytanie. – Nie ma żadnych innych, Ewa jest jedyną miłością mojego życia! To co innego...

– Człowieku, wykrztuś wreszcie, o co chodzi, bo zapłacisz majątek za ten telefon – zirytowała się doktor Dembska.

– Przepraszam, to nie takie łatwe. – Marek przełknął głośno ślinę i z bijącym sercem zapytał: – Czy możesz mi powiedzieć, kim byli biologiczni rodzice Ewy?

Przez chwilę w słuchawce panowała martwa cisza.

– Halo, Zosiu, jesteś tam? – spytał z niepokojem.

– Jestem – odpowiedziała spokojnie. – Przepraszam, zaskoczyłeś mnie. Skąd nagle takie pytanie?

– Nie chcę, żebyś sobie Bóg wie co myślała. Po prostu natknąłem się tu na pewien niesamowity przypadek i zacząłem się zastanawiać. To głupie i dziwne. Chciałbym zwyczajnie się dowiedzieć, kim oni byli. Ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jeśli mi teraz powiesz, że Ewa jest córką seryjnego mordercy i narkomanki, to niczego nie zmieni. Kocham ją i moje pytanie nie ma nic wspólnego z jej pochodzeniem i... Powiedz mi po prostu i zapomnij o sprawie. Nie będę więcej do tego wracał. Kim byli jej rodzice?

– Nie wiem. – Westchnęła ciężko. – To nie jest żadna tajemnica, ja po prostu nie wiem. Nikt nie wie. Kiedy znaleźliśmy Ewę, była w tragicznym stanie. Wycieńczona do ostatnich granic, wygłodzona, prawie nie było z nią kontaktu. Wszyscy się dziwili, że uparliśmy się, by właśnie ją zaadoptować. Było tyle innych, zdrowych dzieci. Nikt nie wie, kim byli jej rodzice. Ewa jest na dziewięćdziesiąt dziewięć procent sierotą i nie ma żadnych krewnych, znajomych ani śladów, które mogłyby cokolwiek powiedzieć o jej pochodzeniu. Przykro mi, Mareczku, nie wiem.

– Ale jak ją zaadoptowaliście, to miała już na imię Ewa? – drażył temat. – Czyli musiały być jakieś dokumenty, jakieś rejestry w sierocińcu?

– Nie, Marku – odpowiedziała stanowczo. – Ewunia nie była nigdy w żadnym sierocińcu. Nie było żadnych dokumentów, nic, żadnych rejestrów. To my nadaliśmy jej imię, sami. Jak ją znaleźliśmy, nie miała przy sobie żadnych papierów.

– Jak to, znaleźliście? Gdzie? – zapytał, wstrzymując oddech.

– W Tajlandii.

– W Tajlandii? – powtórzył zdziwiony. – Jak to, w Tajlandii, dlaczego w Tajlandii?

– W Tajlandii. Mieszkaliśmy tam przez dwa lata. Pracowaliśmy na zlecenie organizacji Lekarze bez Granic w obozie uchodźców przy granicy z Kambodżą. Wiesz, w późnych latach siedemdziesiątych tam się działy straszne rzeczy. – Doktor Dembska umilkła.

Cisza w słuchawce przeciągała się.

– Marek? – zapytała. – Jesteś tam jeszcze? Marek?!

– Jestem – wykrztusił. – Jestem... I Ewa... ona jest stamtąd? Z Kambodży? Z tego obozu?

– Tak, Ewunia była jednym z niewielu dzieci, którym udało się uratować z tego piekła. Jestem prawie pewna, że jej rodzice zginęli. Znaleźliśmy ją skuloną przy ciele matki, którą rozerwała mina. To cud, że mała przeżyła. Była strasznie wychudzona, zgodnie z wynikami badań mogła mieć z pięć, sześć lat, ale dokładnie nie wiadomo. Wszystkie te dzieciaki były takie zaniedbane, wygłodzone.

– To niemożliwe... – wyszeptał zszokowany Marek.

– Co niemożliwe? Marek, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Skąd nagle takie pytania?

– I jesteś pewna, że ta kobieta, którą rozerwała mina, była matką Ewy? – zapytał gorączkowo.

– Ależ skąd! – zirytowała się pani Zofia. – Niczego nie jestem pewna! Znalazłam ją przytuloną do nieżywej starszej kobiety, zaledwie parę metrów za granicą Kambodży z Tajlandią. Sensowne i prawdopodobne było, że matka straciła życie, a dziecko przeżyło. Ale niczego nie jestem pewna. Wiem tylko, jak walczyliśmy o jej życie, jak wróciliśmy do Polski z upośledzoną dziewczynką i robiliśmy wszystko, żeby ją wyleczyć. Na pewno to wiem tylko, co znaczy kochać swoje dziecko! Dostyc tego przesłuchania. Natychmiast mi powiedz, co to wszystko znaczy?!

– Zosiu, ja... – Słowa nie chciały się wydobyć ze ściśniętego gardła. W głowie miał pustkę. – Sam nie wiem, co o tym myśleć. Przepraszam cię. To takie nieprawdopodobne. Posłuchaj...

Kolejne dziesięć minut streszczał do słuchawki wydarzenia wczorajszego dnia. Doktor Dembska słuchała, nie przerywając.

– Oni naprawdę są identyczni – opowiadał drżącym z emocji głosem. – Kiedy go zobaczyłem, byłem stuprocentowo pewny, że to Ewa. Identyczni! I jeszcze na dodatek ten gest, sama wiesz najlepiej. Jak Ewa jest zakłopotana, to tak śmiesznie wygina palce dłoni. On zrobił dokładnie to samo. To przecież niemożliwe, żeby dwójka kompletnie obcych ludzi, na dwóch krańcach świata, odruchowo wykonywała identyczny gest. Próbowałem, tego się nie da zrobić, no chyba że chce się sobie złamać nadgarstek. To obłąd, Zosiu. I jeszcze ten niesamowity zbieg okoliczności. Córeczka Gwidona też miała na imię Ewa. Adam i Ewa, tak nazwali swoje dzieci. No sama powiedz, co ty o tym myślisz? Czy to możliwe, żeby Ewa...

– Nie wiem – odpowiedziała drżącym głosem doktor Dembska. – Marek, to za dużo. Nie potrafię w tej chwili logicznie myśleć. To brzmi jak bajka. Nie wiem, może? Proszę, daj mi się zastanowić. Zadzwoń do ciebie później, jak ochłonę. Dobrze?

– Ja sam nie wiem, co dalej. – Emocje powoli opadały. – To wszystko jest takie nieprawdopodobne. Przecież Gwidon widział, jak je zabito. Jakim cudem mogłyby przeżyć? To przecież niemożliwe, Zosiu, prawda?

– Nie wiem – powtórzyła cicho. – Nie ma rzeczy niemożliwych. Marku, dajmy sobie trochę czasu. Nie mamy prawa robić temu człowiekowi nadziei i nie mamy prawa burzyć spokoju Ewy. A jeśli to wszystko jest tylko głupim zbiegiem okoliczności? Możemy strasznie zszokować Ewę. Ona wie o adopcji, ale o Kambodży nie. Nigdy nie było potrzeby jej o tym opowiadać, a sama nic nie pamięta. A jeśli to naprawdę zbieg okoliczności, jeśli ona wcale nie jest jego córką? Możemy ją zranić...

– I Gwidona, i Adama także – dodał w zamyśleniu Marek. – Masz rację, zastanówmy się, przemyślimy sprawę. Może jeszcze dowiem się czegoś więcej, może zdobędę jakieś nowe informacje.

– Nie mów twojemu Gwidonowi o naszej rozmowie. Zostawmy sobie czas. Na pewno znajdzie się jakieś dobre i taktowne rozwiązanie – poprosiła pani Zofia.

– Masz rację, co nagle, to po diable. Ty też nie mów Ewie, że dzwoniłem. Wieczorem pogadam z nią na Skypie. Nie dam jej poznać, że cokolwiek się wydarzyło. Poczekajmy jeszcze.

– Poczekajmy. Do usłyszenia, Marku.

Doktor Dembska odłożyła słuchawkę i w zamyśleniu błędziła wzrokiem po regałach z książkami. Odruchowo wypila łyk herbaty, która stała przed nią na stoliku. Potem podniosła się i sięgnęła po płaską szkatułkę, stojącą między tomami książek. Otworzyła ją i zaczęła układać przed sobą schowane tam przedmioty. Zdjęcie grupy młodych, uśmiechniętych ludzi przed białym namiotem z wielkim znakiem czerwonego krzyża. Tymczasowy paszport, wystawiony przez ambasadę polską w Bangkoku na nazwisko Ewy Dembskiej. Własną

fotografię, na której stała z małą małą na ramieniu, otoczona przez półnagie, bawiące się dzieci o egzotycznych rysach i śniadej skórze. I na końcu wyblakłą, różową wstążkę, bogato haftowaną w jakieś zawijasy.

Nie miała wtedy pojęcia, że ten piękny haft cokolwiek oznacza. To miejscowa tłumaczka, jedna z pielęgniarek w obozie dla uchodźców, wyjaśniła jej, że ozdobne zawijasy są napisem, który w języku khmerskim znaczy „życie” albo „kobieta”. Na wstążce było napisane coś, co oznaczało mniej więcej „niech przodkowie chronią cię, życie”. Potem jednak tłumacz skorygował słowa pielęgniarki i stwierdził, że bardziej prawdopodobne jest, że napis oznacza „niech przodkowie cię chronią, Ewo”, wyraz „życie” bowiem pisany jest tak samo jak imię „Ewa”. To dlatego, to przez tę wstążkę, którą dziewczynka ścisnęła w dłoni, nazwali małą Ewa. Zofia pogłodziła w zamyśleniu niewielki skrawek materiału. Wspomnienia wróciły.

Ona sama nigdy by nie wpadła na pomysł opuszczenia Polski i wyjazdu do jakiegoś egzotycznego, obcego, dalekiego kraju. Chciała wspinać się powoli po szczeblach kariery, mieć normalny dom, rodzinę, swoją pracę i sukcesy zawodowe. Janka poznała na studiach medycznych. Pokochali się, pobrali i wyładowali na stażu w tym samym szpitalu. Ten wyjazd to był pomysł męża. W szpitalu trwała bezustannie walka o stołki. Mniej liczyli się chorzy, a bardziej kto z personelu ma jaką pozycję, kto więcej zarabia, kto jest sprytniejszy.

Młodzi lekarze nie mogli awansować, no chyba że mieli duże plecy. Starsi koledzy traktowali ich jak głupie popychadła. Nawet pielęgniarki cieszyły się większym szacunkiem niż stażyści. Nie mogli nikogo leczyć ani podejmować samodzielnie żadnej decyzji. To nie była praca lekarza, tylko służba bogom medycyny, starym, zasiedziałym na swoich tronach profesorom. Zosi to nie przeszkadzało. Wiedziała, że kiedyś przyjdzie jej czas. Specjalizowała się w chirurgii ortopedycznej. Miała świadomość, że kiedyś zdobędzie szacunek i pozycję. Była cierpliwa.

Janka szlag trafiał na ten cały system. „Nie po to studiowałem tyle lat, żeby teraz papierki wypełniać. Co ja jestem, sekretarka? Chcę leczyć, chcę pomagać ludziom, nie rozumiesz?”

Rozumiała, i co z tego? Realia były takie, a nie inne i koniec. A Zosia była realistką. Kiedy Jan wyskoczył z propozycją wyjazdu na dwuletni kontrakt z ramienia organizacji Lekarze bez Granic, długo się opierała. Bała się wyjechać w nieznaną i zaryzykować wszystko, co z takim mozołem osiągnęli przez ostatnie parę lat. W końcu jednak ją przekonał.

Pierwsze miesiące w obozie uchodźców to był koszmar. Nie mogła się przyzwyczaić do upału, prymitywnych warunków higienicznych i wiecznego braku lekarstw. To nie wszechobecny smród gnijących ludzkich ciał, nie ostry zapach krwi ją przerażał. Wręcz przeciwnie, to był jej żywioł, w pracy czuła się potrzebna. Na początku przeszkadzał jej tylko brud. Potem się przyzwyczaiła, przestała zwracać na niego uwagę. Ogrom ludzkiego nieszczęścia, który przez te dwa lata przesunął się przed jej oczami, pomógł jej zrozumieć, czym naprawdę jest jej praca. Bo przecież nie o tytuły i stołki chodziło, tylko o ludzi, którzy tak bardzo potrzebowali jej pomocy.

Przez te dwa lata zdobyła nieocenione doświadczenie zawodowe. Brakowało im już tylko miesiąca do końca kontraktu. Zdecydowali się wracać do domu, do Polski. Wtedy to się stało. Wtedy los podarował im Ewę, ich córeczkę.

Muchy leniwie brzęczały w wieczornym upale. Siedzieli z Jankiem w cieniu i popijali mocną herbatę. W obozie było bardzo spokojnie. Już od wielu dni nie pojawiali się nowi pacjenci. Po popołudniowym obchodzie małego szpitalika, opatrzeniu tych paru rannych, którzy pozostali w placówce, nie mieli nic do roboty. Przed paroma dniami duża grupa uchodźców z Kambodży opuściła obóz, przewieziono ich dalej w głąb kraju. Pozostało jedynie tych parę lekko rannych osób. Coraz rzadziej pojawiali się nowi przybysze. Nie wiadomo, czy kontrole Czerwonych

Khmerów stały się skuteczniejsze, czy uciekinierów odstraszały pola minowe. Dżungla przy granicy z Tajlandią była najeżona minami. Niekiedy Kambodżanie z rozpędu umieszczali je nawet po tej stronie granicy. Strach było wychodzić poza teren obozu.

Gdzieś w oddali usłyszeli stłumiony huk.

– Znowu – mruknął Janek, odkładając gazetę. – Zawołam przewodników. Trzeba sprawdzić, może było ich więcej.

– Czekać. – Zofia podniosła się z hamaka. – Wezmę tylko torbę, jadę z wami. Może się na coś przydam. Pielęgniarki dadzą sobie radę, i tak nie mam tu nic do roboty.

– No to pakuj się, słonko. – Uśmiechnął się do niej. – Idę po chłopaków, podjedziemy po ciebie, czekać przed wschodnią bramą.

To nie pierwszy raz słyszeli ten odgłos. Już tyle razy wyjeżdżali z tubylczymi przewodnikami do dżungli. Z reguły było za późno, nie mogli nic zrobić. Miny rozrywały nieostrożnych uchodźców, którzy umierali na miejscu. Szczęściarze jedynie tracili nogi lub ręce, a dzięki szybkiej reakcji lekarzy z obozu czasami udawało się uratować im życie.

Rozstrzygające było, jak szybko znaleziono rannych. Niekiedy przez zieloną granicę przedzierały się małe grupki uciekinierów, najczęściej całe rodziny. Tam, na granicy, w dżungli, trzeba było poruszać się bardzo ostrożnie. Nikt tak naprawdę nie wiedział, gdzie partyzanci z Kambodży umieścili śmiertelne pułapki. Czasami znalezienie ofiar wybuchów zajmowało wiele dni. Wtedy było już za późno.

Tamtego wieczora nie udało się dotrzeć do miejsca, gdzie wybuchła kolejna mina. Tajscy przewodnicy stanowczo odmówili przeszukiwania terenu po zachodzie słońca. Wiadomo, to niebezpieczne. Wrócili do obozu sfrustrowani, czas uciekał. Janek, uparty jak zawsze, postanowił wznowić poszukiwania o świcie. Zofia pojechała z nimi. Już po niecałej godzinie znaleźli ofiary wybuchu. Nieszczęśliwa kobieta musiała wykrwawić się w nocy na śmierć. Nie miała tak poważnych obrażeń, żeby od nich umrzeć. To prawda, straciła obie nogi, ale gdyby została znaleziona parę godzin wcześniej, można byłoby ją uratować. Czas ją zabił.

Dziecko, skulone przy niej, żyło. Było pewnie w szoku, zwinięte w kłębek obok nieżywej matki jak małe zwierzątko. Dziewczynka była cała zalana krwią, jednak na szczęście okazało się, że to tylko krew zmarłej, nie jej własna. Zabrali obie. Szczątki kobiety zapakowali do worka i ułożyli z tyłu gazika. Małą Zofia wzięła na ręce i całą drogę powrotną mocno przytulała, szepcząc jej uspokajające słowa po francusku i parę khmerskich zwrotów, których nauczyli się w obozie przez te dwa lata. Dziewczynka nie reagowała. Leżała nieruchomo w ramionach Zosi, spokojna, obojętna, nawet nie płakała. Szok.

W obozie Zofia postanowiła, że zajmie się sama umyciem, zbadaniem i zdiagnozowaniem dziewczynki. Chciała jej chwilowo oszczędzić kontaktu z nowymi osobami. Jak na jeden dzień dziecko miało wystarczająco dużo przeżyć. Dlatego doktor Dembska poprosiła o pomoc tylko pielęgniarkę, młodziutką, łagodną Tajkę, która doskonale mówiła po khmersku. Zaczęły od mycia dziewczynki w wielkiej balii wypełnionej chłodną wodą.

– Jak ci na imię, kochanie? – spytała miękko dziewczyna w rodzimym języku małej. – Nie bój się, nikt tutaj nie zrobi ci krzywdy.

Dziewczynka nie reagowała, nawet nie spojrzała na pielęgniarkę. Siedziała w balii i wodziła oczami za każdym ruchem dłoni Zofii.

– Nie bój się, zaopiekujemy się tobą – przemawiała łagodnie Tajka. – Pewnie tęsknisz za mamusią? No, jak masz na imię? Powiedz.

Mała nawet nie odwróciła głowy. Zofia obserwowała ją uważnie. Nadal przesuwał miękko

myjką po ramionach dziecka, zapytała po francusku:

– No, kochanie, jak masz na imię? Rozumiesz mnie, prawda?

Dziewczynka nawet nie podniosła na nią oczu.

– Myśli pani, pani doktor, że ona rozumie po francusku? – zapytała z zainteresowaniem pielęgniarka.

– Nie mam pojęcia – odparła Zofia. – Ale sama popatrz na jej rysy. Na pewno nie jest czystej krwi Azjatką. Teraz, kiedy już zmyłyśmy całą krew, widać to wyraźnie. Ma dużo jaśniejszą skórę niż Kambodżanie i na pewno w dużej mierze europejski układ kośćca czaszki. Nie wiem, może ojciec był Europejczykiem. Tak mi się wydaje.

Dziewczynka wciąż obserwowała ruchy dłoni Zofii, nie reagując w żaden sposób na toczącą się nad jej głową rozmowę. W zaciśniętych paluszkach prawej rączki ścisnęła coś kurczowo. Doktor Dembska delikatnie ujęła jej dłoń i spróbowała rozchylić piąstkę. Mała najpierw się broniła, a po chwili spojrzała Zofii prosto w oczy. Otworzyła dłoń, na której leżał zakrwawiony i pomięty wąski skrawek materiału. Lekarka uśmiechnęła się do dziewczynki.

– Mogę zobaczyć, co tam masz? – powiedziała łagodnie. – Obiecuję, że ci oddam.

Dziewczynka podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Zofia popatrzyła na wyprostowaną dłoń dziecka. Wyjęła cienki pasek materiału, wypłukała go i przyjrzała mu się uważnie. Mała śledziła każdy jej ruch. W momencie, gdy lekarka rozprostowała wstążkę, aby jej się uważniej przyjrzeć, dziewczynka cofnęła wyprostowaną dłoń, złączyła dwa palce i dziwnie wygięła pozostałe pod absolutnie niewiarygodnym kątem. To przecież musiało boleć, ale nie wydała żadnego odgłosu, nawet nie jęknęła. Zaintrygowana Zofia oddała wstążkę pielęgniarce i ujęła dłoń dziecka. Ostrożnie obmacała kości, szukając śladów zwichnięcia lub złamania. Ręka była zdrowa i sprawna. Żaden ruch nie sprawiał temu dziecku bólu. Dziewczynka patrzyła na nią z ciekawością swoimi wielkimi inteligentnymi oczami.

Tymczasem pielęgniarka przyglądała się uważnie skrawkowi materiału.

– Pani doktor – powiedziała – nie znam aż tak dobrze khmerskiego pisma, ale wydaje mi się, że tu jest coś napisane. Chyba jakieś błogosławieństwo? Rozpoznaję wyrazy „życie” i „duchy przodków”.

Dziewczynka nawet nie odwróciła głowy, nawet nie drgnęła na dźwięk głosu stojącej za jej plecami pielęgniarki. Zofia patrzyła ze zdziwieniem na twarzyczkę dziecka.

– Pomóż mi – zwróciła się do pielęgniarki. – Chodź, stań tu z przodu. Zajmij ją czymś, odwróć jej uwagę. Chcę coś sprawdzić.

Zamieniły się miejscami. Dziewczynka odwróciła się, szukając jej wzrokiem, ale pod wpływem dotyku Tajki spojrzała na nowe dłonie, które gładziły jej rączki i polewały je wodą. Tymczasem Zofia stanęła za plecami małej, tak że dziewczynka nie mogła jej widzieć. Po mniej więcej minucie lekarka nagle klasnęła głośno w dłonie. Pielęgniarka drgnęła. Dziewczynka w ogóle nie zareagowała.

– Ona nie słyszy! – stwierdziła stanowczo doktor Dembska. – Nie ma żadnych świeżych obrażeń, tylko drobne zadrapania i siniaki, ale z pewnością nie słyszy – oznajmiła, pstrykając palcami po obu stronach dziewczynki, a potem za jej plecami. – Ciekawe, czy to od wybuchu, czy też zawsze była głucha?

Wyjęła umyte dziecko z balii i owinęła w czyste prześcieradło.

– Już wystarczy. Jest czyściutka, teraz ją sobie obejrzę dokładniej. Sprawdźmy, czy naprawdę nic jej nie dolega – powiedziała i z dziewczynką w ramionach poszła do namiotu, w którym badali pacjentów.

Posadziła małą na wysokim stole operacyjnym i przyjrzała jej się uważnie. Dziewczynka była bardzo zabiedzona. Kości sterczały pod skórą, miała liczne zagojone blizny na nogach i ramionach, zaczerwienienia od ukąszeń owadów, ale nie było widać żadnych śladów, że ją bito albo torturowano. Zofia przyłożyła stetoskop do jej piersi. Małe serduszko biło równo i spokojnie, płuca były silne i zdrowe. Normalne tutejsze dziecko, widziała już ich dużo w o wiele gorszym stanie.

Ujęła twarz dziewczynki w swoje dłonie i spojrzała jej w oczy. Patrzyły na nią ogromne bursztynowe tęczówki. Spojrzenie małej było żywe, inteligentne i pełne ufności. Wcale się nie bała. Dopiero co była świadkiem wybuchu miny i śmierci matki. Znalazła się w nowym, kompletnie obcym otoczeniu, a sprawiała wrażenie, że nie miało to na nią żadnego wpływu.

Zofia przyglądała jej się uważnie. Dziwne. Wyczuła pod palcami zgrubienie z tyłu głowy dziecka. Delikatnie rozsunała gęste czarne włosy. Dostrzegła starą bliznę, ukrytą za prawym uchem dziewczynki. Krótkie, grube i szerokie nacięcie, nieumiejętnie zszyte przez kogoś, kto nie miał pojęcia o medycynie. Blizna, niewidoczna pod gęstą czupryną, musiała być wynikiem paskudnej rany sprzed kilku lat. Ostrożnie badając przez skórę stan czaszki, lekarka pod palcami wyczuła zgrubienia i nierówności. Ta mała kiedyś doznała bardzo poważnego urazu głowy. Kości były pęknięte, Zofia stwierdziła, że zrosły się samoistnie. Dziewczynka musiała wtedy być noworodkiem albo niemowlęciem. Ciekawe, ile ona ma lat? I jakim cudem przeżyła? Czy głuchota jest wynikiem tej dawnej rany? To szczęście, że w ogóle żyje albo że nie jest upośledzona. Chociaż czy istotnie nie jest? Funkcje motoryczne co prawda w porządku, ale co z resztą? Zaciekawiona zawołała Janka, który w oddzielnym parawanem pomieszczeniu obok właśnie kończył zmieniać opatrunek jednemu z pacjentów.

– Spójrz, mam tu ciekawy przypadek – powiedziała do męża. – Ta maleńka, którą znaleźliśmy rano, w zasadzie jest zdrowa, ale znalazłam ślady starego urazu na głowie. Obejrzysz?

Janek stanął przed dziewczynką. Spojrzała na niego z ciekawością, ale bez obawy.

– Jak się masz? – spytał przyjaźnie po khmersku.

– Daruj sobie, jest głucha. – Zosia patrzyła zaintrygowana na dziecko. – Zdążyłam już ustalić, że poza tym fizycznie jej nic nie dolega. Jest niedożywiona, jak oni wszyscy, ma zwykłe ślady wyczerpania i życia w dżungli, no wiesz, owady i tak dalej, ale poza tym wszystko w porządku. Matka musiała bardzo się o nią troszczyć i ją chronić. Pewnie dlatego, że mała jest głucha. Wszystkie funkcje motoryczne w porządku. Znalazłam zgrubienia na czaszce i starą bliznę. Popatrz tutaj.

Janek fachowo i metodycznie zbadał dziecko.

– Generalnie zgadzam się z twoją opinią. Jest zdrowa. Ta rana na głowie była poważna. Wygląda na postrzał. Tak, jakby kula otarła się o głowę, rozerwała skórę i uszkodziła kość. Dziecko miało szczęście, że kości nie uszkodziły nieodwracalnie mózgu, chociaż sam nie wiem, nie jestem neurologiem. Może głuchota stanowi efekt tamtego urazu. Czy ona mówi? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Do tej pory ani razu nie otworzyła ust – odparła Zosia. – Patrzy tylko z ciekawością, bez przerwy obserwuje każdy mój ruch. Sam zobacz, nawet teraz, kiedy ty ją badasz, cały czas wraca spojrzeniem do mnie. Dziwna jest.

– Gdyby to były inne okoliczności, powiedziałbym, że trzeba ją pokazać specjalistom, wiesz, neurolog, laryngolog i tak dalej. Ale tutaj? Nierealne. Fizycznie jest zdrowa, nic jej nie dolega. Pewnie ją przewiozą do jakiegoś sierocińca. – Wzruszył ramionami. – Jedyne, co ci mogę powiedzieć, to że nie oglądał jej po tym wypadku żaden lekarz. Blizna może mieć około pięciu lat, rana została zamknięta przez kompletnego laika, pewnie jakiegoś wieśniaka, oni w ten

sposób leczą takie urazy.

– Jak? – spytała z zawodową ciekawością Zofia.

– Mrówkami – wyjaśnił doktor Dembski. – Dużo takich blizn już widziałem. Ściskają brzegi rany i przykładają czerwone mrówki, które wgryzają się w skórę. Potem odrywają korpus od głowy mrówki i zostaje właśnie taki szew. To wcale nie jest absurd, muszę ci powiedzieć. Mrówki oblewają ukąszone miejsce jadem. Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz z chemii, ale kwas mrówkowy ma silne działanie przeciwartozycowe i pierwotniakobójcze. W warunkach dżungli to wcale nie takie głupie. Cholernie bolesne, ale może pomóc.

– Musiała dużo wycierpieć – powiedziała z zadumą Zosia.

– Jak oni wszyscy.

– Chciałabym wiedzieć, przez co przeszła. Szkoda, że nie możemy jej pomóc. Nawet nie wiadomo, jak się z nią porozumieć. – Odruchowo pogładziła ramię dziewczynki.

– Oczywiście, że możemy się z nią porozumieć. – Janek uśmiechnął się do żony. – Nie dowiemy się, co prawda, jakie były jej losy, ale możemy doskonale się dowiedzieć, jaka jest teraz.

– Niby jak? Języka migowego ani my nie znamy, ani pewnie ona.

– Po co ci język migowy? – odrzekł ze śmiechem. – To przecież pięcio-, może sześciolatnie dziecko. I jak każde inne w jej wieku na pewno zna podstawową formę komunikacji – dodał, biorąc dziewczynkę na ręce. – Chodź, Zosiu, pogadamy sobie z naszą małą pacjentką gdzie indziej.

– Jak pogadamy, przecież ona jest głuchoniema. Gdzie ty ją niesiesz?

– Do namiotu przedszkolnego. Idziemy się pobawić, to normalna forma komunikacji w tym wieku – ciągnął zadowolony z siebie. – Idziesz? Tam jest dużo zabawek dydaktycznych, przynajmniej sprawdzimy jej poziom rozwoju i inteligencję. Chcesz?

Chciała. Jej początkowe współczucie i zawodowe zainteresowanie szybko przerodziło się w coś więcej. Już przy tej pierwszej zabawie zauważyli, jak inteligentnym dzieckiem jest mała kambodżańska sierotka. Z koncentracją i zainteresowaniem właściwym dla dużo starszych dzieci budowała konstrukcje z klocków, rysowała, lepiła z plasteliny. Chwytała wszystko w nieprawdopodobnym tempie. I co ciekawe, wydawało się, że jej koncentracja i to, czego się nauczyła, co osiągnęła, obejmuje dziwne trzydniowe cykle. Dziewczynka nie rozpoznawała ludzi, których nie widziała dłużej niż trzy dni. Uczyła się jakby od nowa wszystkich czynności, których przez trzy dni nie powtarzała i nie ćwiczyła. A Zofia stała się jakby jej punktem odniesienia do wszystkiego, co ją otaczało, doktor Dembską zawsze rozpoznawała, z daleka biegła do niej z szerokim uśmiechem i rzucała jej się w ramiona.

Nazwali ją Ewa. Nie była niema. Jej struny głosowe były nienaruszone. Nie umiała mówić, ale wydawała dziwne charkoczące dźwięki, które sprawiały, że przesądny personel obozu jej unikał. Tajowie szeptali po kątach, że małą nawiedzają demony, złe duchy.

Zofia zżymała się na te zabobony, tłumaczyła, że dziewczynka jest głucha i nie potrafi kontrolować dźwięków, które wydaje, ale tamci uśmiechali się uprzejmymi, obojętnymi uśmiechami Azjatów i wiedzieli swoje.

Zosię irytowała własna bezradność, doprowadzała ją wręcz do furii. Lekarka nie mogła się pogodzić z tym, że nie może nic zrobić dla tej inteligentnej, słodkiej dziewczuszki. Dwa tygodnie po przybyciu Ewy do obozu uchodźców uparła się, by zabrać małą do szpitala do Bangkoku. Janek z entuzjazmem zgodził się na sfinansowanie wizyt małej u specjalistów, lecz jednocześnie ostrzegął żonę: „Kochanie, nie przywiązuj się do niej, nie angażuj się, proszę. Wyjeżdżamy za

niecałe dwa miesiące, będziemy musieli ją tutaj zostawić. Pomyśl o tym”.

Nie myślała. Pokochała małą całym sercem. I gdy neurolog zdiagnozował u małej Ewy uszkodzenia mózgu, w żaden sposób nie wpłynęło to na decyzję Zosi. Uparła się i postawiła na swoim. Przekonała męża. Złożyli formalny wniosek o adopcję, a trzy miesiące później na zawsze wyjechali z Tajlandii wraz z dziewczynką. Ewa Dembska, w której paszporcie wpisano umowną datę urodzin siedemnasty listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, opuściła obóz kambodżańskich uchodźców jako córeczka małżeństwa lekarzy, Zofii i Jana Dembskich.

Pani Zofia powoli schowała zdjęcia do szkatułki. Przesunęła między palcami wyblakłą wstążkę, wodząc wzrokiem po wyhaftowanym robaczkami khmerskich znaków napisie. Musi porozmawiać z Jankiem. Trzeba się zastanowić, pomyśleć. Muszą wrócić wspomnieniami do wilgotnego upału, jęków konających ludzi, bólu i cierpienia. Nie ma innego wyjścia. Ewa powinna poznać całą prawdę o swojej przeszłości. Muszą jej opowiedzieć o Kambodży.

Ewa

Kambodża, maj 1975, między plantacją Phum Bak Prea a Battambang

Pham Yat przypadła do ziemi, zasłaniając dłonią usta w niemym przerażeniu. Ukryta za potężnym pnem drzewa obserwowała plac przed budynkiem francuskiego konsulatu w Battambang. Przez ostatnie dwa dni przekradała się skrajem dżungli, a potem, kryjąc się w cieniu drzew i zaułkach miasta, śledziła niewielki oddział uzbrojonych dzieciaków w czarnych piżamowatych mundurach, eskortujący najbliższych jej ludzi. Nikt jej nie zauważył, wiedziała, jak unikać niebezpieczeństwa, jak być niewidzialną.

Dotarła aż na plac i stała się świadkiem zabójstwa swej ukochanej pani. Widziała dokładnie, jak Robam Sue upadła na ziemię, brutalnie pchnięta karabinem przez żołnierza chłopca, ale podniosła się z trudem, tuląc do piersi córeczkę, i odsunęła rękę szarpiącego ją chłopaka. Potem patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak ten sam dzieciak kieruje lufę karabinu w brzuch jej pani i strzela. Robam Sue upadła, a wtedy tamten wystrzelił powtórnie, w jej głowę, a potem w głowę małej Ewy. Słyszała mrozący krew w żyłach, zwierzęcy ryk męża Robam, monsieur Gwidona. Kuliła się teraz za drzewem, zasłaniając dłonią usta, aby nie krzyknąć jak on. Pełne rozpaczki krzyki rozdzierały jej duszę, wciskały się w każdy zakamarek mózgu, zagłuszając wszystkie odgłosy placu, wypełnionego tłumem Czerwonych Khmerów.

Yat była najstarszą córką spokojnej, cichej szwaczki i kulisa z Siem Reab. Mama była buddystką, ojciec nie wierzył w żadnego boga. Jego jedynym bóstwem był mocny ryżowy alkohol. Był człowiekiem złym i brutalnym. A Yat, swą najstarszą córkę, traktował jak niewolnicę. Mama umarła przy narodzinach siódmego z kolei dziecka rodziny Pham, najmłodszego braciszka siedmioletniej wtedy Yat. Ojca jednak wcale to nie obeszło. To Yat wychowała całą szóstkę rodzeństwa, dwie siostry i czterech braci. Zajmowała się domem i dziećmi.

Rano, kiedy ojciec opuszczał ich jednoizbowy domek na palach, biegła z dwójką najmłodszych na plecach i piersiach do świątyni Buddy. Tam zawsze udawało jej się dostać miseczkę ryżu, mnisi byli bardzo hojni. Potem wracała do domu, karmiła dzieci, sprzątała, naprawiała ich liche ubrania. Żadne z nich nigdy nie chodziło do szkoły. Ich szkołą była ulica, na której mieszkali, i miasto, które znali jak własną kieszeń. Z czasem, gdy dzieci były starsze, nauczyła je żebrać. Wychodziły rano i nie było takiego dnia, żeby któremuś nie udało się przynieść do domu czegoś do jedzenia. Nie głodowali nigdy.

Ojciec w zasadzie zostawiał ich samym sobie. Kiedy wracał do domu pijany i agresywny, Yat mocowała najmłodsze dzieci na plecach starszych i wyganiała całą szóstkę na ulicę. Chroniła je, jak umiała. To jedynie na jej głowę i ramiona spadały razy brutalnego pijaka. Bił ją mocno, czasami kopał i wyzywał od najgorszych. Niekiedy potrafiła ułagodzić jego złość, pokornie podstawiła mu pod nos jedzenie, które ugotowała. Zawsze starała się coś zostawić, chociaż odrobinę ich skromnych posiłków, żeby mieć czym uciszyć ojca. Smakowało mu to, co

przyrządzała. Kiedy zjadł, humor mu się poprawiał. Nie bił ich już.

Z czasem dzieci dorosły i ruszyły swoją drogą. Uciekały jedno po drugim z rodzinnego domu. Pham Yat nie dziwiła im się zbyt. Sama już dawno zrobiłaby tak samo, gdyby nie rodzeństwo. Ostatni odszedł jej najmłodszy braciszek. Miała już prawie trzydzieści lat, kiedy ją opuścił. Nie czuła do niego żalu, wszystko było lepsze niż takie życie. Została z ojcem, który z wiekiem wcale nie złagodniał. Dopiero wtedy zaczęła się zastanawiać nad sobą i swoim życiem.

Też mogła uciec, ale nie miała dokąd. Bała się odejść w nieznaną. A jeśli to nowe okaże się gorsze niż wszystko, co miała tutaj? Niby nic, ale zawsze dach nad głową. Nie była już taka młoda, nie była ładna. Nie wierzyła, że znajdzie mężczyznę, który by się nią zaopiekował. Może kiedyś, kiedy uzbiera trochę pieniędzy, uda jej się zacząć od nowa, myślała. Potrafiła zręcznie wyplatać maty i kosze z bambusa. Umiała z niczego robić ładne ozdoby. A także szyć. Już od paru lat sprzedawała swoje wyroby na targu, ukrywając każdy zdobyty riel przed ojcem.

To właśnie na targu poznała Robam Sue, piękną i wykształconą tancerkę. Pani Robam była taka dobra, taka życzliwa. Kupiła od Yat parę bransoletek z nasion lotosu i zamówiła kolejne. Dobrze płaciła. Z czasem nawet się zaprzyjaźniły. Robam Sue zawsze potrzebowała nowych kostiumów do tańca i sama wymyślała najwspanialsze stroje, a Yat je szyła. Mogła pójść do najlepszych krawców w Siem Reab, Battambang, a nawet Phnom Penh, ale pozwalała właśnie jej, nic nieznaczącej Yat, tworzyć swoje wspaniałe stroje. Z pełnym zaufaniem powierzała jej drogie materiały. Potem zapraszała ją do swojego domu na przymiarki i tańczyła przed oczarowaną Yat, tłumacząc jej, jak powinna się układać spódnica, aby podkreślić ruchy tańca apsary.

Później Robam Sue wyszła za mąż i opuściła Siem Reab. Szczęście Yat umknęło wraz z nią. Parę lat po wyjeździe tancerki los zetknął je znowu. Ojciec znalazł schowek z oszczędnościami Yat i pobił ją brutalnie. Pewnie umarłaby wskutek obrażeń, gdyż nie była w stanie nawet podnieść się z maty, żeby szukać pomocy. Właśnie wtedy szczęśliwy przypadek znów postawił na jej drodze dobrego opiekuńczego ducha. Pani Robam Sue przyjechała z plantacji na zakupy do Siem Reab i postanowiła odszukać swoją dawną krawcową. Pojawiła się w nędznym domu na palach, znalazła pokrwawioną Yat i zawiozła ją do szpitala. Zapłaciła za leczenie, a potem, kiedy Yat już czuła się lepiej, zaproponowała jej pracę. Państwo Bendieux oczekiwali dziecka, a Yat miała zostać krawcową rodziny, a jednocześnie opiekunką, nianią maleństwa. Oczywiście, że przyjęła propozycję z radością. Ojciec, nawet gdyby jej szukał, nigdy nie znalazłby córki na oddalonej o trzydzieści kilometrów plantacji.

Przed Yat otwarły się wrota rajów. Pani Robam Sue nie tylko uratowała ją przed wykrwawieniem się na śmierć, ale ofiarowała jej nowe, wspaniałe i bezpieczne życie. Młoda kobieta była gotowa zrobić wszystko dla swojej pracodawczyni. Potem urodziły się bliźnięta. Cały szczęśliwy rok Yat obserwowała, jaką miłością państwo Bendieux darzyli swoje dzieci.

Wielokrotnie patrzyła, jak pani Robam Sue tańczy z córeczką lub synkiem w ramionach, a mąż śledzi zakochanym wzrokiem każdy jej ruch. Siedziała cicho w kącie, haftując ubranka bliźnięt, i z uśmiechem obserwowała, jak pani w skupieniu uczyła niepewnie jeszcze stojące na grubych nóżkach maleństwa skomplikowanych ruchów dłoni tańca apsary. Ich życie było tak cudowne, tak spokojne i pełne miłości. A ona, Yat, mogła być jego częścią, częścią tej wspaniałej, kochającej się rodziny. Za ich szczęście była gotowa oddać własne życie.

Teraz kryła się skulona za pnem drzewa i z rozpaczą patrzyła na nieruchome ciało swojej pani. Monotonne wycie pana Gwidona jeszcze długo dobiegało jej uszu zza zamkniętej bramy

konsulatu. Plac wyludniał się powoli. Było coraz ciszej i coraz ciemniej. W oknach budynku pogasła większość świateł. Paru Czerwonych Khmerów patrolowało leniwie i sennie teren wokół gmachu. Potem było słychać już tylko odgłosy cykad i szum liści drzew. Strażnicy zwinęli się na ziemi, przyciskając do piersi karabiny. Niebawem dały się słyszeć ich spokojne oddechy. Pham Yat oderwała się od pnia i ostrożnie zaczęła pełznąć w stronę leżącej na ziemi Robam Sue. Była niewidoczna, nie odróżniała się od ziemi, po której czołgała się z mozołem. Wiedziała, jak unikać niebezpieczeństwa, jak być niewidzialna. Całe życie nauczyło ją tego.

Już tego dnia, gdy wyciągnięto ją siłą z samochodu, którym jechała z państwem Bendieux do Battambang, kiedy żołnierze kopniakami pogonili ją w dżunglę, zadbała o to, żeby być niewidoczna. Kucharka i inni uciekli w las, nie oglądając się za siebie. Yat schowała się tylko, aby potem podążyć śladem ukochanej pani. Gdzieś po drodze pozbyła się wykrochmalonego białego fartuszka niani, a nową i porządną suknię porzuciła w dżungli. Pozostawiła sobie jedynie bawełniane spodnie i koszulę, którą nosiła pod oficjalnym ubraniem niani. Wytarzała się w błocie, z oddartego dołu sukienki zrobiła turban, którym okręciła głowę. W tym naprędce wykombinowanym stroju wyglądała jak zwykła wieśniaczka. Teraz jej ubiór sprawił, że zlewała się z nocą i z ziemią, po której pełzła – była niewidoczna.

Bezszelestnie doczołgała się do leżącej nieruchomo Robam Sue. Ciało kobiety było sztywne, chłodniejsze niż rozgrzane powietrze kambodżańskiej nocy. Yat zamknęła oczy swojej pani, nieruchomo wpatrzone w gwiazdziste niebo. Robam Sue odeszła, jej dusza odrodzi się w nowym, lepszym życiu. Yat zapłakała bezgłośnie, ściskając martwą dłoń swej dobrodziejki. Poprzez lepkie plamy krzepnącej krwi wyciągnęła rękę w stronę drobnego ciała Ewy, leżącej na ziemi obok głowy matki. Pogładziła zalaną krwią twarzyczkę dziewczynki i nagle wyczuła słabutki oddech. Ewa leżała nieruchomo, jakby była martwa, ale jej maleńkie serduszko nadal biło. Żyła.

Jeden ze śpiących strażników chrapnął głośnie i przewrócił się z boku na bok. Yat przywarła twarzą do ziemi i zastygła w bezruchu. Tamten wstał, przeciągnął się i podniósł karabin. Obojętnym wzrokiem rozejrzał się wokoło i przewiesił broń przez ramię. Potem ziewnął przeciągle i zrobił parę kroków w kierunku Yat. Przestała oddychać, skamieniała przerażona, że zaraz ją odkryje, czekała na głośny huk wystrzału, który uwolni jej duszę od cierpienia.

Chłopak zatrzymał się, odchylił spodnie i znowu ziewając przeciągle, oddał mocz przed siebie. Gorąca kropla, która spadła na jej łydkę, paliła żywym ogniem. Yat leżała nieruchomo, ze szczelnie zaciśniętymi powiekami, przyciskając twarz do ziemi. Sekundę, która trwała całe wieki, nasłuchiwała. Kroki się oddaliły, nie zauważył jej. Po wielu minutach, kiedy nic się nie działo, odważyła się spojrzeć. Dwóch Czerwonych Khmerów nadal spało spokojnie przed bramą konsulatu. Trzeciego nie było w zasięgu wzroku.

Yat ostrożnie przyciągnęła do siebie maleńkie ciało Ewy. Dziewczynka oddychała płytko, była nieprzytomna. Z małą w objęciach Yat odczołgała się w stronę drzewa. Potem bezszelestnie, kryjąc się między krzakami i przypadając do ziemi przy każdym szeleście, uciekła z dzieckiem w ramionach.

O świcie dotarła do dżungli. Dopiero teraz pozwoliła sobie na odpoczynek. Ukryta w gąszczu, w promieniach wschodzącego słońca obejrzała dokładnie małą Ewę. Cały bawełniany czepeczek, który dziewczynka miała na głowie, był przesiąknięty krwią; z prawej strony przykleił się do włosów tak mocno, że stanowił niemal całość z czaszką. Buzia dziecka była prawie niewidoczna, rysy nierozpoznawalne pod grubą warstwą kurzu.

Yat ułożyła małą delikatnie na trawie, na skraju dużej kałuży, która pozostała po nocnej

ulewie. Obfite monsunowe deszcze właściwie dopiero się zaczynały i wysuszona ziemia wchłaniała bez śladu prawie każdą ilość wody, jednak tutaj, w dżungli, zdarzały się miejsca, gdzie woda zatrzymywała się nieco dłużej w kołysce z liści i ściółki. Yat ostrożnie polewała czepek wodą, odrywając po kawałku sztywny materiał od włosów Ewy. Mała oddychała miarowo, ale nadal była nieprzytomna. Wiele godzin trwało, nim udało się zdjąć jej cały czepek. Rana za prawym uchem wyglądała okropnie, była szeroka i poszarpana, ale już nie krwawiła. Widać było pokryte cieniutką warstwą mięsa białe kości czaszki, wgniecione i popękane.

Jak w ogóle było możliwe, że dziewczynka nadal żyła – Yat nie wiedziała. Kula z karabinu musiała jedynie bokiem drasnąć głowę dziecka. Rozerwała czepeczek, przecięła skórę, wgniotła delikatne kości i poleciała dalej, pewnie utkwiała w ziemi. Jednak czy można żyć z taką wgniecioną czaszką? Yat nie miała pojęcia. Umiała opatrzeć normalne codzienne skaleczenia, często miała z nimi do czynienia, kiedy jeszcze musiała się opiekować szóstką młodszego rodzeństwa.

Tak poważnej rany nie widziała nigdy dotąd. Ewa potrzebowała prawdziwego lekarza, należało ją zawieźć do szpitala. Ale jak? To niemożliwe! W mieście było zbyt niebezpiecznie. Yat nie знаła Battambang, nigdy wcześniej tu nie była, Robam Sue o wiele chętniej jeździła na zakupy do Siem Reab. Zresztą zawsze, kiedy opuszczała plantację, by jechać do miasta, zostawiała bliźnięta pod troskliwą opieką niani. Yat nie wiedziała, gdzie w Battambang szukać szpitala, prędzej już w Siem Reab.

I mimo że było to bardzo ryzykowne, bo wszystkie drogi kontrolowali Czerwoni Khmerzy, przez chwilę miała zamiar zanieść dziewczynkę przez dżunglę do odległego o prawie sześćdziesiąt kilometrów szpitala w Siem Reab. Znała miasto jak własną kieszeń, na pewno udałoby jej się przemknąć z dzieckiem do szpitala, unikając kontroli żołnierzy. Po pierwsze jednak nie miała pojęcia, czy tamten szpital jeszcze w ogóle istnieje, czy nie zlikwidowano go w szaleństwie, które wokół panowało, a po drugie obawiała się, że Ewa nie przeżyje tak długiej wędrówki z otwartą raną na głowie.

Ułożyła dziewczynkę w cieniu drzewa, sama oparła się o pień i rozmyślała. Postanowiła przynajmniej spróbować. Była to winna Robam Sue. Zrobi wszystko, co w jej mocy, aby uratować córeczkę ukochanej pani. Najpierw jednak musi zabezpieczyć ranę i jeszcze dopracować pozory świadczące, że są ubogimi wieśniaczkami, na wypadek kolejnych kontroli Czerwonych Khmerów, na które mogły się natknąć w drodze. Zostawiła dziewczynkę pod drzewem, sama zaś wybrała się na poszukiwania.

Po dobrej godzinie wróciła z naręczem giętkich bambusowych gałęzi i szerokim liściem wypełnionym po brzegi czerwonymi mrówkami. Ułożyła sobie Ewę na kolanach i metodycznie przykładła insekty do otwartej rany, palcami ściągając delikatnie skórę, tak aby przypadkiem nie przycisnąć popękanych kości. Mrówki wgryzały się w brzegi rany, łącząc je. Wtedy paznokciem szybko oddzielała ich głowy od tułowia, tworząc w ten sposób prowizoryczne szwy na rozciętej głowie nieprzytomnej dziewczynki. Znała ten sposób od dawna, widziała, jak stara kobieta z sąsiedztwa właśnie tak zamknęła ranę na ramieniu jednego z braci Yat. Nie stać ich było na lekarza, dlatego skorzystała wtedy z pomocy życzliwej sąsiadki. Nie wiedziała, czy taka kuracja nie zaszkodzi dziecku, ale nie miała innego wyjścia, więc zaryzykowała.

Potem uplotła z bambusa nosidełko na plecy, takie samo jak te, w których wieśniaczki z plantacji trzymały swoje małe dzieci przy sadzeniu ryżu. Następnie rozebrała dziewczynkę do naga. Podarła na strzępy jej delikatną bawełnianą sukieneczkę i zrobiła z niej prowizoryczny bandaż-turban na głowę dziewczynki. Dzieci wieśniaków nago biegały po polach, ale Yat

obawiała się, że słońce poparzy skórę Ewy, nieprzywykłą do palących promieni. Dlatego owinęła małą kawałkiem materiału, który oderwała od własnej koszuli. Potem delikatnie odwiązała z jej rączki poplamioną krwią, brudną różową wstążkę. Popatrzyła na nią i nagle po jej twarzy popłynęły strumieniem łzy. Pamiętała ten dzień, jakby to było wczoraj.

Siedziała przy kołysce bliźniaków i kołysała je delikatnie, nucąc starą khmerską melodię. Pani Robam Sue stała obok przy niskim stoliku, układając kwiaty w wazonie. Monsieur Bendieux wszedł cicho do pokoju i objął żonę. Pocałował ją namiętnie w szyję. Robam roześmiała się głośno i odwróciła do męża.

– Długo cię nie było, kochanie – powiedziała. – Co nowego w mieście?

– Ach, same bzdury, skarbie – odparł, niechętnie marszcząc czoło. – Nie przywiozłem ci wszystkich zakupów z listy. Trudno cokolwiek dostać, jest coraz gorzej. Panuje coraz większy niepokój. Ludzie są nerwowi, krążą nieprawdopodobne plotki. Ponoć madame Rieux opuściła swoją plantację i wyjechała z całą rodziną do Europy. Wierzyć mi się nie chce. Będę musiał za parę dni wybrać się do nich. Nie rozmawiajmy o tym, na szczęście mamy siebie i spokojny normalny dom.

– Plotki zawsze były i będą – odrzekła z uśmiechem Robam Sue. – Nie przejmuj się. Dostałeś bawełnę i wstążki, i nici? Wymyśliłam takie piękne ubranka dla bliźniaków. Już się nie mogę doczekać, kiedy Yat je uszyje. Pokażę ci rysunki, chcesz?

Wysunęła się z jego objęć i podeszła do biurka, na którym leżały kartki papieru i przybory do pisania.

W tym samym momencie Ewa obudziła się i zakwiliła cicho.

– Później, moja ty projektantko mody. Tam, w koszyku, masz swoje nici i kokardki, ale nie wszystko mogłem kupić. – Śmiał się. – Później pokażesz mi swoje rysunki. Teraz chcę się przywitać z moimi największymi skarbami.

Dzieci leżały w kołysce nagie, przykryte tylko lekkim muślinowym szalem. Adam jeszcze spał, ale Ewa już machała nóżkami, wyciągając rączki w stronę ojca. Monsieur Bendieux pochylił się nad kołyską i podniósł dziecko wysoko w górę.

– Chodź do tatusia, synku! – zawołał, podrzucając malucha. Dziecko wesoło machało pulchnymi nóżkami w powietrzu. – Ups! – roześmiał się głośno dumny ojciec. – Nic się tu nie majta, to nie Adam, tylko Ewa. Znowu się pomyliłem.

– No to dosyć tego. Skończymy z tymi pomyłkami raz na zawsze – oznajmiła radośnie Robam Sue. – Wstążki, jak widzę, kupiłeś – stwierdziła, zaglądając do koszyka z zakupami. Ucięła kawałek różowej tasiemki. – Nie może tak być, że odróżniamy nasze dzieci dopiero wówczas, gdy im zajrzemy pod koszulkę. – Zawiązała kokardkę na nadgarstku córki.

– I to ma pomóc? – spytał sceptycznie Gwidon.

– Oczywiście, że pomoże – oświadczyła zadowolona z siebie. – Yat, zaraz ci napiszę ich imiona na kartce. Wyhaftujesz parę takich bransoletek. Różowe dla Ewy, niebieskie dla Adama. Na razie na pewno pomoże. A jak trochę podrosną, to może w końcu się nauczymy ich odróżniać i wstążki nie będą potrzebne.

Yat wyhaftowała piękne khmerskie błogosławieństwa na jedwabnych bransoletkach bliźniaków. Prawie rok minął od tamtego dnia, a wstążki nadal się przydawały. Dzieci były tak do siebie podobne, że ani niania, ani nikt z domowej służby, ani nawet rodzice nie potrafili ich bez tej wskazówki odróżnić.

Teraz Yat siedziała na ziemi, ściskając w dłoni różowy skrawek materiału i szlochając rozpaczliwie. Kiedy się uspokoiła, oddarła kolejny długi kawałek materiału od swojej koszuli

i przewiązała się nim jak pasem. W fałdach tego pasa ukryła brudny, zakrwawiony jedwab. Wymazała całe ciało dziecka błotem. Były gotowe do drogi. Wszystkie te przygotowania zajęły jej cały dzień. Wieczorem znużona wykopała parę larw robaków, którymi się posiliła. Ewa nadal była nieprzytomna. Yat napoiła ją wodą deszczową i postanowiła spędzić noc w dżungli, aby o świcie wyruszyć w drogę do Siem Reab.

Już po pierwszym dniu wędrówki zrozumiała, że jej plan był nierealny. Przedzieranie się przez dżunglę trwało zbyt długo, a kiedy wieczorem znalazła już odpowiednie miejsce na nocleg i ułożyła bezwładne ciało Ewy na ziemi, przeraziła się nie na żarty. Dziewczynka była cała pokąsana przez komary. Czerwone opuchnięte ślady ukłuc pokrywały jej drobne rączki, nóżki i całe plecy. Nie, tak być nie może. Co będzie, to będzie! Musi zaryzykować i wyjść na drogę. I mimo wszystko nie będzie próbowała dotrzeć do Siem Reab. Battambang było o wiele bliżej, zaledwie pół dnia drogi. To miasto jest większe od Siem Reab, na pewno mają tam szpital i na pewno znajdzie się ktoś, kto jej wskaże drogę. A Ewa tak teraz wyglądała, że nikt by w niej nie rozpoznał córki państwa Bendieux.

Przenocowały w dżungli, a o świcie następnego dnia Yat ulokowała dziewczynkę w wiklinowym nosidle i ruszyła w stronę drogi do miasta. Kiedy w końcu rano do niej dotarła, oniemiała ze zdziwienia. Drogą podążały tłumy ludzi. Jedni szli obciążeni bagażami, niektórzy jechali na wozach obładowanych dobytkiem, inni ciągnęli przymocowane do motorowerów i motorów przyczepy wypełnione przedziwnymi przedmiotami. Były tam kuchenki gazowe, żyrandole, walizki, widziała nawet olbrzymią szafę, kołyszącą się na przedłużonym siodełku motorynki. Wszyscy szli w odwrotnym kierunku, opuszczali Battambang. Yat niepostrzeżenie wmieszała się w tłum. Najpierw próbowała iść pod prąd, po chwili jednak usłyszała głośny ryk silnika samochodowego i władczy głos wzmocniony megafonem.

– Angkar jest wam wdzięczny, towarzysze. Opuszczacie miasto tylko na parę dni. Musimy was uchronić przed śmiercią. Angkar odkrył nieczne plany imperialistów. Ameryka ma już jutro zbombardować Battambang. Uciekajcie, ratujcie swoje życie. Angkar was ochroni, Angkar o was zadba.

Obok kolumny wędrujących ludzi przejechał, wznecając kurz, samochód dostawczy oklejony reklamami coca-coli. Na jego dachu siedzieli uzbrojeni młodzi ludzie w czarnych ubraniach, z czerwono-białymi kraciastymi chustami omotanymi wokół szyi. Wymachiwali karabinami i wiwatowali. Z szoferki wychylał się chłopak, krzyżący przez megafon.

– Angkar jest waszą jedyną nadzieją. Angkar was obroni. Angkar was nakarmi. Idźcie do następnego punktu kontrolnego. Tam Angkar skieruje was do tymczasowych domów. Towarzysze, to Angkar jest naszą nową wspólną przyszłością. Śmierć imperialistom. Niech żyje Angkar! Niech żyje szacowna klasa chłopska! To w was siła narodu. Niech żyją towarzysze wieśniacy! Angkar jest waszą matką. Niech żyje przyszłość narodu! Równość dla wszystkich!

Yat, przestraszona widokiem Czerwonych Khmerów, odruchowo zawróciła i ruszyła posłusznie z tłumem. Kiedy głosy dobiegające z ciężarówki ucichły w oddali, zapytała idącą obok kobietę, obładowaną wielkim tobołem, która ciągnęła za rękę szczupłego, może ośmioletniego chłopca w marynarskim ubranku.

– Co to jest Angkar?

Tamta obrzuciła ją czujnym spojrzeniem. Odwróciła oczy i bez słowa przyśpieszyła kroku.

– Cicho, dziewczyno! – syknął stary mężczyzna, który stapał ciężko za nią, szurając nogami. Kulał i podpierał się elegancką drewnianą laską z metalową rzeźbioną rączką, ozdobioną

perłowymi wzorami. – Życie ci niemiłe?!

Yat podeszła bliżej i ponownie spytała go szeptem:

– Co to Angkar?

Przyjrzał jej się uważnie, mrużąc oczy krótkowidza.

– Nie jesteś stąd? Nie idziesz z Battambang? – odpowiedział cicho, odwracając wzrok i wpatrując się w ziemię pod stopami. – Wracaj lepiej do swojej wioski, tam nic ci nie grozi.

– Nie jestem ze wsi – odszepnęła. – Mieszkałam na plantacji, jestem nianią...

– Milcz! – syknął, rozglądając się ze strachem. – Nikomu o tym nie mów. Lepiej, żebyś była wieśniaczką. Oni to sprawdzą. Milcz, jeśli chcesz przeżyć!

– Jacy oni?

– Angkar, partia, Czerwoni Khmerzy. – Spojrzał na nią ze współczuciem kątem oka. – Czy ty naprawdę nie wiesz, co się dzieje?

– Nie – odrzekła także szeptem. – Ale ja muszę do miasta, do szpitala. Moja podopieczna jest bardzo chora... Ja muszę z powrotem.

– Oszalałaś, dziewczyno. Idź przed siebie i milcz. I nie przyznawaj się nikomu, kim naprawdę jesteś. Tylko tak masz jakąś szansę. Tam zostały tylko trupy. Już nie ma szpitala, nie ma lekarzy. Nie ma nic.

Mężczyzna zamilkł. Tłum przed nimi zwolnił, a po chwili znieruchomiał. Na drodze wyrosła przeszkoda w postaci dwóch postawionych w poprzek ciężarówek. Z boku, pod zasłoną z bambusowych mat umocowanych na palach, dostrzegła dużą grupę młodych żołnierzy. Posterunek kontrolny. Ludzie powoli przesuwali się naprzód, pojedynczo przechodząc przez wąską szczelinę między ciężarówkami. Yat szła powoli, dźwigając na plecach nieruchomą Ewę. Obserwowała, jak ludzie przed nią pojedynczo podchodzą do żołnierzy. Z daleka widziała, jak wszystkie bagaże są przeszukiwane. Patrzyła, jak ludzie bez protestu godzili się, by im odebrano dobytek.

Na poboczu rosła sterta aparatów fotograficznych, książek, odbiorników radiowych, wszystkich tych rzeczy, które tak wyraźnie odróżniały bogatych od biednych, elitę od plebsu. Angkar, partia Czerwonych Khmerów, rozpoczynała w ten sposób wprowadzanie zasady równości społecznej. Wszystkich bez wyjątku równano do poziomu tych najbiedniejszych, do poziomu prostych wieśniaków, analfabetów, nieznających żadnego innego zajęcia niż prosta praca na polu, nieznających żadnych innych wartości niż pełny żołądek i dach nad głową.

Przed nią było jeszcze z pięć osób. Patrzyła, jak do młodego, może dwunastoletniego żołnierza z karabinem zbliżyła się tamta kobieta z tobołem na plecach, prowadząca chłopca w marynarskim ubranku. Zdjęła z pleców tobół i rozwiązała go do kontroli. Żołnierz grzebał w nim z zainteresowaniem, a po chwili triumfalnym gestem wyciągnął grubą książkę.

– Nie masz dokumentów, hę? – krzyczał na schyloną w ukłonie kobietę. – Kłamiesz! Jak śmiesz okłamywać Angkar!

– Nie – tłumaczyła się z płaczem. – Ja nie kłamię, naprawdę jestem tylko służącą. Nie umiem nawet czytać. Jestem zwykłą służącą.

– Ty podła kłamczucho! Angkar wie wszystko! Nie oszukasz mnie! – Pienił się ze złości. – A to?! A on?! To twój dzieciak?

Szturchnął wyciągniętym palcem chłopczyka w marynarskim ubranku. Na przedramieniu żołnierza błysnęło światło słoneczne odbijające się od szkiełek pięciu lub sześciu zegarków, które miał na ręce jeden za drugim.

Kobieta skinęła potakująco głową.

– Tak, to mój synek. Jego ojciec walczy dla Angkor – odpowiedziała uniżonym tonem.

– To kłamstwo! – wykrzyczał z satysfakcją. – Ty nie jesteś żadną służącą! Mówisz, że nie umiesz czytać? To po co ci książka i po co temu małemu imperialiście to! – Zerwał chłopczykowi z nosa małe okrągłe okulary. – Po co mu to, jeśli nie umie czytać?!

Uderzył kobietę dłonią w twarz i skinął na dwóch towarzyszy, stojących za jego plecami z karabinami wymierzonymi w tłum.

– Odprowadzić! – rozkazał krótko.

Yat patrzyła, jak tamci powlekli kobietę i jej synka na bok. Podczas gdy kolejni ludzie podchodzili do punktu kontrolnego, przyglądała się, jak obojgu zawiązano dłonie na plecach i dołączono ich do długiego rzędu ludzi, klęczących na poboczu drogi, zwróconych twarzami w stronę dżungli. Ze zdumieniem ujrzała wśród nich mnichów buddyjskich w pomarańczowych szatach i z ogolonymi głowami, które błyszczały w ostrych promieniach południowego słońca. Kolejka posuwała się naprzód. Przed żołnierzem mającym kilka zegarków stanął teraz stary mężczyzna z laską, ten sam, który wcześniej kazał Yat milczeć.

– Jesteś z Battambang? – zapytał żołnierz, badawczo przyglądając się starcowi.

– Tak – odpowiedział spokojnie mężczyzna.

– Nie masz żadnego bagażu?

– Nie mam. Nie posiadałem nic, co mógłbym chcieć zabrać.

– Co robiłeś w mieście?

– Byłem kulisem.

– Gdzie dokładnie mieszkałeś?

– Nie miałem domu, spałem w rikszy.

Chłopak krążył wokół mężczyzny jak sęp wokół padliny, obserwując go uważnie. Stary człowiek stał spokojnie, wspierając się na lasce.

– Kulis to trudny zawód – powiedział uprzejmie żołnierz. – Wymaga dużo siły, trzeba mieć mocne nogi, prawda? – Kopnął z całej siły laskę mężczyzny.

Ten upadł bezwładnie na ziemię, a żołnierz schylił się i podniósł jego laskę. Obejrzał ją i pogładził inkrustowaną rączkę. Następnie ujął laskę i z całej siły uderzył nią leżącego w głowę.

– Nie jesteś kulisem! – krzyknął. – Jesteś obrzydliwym szpiegiem imperialistów. Nie oszukasz mnie, nie oszukasz partii! Odprowadzić!

Żołnierze powlekli starego mężczyznę do reszty więźniów. Przed Yat stała jeszcze tylko jedna osoba w kolejce do przesłuchania. Kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie na poboczu. A potem powietrze rozdarła głośna salwa karabinu maszynowego. Yat padła w popłochu na ziemię i patrzyła z niedowierzaniem, jak klęczący w długim rzędzie więźniowie jeden po drugim padają na ziemię niczym paciorki z rozsypanego sznura koralu. Nikt nawet nie krzyknął, tłum przyglądał się egzekucji w niemym milczeniu.

– Następny! – Szczepliwy rozkaz żołnierza sprawił, że podniosła się szybko i nie spoglądając nawet w kierunku zastrzelonych, stanęła ze spuszczoną głową przed chłopcem.

– Idziesz z Battambang?

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Szłam do miasta, kiedy mnie zawrócono.

– Skąd jesteś?

– Z wioski Phum Bak Prea. Mieszkam nad rzeką, mój mąż był rybakiem – skłamała bez mrugnienia okiem.

– Po co szłaś do Battambang?

– Chciałam odnaleźć męża.

– A co on robi w Battambang?

– Nawet nie wiedziałam, czy go tam znajdę. Odszedł trzy miesiące temu, żeby dołączyć do oddziałów Angkar. Postanowił walczyć z imperiami... – zająknęła się, powtarzając obce, dopiero co zasłyszane słowo. – Myślałam, że może go znajdę, bo nasza córeczka zachorowała i potrzebuje pomocy.

– Z imperialistami – poprawił ją życzliwie. – Dlaczego od razu z nim nie poszłaś?

– Bardzo chciałam, ale kazał mi zostać w domu i zajmować się dziećmi.

– Mądry mężczyzna – stwierdził żołnierz, kiwając głową. – Dzieci są przyszłością naszego kraju. Idź tam. – Machnął ręką w kierunku widocznych na skraju lasu splecionych z trawy namiotów, nad którymi unosił się dym z palenisk. – Odpoczniesz, a towarzysze skierują cię dalej. Wypytaj ludzi, może ktoś wie, gdzie jest twój mąż.

Z trudem powstrzymała się od ukłonu i podziękowania. Na uginających się nogach poszła we wskazanym kierunku.

Usiadła na gołej ziemi obok grupki wieśniaków. Ktoś podał jej maleńką cynową miseczkę, do połowy wypełnioną ryżem. Yat zdjęła z pleców nosidło z Ewą. Dziewczynka odzyskała przytomność i patrzyła na nią z ufnością szeroko otwartymi bursztynowymi oczami. Yat przyłożyła palec do ust.

– Cii, Ewa. Nic nie mów – szepnęła do małej.

Dziecko milczało, patrząc z ciekawością na nianię. Do wieczora nie działo się nic. Czas płynął powoli. Wszyscy w milczeniu siedzieli na ziemi, czekając na to, co nastąpi. Parę metrów dalej zakurzoną drogą przesuwał się bardzo powoli tłum ludzi podążających z Battambang w niewiadomym kierunku. Yat nie zastanawiała się, co z nimi będzie. Była szczęśliwa, że Ewa się ocknęła i wraca do zdrowia. Nakarmiła ją ryżem, napoiła wodą. Potem bawiła się z nią kamykami, liśćmi i kawałkami drewna. Dziewczynka nie odzywała się ani słowem, czasami tylko wydawała z siebie dziwne chrząknięcia.

Niekiedy leniwą, brzęczącą ciszę przerywał nagły ostry huk wystrzałów. Wtedy wszyscy unosili głowy i patrzyli obojętnie w stronę drogi. Tylko Ewa nie reagowała na głośny huk. Nawet nie drgnęła. Nie odwróciła się również, kiedy późnym popołudniem młoda dziewczyna upuściła na ziemię stertę cynowych misek, tuż za jej plecami. Wtedy Yat zrozumiała, że rana na głowie dziewczynki uczyniła większe szkody, niż się wydawało. Ewa straciła słuch.

Noc spędziły, śpiąc na ziemi w tym samym miejscu. Następnego dnia rano nakazano jej i grupie pozostałych wieśniaków wejść na pakę dużej ciężarówki. Siedzieli ciasno stłoczeni na drewnianej podłodze, mężczyźni, kobiety, dzieci. Między powiewającymi płachtami patrzyła z przerażeniem na mijane po drodze sterty ciał rozstrzelanych wrogów partii. Jechali cały dzień, myślała, że pokonali dziesiątki kilometrów, jednak wcale tak nie było.

Drogami Kambodży podążały tłumy zdezorientowanych ludzi. Wszystkim rozkazano opuścić swoje domostwa, choć jednocześnie obiecano, że niebawem do nich wrócą. Dlatego panował taki chaos. Niektórzy zgodnie z rozkazem wyszli z miast i wsi, ale ociągali się i celowo opóźniali marsz, tak że w ciągu dwóch dni uszli zaledwie parę kilometrów, przekonani, że lada moment będzie im wolno wrócić. Dlatego kiedy Yat wysiadła z ciężarówki, z ulgą ujrzała znajomy krajobraz wyschniętych pól ryżowych i nieśmiało szemrzącego strumyka. Już niebawem, kiedy spadną ulewne, monsunowe deszcze, miał się on stać szeroką rzeką pełną ryb, które przypłyną wraz z wodą z potężnego jeziora Tonle Sap.

Yat nie wiedziała, że tak naprawdę miała szczęście. Przerażona panującym wokół szaleństwem, pytała sama siebie, czym naraziła się bogom, że spotyka ją tyle strasznych

doświadczeń. W rzeczywistości, w całej tej sytuacji, jaka zapanowała w Kambodży, niania Ewy należała do wybrańców, szczęśliwców, do których los się uśmiechnął. Przesłuchujący ją w punkcie kontrolnym żołnierz uwierzył w jej opowieść. Już jako wieśniaczka była dla niego przedstawicielką jedynej wartościowej klasy społecznej. Jej zmyślona historia o mężu, który walczył w szeregach armii Czerwonych Khmerów, spowodowała zaś, że zaliczył ją do klasy kandydatów.

Rządy Czerwonych Khmerów, które właśnie wtedy na dobre się rozpoczęły, w roku tysięc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, nazywanym w Kambodży rokiem zero, były długo przygotowywaną, brutalną odpowiedzią na wieloletnią politykę terroru reżimu wojskowego, paranoiczne rządy władcy absolutnego księcia Sihanouka, a przede wszystkim na drastyczne różnice społeczne, które dzieliły ludność głębokiej prowincji, żyjącą w skrajnej nędzy, od bogatych mieszkańców miast przy szlakach komunikacyjnych.

Bo taka właśnie była Kambodża w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia. W miastach ludzie żyli tak jak Europejczycy. Korzystali ze wszystkich dobrodziejstw cywilizacji, mieli czyste domy z łazienkami, lodówki, samochody, wszystko, co można było kupić za pieniądze. Mieszkańcy wsi położonych w środku dżungli lub na wybrzeżach licznych rzek nie mieli nic. Nie znali pieniędzy, kanalizacji ani elektryczności. Żyli jak w średniowieczu, ciemni, niewykształceni, nieświadomi tego, jak naprawdę wygląda dwudziestowieczny świat. Dla tych ludzi Czerwoni Khmerzy, którzy obiecywali równość dla wszystkich, jawili się bohaterami i obrońcami.

Jednak owa równość, mająca wkrótce nadejść, zaplanowana była jako równanie w dół. Zgodnie z ideologią przywódców Czerwonych Khmerów siła narodu tkwiła w najuboższej klasie społecznej, chłopstwie. Do tej klasy należało zrównać całe społeczeństwo. Podzielono je na pełnoprawnych, kandydatów i ulokowanych. Pełnoprawni to byli chłopci, prości, niewykształceni, nieskażeni grzechem nowoczesnej cywilizacji. Jedynie im przysługiwały pełne racje żywnościowe i prawo do bezpiecznego istnienia w nowym ładzie.

Kandydaci, czyli wszyscy ci, którzy wywodzili się z niskich warstw społecznych, ich życie jednak było skażone trucizną cywilizacji – to znaczy służący, kulisi, biedota miejska – byli kierowani do reedukacji. Pracą i indoktrynacją można z nich jeszcze było zrobić czystych, ideologicznie poprawnych obywateli narodu.

Pozostali, czyli ulokowani, nie mieli żadnych szans. Należeli do tej grupy w pierwszej kolejności ludzie wykształceni: lekarze, dziennikarze, urzędnicy, nauczyciele. Cała inteligencja została wysłana na reedukację, która jednak w tych warunkach oznaczała po prostu szybką śmierć. Taki sam los spotkał mnichów buddyjskich. Wszyscy deportowani mieszkańcy miast znaleźli się pośród ulokowanych. Nie przysługiwały im żadne prawa, nawet prawo do pożywienia. Właściwie bez wyroku skazano ich na śmierć. Jediną niewiadomą było, jak szybko zostaną wyeliminowani. Gdyby Yat wyjawiała żołnierzowi w punkcie kontrolnym, że pracowała u bogatych plantatorów, zapewne straciłaby życie już wówczas, na zakurzonej drodze z Battambang. Miała szczęście, chociaż jeszcze wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy.

Po opuszczeniu ciężarówki wieśniaków rozdzielono na trzy grupy. Mężczyzn odseparowano od kobiet. Małe dzieci pozostawiono matkom, a starsze, począwszy mniej więcej od siódmego roku życia, zabrano. Następnie zgromadzono wszystkich w dużej sali. Była to platforma osadzona na palach, bambusową podłogę pokrywały maty. Zadaszenie z plecionej trawy dawało ochronę przed palącym słońcem. Yat dostrzegła towarzyszy podróży.

Ludzie siedzieli na matach w kolumnach, podzieleni na dwie duże grupy – mężczyzn i kobiet.

Czekali prawie dwie godziny, niepewni swego losu, obawiając się rozmawiać nawet szeptem, strzeżeni przez kilku młodocianych żołnierzy, obserwujących ich obojętnie. Ci, których twarze znała już z ciężarówki, zostali ulokowani z przodu. W tyle pomieszczenia siedzieli obcy, widziała ich twarze, zmęczone i poszarzałe ze strachu.

Yat bała się tak samo jak tamci. Ewę musiała zostawić na matach w kącie, tam, gdzie siedziały wszystkie pozostałe małe dzieci. Tylko stamtąd dobiegały jakiegokolwiek dźwięki. Śmiech i płacz maluchów przerywały martwą ciszę panującą w pomieszczeniu i dawały złudne wrażenie, że toczy się tu normalne życie.

Po dwóch godzinach niepewności pojawiło się trzech mężczyzn w czarnych mundurach Czerwonych Khmerów. Za nimi trzy kobiety, również ubrane na czarno, prowadziły grupkę starszych dzieci, mających już na sobie czarne ubrania. Prowadzący zebranie najpierw długo i zawile przekonywał wszystkich o szczęściu, jakie ich spotkało, bo mogą służyć Angkar, partii. Każde jego wniosłe oświadczenie było podsumowywane burzą wiwatów wszystkich zgromadzonych. Yat wiwatowała wraz z innymi, głośno wykrzykując propagandowe hasła. Potem mówca poinformował ich o dalszym przebiegu dnia.

– Zadaniem naszego kolektywu jest dostarczenie jak największej ilości ryżu. Naród potrzebuje jedzenia. Ta prowincja ma dobrą ziemię. Trzeba ją dobrze wykorzystać. Do tej pory zbieraliście ryż dwa razy w roku. Pokażemy niegospodarnym imperialistycznym plantatorom, że jesteśmy od nich lepsi. Siła, która drzemie w nas, w chłopach, ludziach ziemi, pozwoli nam na bogate zbiory trzy razy w roku – oświadczył.

Jego towarzysze, a za nimi cała sala, ponownie zaczęli wiwatować. Kiedy hałas ucichł, jakiś męski głos z tyłu wykrzyknął stanowczo:

– To niemożliwe! Nie da się zbierać ryżu trzy razy!

Strażnicy poruszyli się niespokojnie.

– Kto to powiedział? Pokaż się, towarzyszu. Porozmawiajmy o tym – polecił głośno prowadzący zebranie.

– Ja. – Niski starszy mężczyzna podniósł się z miejsca. – Nie da się zbierać ryżu trzy razy w roku.

– Jak możesz podważać decyzje Angkar?! Co ci daje prawo do tego? – spokojnie zapytał mówca.

– Każdy wie, że się nie da. Sadzonki nie przyjmą się, jeśli nie będzie wystarczająco dużo wody. Ryż rośnie szybko, ale też potrzebuje swojego czasu. Jeśli Angkar potrafi przekonać monsun, żeby wcześniej zalał pola wodą, to będę zbierał ryż trzy razy. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

– Wiesz lepiej niż partia? – nadal pytał uprzejmie prowadzący.

– Wiem wszystko o ryżu – oświadczył z dumą mężczyzna. – Mój ojciec, ojciec mojego ojca i jego ojciec wszyscy uprawiali ryż. Moja wiedza jest tak duża, że zarządzałem zbiorami ryżu na plantacji, która zawsze miała najlepsze zbiory w całej prowincji.

– Coś podobnego, miałeś własną plantację ryżu?!

– No nie, plantacja nie była moja. Należała do mojego pana, ale ja sam wszystkim kierowałem. Jestem bardzo wartościowym pracownikiem – pochwalił się niebacznie.

– Jesteś bezwartościowy! – krzyknął głośno tamten. – Jesteś niczym, jesteś sługusem imperialistów. Pijawką, która ssła krew bezbronnoemu narodowi. Nie zasługujesz na zaszczyt pracy dla kolektywu!

Podszedł do starego mężczyzny, wyciągnął z kabury broń i strzelił mu prosto w głowę. Starzec

upadł bezwładnie na maty. W sali zapadła martwa cisza. Dwóch młodych żołnierzy chwyciło zabitego za nogi i ręce i wyrzuciło na ziemię poza platformę. Przedstawiciel Angkar schował pistolet za pas i wrócił na swoje miejsce z przodu sali. Potem zwrócił się do zebranych:

– Nikt nie będzie nam dyktował, jak mamy uprawiać naszą własną ziemię – stwierdził kategorycznie. – Nikt nie będzie się wywyższał i nami rządził. Jesteśmy wszyscy równi. Żadnych zarządców. Żadnych wrogów narodu!

Zebrani zaczęli wiwatować. Nikt nie śmiał się wyłamać. Nikt nie śmiał nawet spojrzeć na leżące na ziemi zwłoki starego mężczyzny.

– Po zakończeniu zebrania udacie się z opiekunami do przydzielonych wam kwater. – Przywódca kontynuował przemówienie. – Tam dostaniecie wszystko, co będzie wam potrzebne. Najpierw jednak musimy was zarejestrować. Każdy napisze teraz swój życiorys. Gdzie i kiedy się urodził, gdzie mieszkał i co robił. Napiszcie, kto należy do waszej rodziny, to pomoże sprowadzić do naszego kolektywu resztę waszych bliskich!

Jego pomocnicy rozdali wszystkim kartki papieru. Większość z obecnych patrzyła nierozumiejącym wzrokiem na mówiącego, nie wiedząc, czego się od nich oczekuje. Oglądali białe kartki, jakby nigdy dotąd czegoś takiego nie widzieli. Nikt jednak nie odważył się o nic zapytać. Ludzie nadal siedzieli na matach, tępo wpatrując się w przedmioty leżące przed nimi.

Yat nie umiała pisać, ale przynajmniej wiedziała, do czego służy papier i ołówek. Wielokrotnie przecież rysowała z Robam Sue projekty strojów. Teraz nie wiedziała, jak się zachować. Patrzyła niepewnie na leżącą przed sobą kartkę. Czerwoni Khmerzy uważnie obserwowali zgromadzonych. Zaledwie parę osób posłusznie sięgnęło po ołówek, by wykonać polecenie. Mówca jedynie skinął głową. Żołnierze wyciągali piszących gorliwców z tłumu i odprowadzali na bok. Po kilkunastu minutach, gdy wszyscy tępo wpatrywali się w twarz prowadzącego zebranie, a grupka paru osób, strzeżona przez żołnierzy, stała w kącie ze spuszczoneymi głowami, tamten odezwał się donośnym głosem:

– Ci ludzie okłamali partię. Zataili przed nami swoje prawdziwe oblicze. Potrafią pisać i czytać. Są kolejnym wrzodem na zdrowym ciele narodu. Musimy usunąć wszystkie wrzody i wszystkie choroby. Chwała Angkar, chwała demokratycznej Kambodży!

Znowu rozległy się wiwaty. Strażnicy wiązali dłonie na plecach umiejących pisać nieszczęśników.

– Nie ma dla nich miejsca w naszym kolektywie. Natychmiast opuszczą obóz. Nie zasługują, aby oddychać tym samym powietrzem co my.

Związanych ludzi wyprowadzono z sali i po chwili zniknęli w cieniu dżungli, eskortowani przez ubranych na czarno strażników.

– Dzisiaj możecie nie pracować. Teraz udacie się do swoich kwater. Każdy dostanie to, co mu potrzebne. Podacie opiekunom swoje imiona i niezbędne informacje. Oni was zarejestrują. Potem zostawicie wszystkie swoje rzeczy. Wolno wam zatrzymać jedno ubranie i jedną matę do spania. Wszystkie przedmioty, garnki, kosze, ubrania przekazecie opiekunom. Wszystko należy do wszystkich. Od teraz partia zajmie się wami i zapewni wam dobrobyt. Będziemy razem pracować, razem jeść i razem żyć. Będziemy równo i sprawiedliwie dzielić wszystko, co posiadamy.

Po kolejnej serii wiwatów poprowadzono ich grupami do kwater.

Yat opowiedziała strażniczce, która ją rejestrowała, tę samą bajkę, jaką spontanicznie wymyśliła dla żołnierza w punkcie kontrolnym. Upiększyła ją jeszcze zmyślonymi szczegółami. Powiedziała, że była żoną rybaka i mieli trzech synów. Była już za stara na tak małe dziecko jak

Ewa, dlatego próbowała uwiarygodnić swoje macierzyństwo. Szczegółowo, z uśmiechem na twarzy, mówiła, jak to jej mąż z prawie dorosłymi synami łowił ryby w rzece. Jak głodowali, kiedy wody uciekały do jeziora Tonle Sap w odwiecznych rytmach powodzi i suszy. Jak nagle urodziła im się córka, a niedożywienie sprawiło, że zachorowała i straciła słuch. Jak jej mąż, Sar, zabrał synów i postanowił dołączyć do Czerwonych Khmerów, żeby wywalczyć lepsze życie dla rodziny.

Yat pomyślała, że jeśli się pochwali, iż jest matką aż trzech żołnierzy Angkar, to może ci nowi władcy będą ją traktowali mniej surowo, może uda jej się tu przeżyć i ocalić życie Ewy. W końcu nikt nie zabija siostry wiernych bojowników Angkar. Tak naprawdę nie miało znaczenia, co mówiła. Dla Czerwonych Khmerów nie było bardziej czy mniej zasłużonych. Wszyscy mieli być równi. Wszelkie przejawy inności, wszelkie próby wyróżniania się w masie były traktowane jak zdrada i karane jedyną słuszną karą, śmiercią. Dlatego Yat wtopiła się w masę. Stała się nikim. Tak jak wszystkie inne kobiety dostała łyżkę, którą polecono jej zawiesić sobie na szyi i uważać, aby nie zginęła. Ta jedna łyżka miała przez najbliższe sześć lat stanowić jej jedyny dobytek.

Następnego dnia o świcie zaprowadzono ich na pola, podzielone na kwadraty. Wędrując posłusznie za strażniczką wąską ścieżką przez dżunglę, na jej skraju, wcale nie ukryte, wręcz jakby celowo wystawione na widok publiczny, ujrzała zwłoki wyprowadzonych wczoraj z obozu ludzi, tych, którzy przyznali się, że potrafią pisać. Leżeli jeden na drugim, z głowami zmiażdżonymi pałkami żołnierzy. Nad trupami unosił się rój brzęczących much. Nawet nie jęknęła. Maszerowała w martwej ciszy w rzędzie idących gęsiego kobiet. Jej jedyną reakcją było zasłonięcie oczu dziewczynki i mocniejsze przytulenie jej do głośno bijącego serca.

Yat nigdy wcześniej nie sadziła ryżu. Uważnie obserwowała ruchy swoich towarzyszek, pochylonych obok niej na błotnistym polu. Ewa siedziała z innymi maluchami na grobli. Pracowały bez odpoczynku i bez pożywienia do późnego popołudnia. Jedynie dwa razy strażniczki wezwały je do dużego kotła z wodą, z którego wolno im było zaczerpnąć po łyku zawieszoną na szyi łyżką.

Każdy kolejny dzień wyglądał tak samo. Praca na polu do popołudnia. Powrót do obozu. Wspólny posiłek, zawsze taki sam, parę łyżek wodnistej zupy ryżowej, raz na dziesięć dni posłodzonej syropem z trzciny cukrowej. Do tego czasami parę garści suchego ryżu. Dzieciom, które nie pracowały, nie przysługiwały racje żywnościowe, toteż Yat dzieliła swoje skromne porcje z Ewą.

Pierwszy zbiór ryżu się nie udał. Rośliny, posadzone zbyt wcześnie, pousychały. Winą obarczono spiskujących imperialistów. Żadna z kobiet nie poniosła kary. Po prostu posadziły nowe pędy, brodząc po kolana w wodzie, którą wreszcie przyniósł tak długo oczekiwany monsun.

Cały czas chodziły głodne. Dżungla wokół nich obfitowała w różne owoce, jednak nie wolno było ich zbierać. Życie w obozie płynęło monotennie. Codziennie to samo: praca, zebranie i samokrytyka, wspólny posiłek, sen. I tak w kółko. Zdarzały się przestępstwa karane śmiercią, ale nie było ich zbyt wiele.

Kiedyś jedna z kobiet podniosła dorodny owoc mango, który spadł prosto na ścieżkę prowadzącą na pola. Ukryła go i chciała zjeść w tajemnicy wspólnie ze swoim ośmioletnim synkiem, który mieszkał już w kwaterach starszych dzieci i z dumą nosił czarny mundur khmerskiego żołnierza. Chłopiec doniósł na matkę podczas zebrania. Na oczach wszystkich została przykładnie ukarana. Żołnierze związali jej dłonie na plecach i zatłukli ją pałkami na

śmierć. Lepiej, żeby owoc zgnił na ziemi, niż żeby ktokolwiek go zjadł. Wszyscy byli równi, wszystkim należało się po równo. Każdy o tym wiedział, nawet ośmioletni syn zakatowanej kobiety. Przez pięć lat, które Yat spędziła w obozie, nie było jednak wiele takich przypadków. Owszem, dużo ludzi umierało, częściej jednak z głodu i przepracowania niż od strzałów w głowę albo pałek strażników.

Yat nie czuła się bezpieczna. Posłusznie wykonywała wszystkie polecenia. Pracowała ciężko i głośno skandowała hasła wysławiające potęgę Angkar i siłę ludu. Odważnie wygłaszała samokrytyki, sama się obwiniając o zbyt powolną pracę. Mogła sobie na to pozwolić bez obaw. Była uważana przez strażniczki za jedną z najpracowitszych w obozie. Kiedy inne kobiety padały wieczorem, umordowane całodzienną pracą, i usypiały, Yat z małą Ewą zamiatała bambusowymi liśćmi teren przed kwaterą albo siadała na macie, ucząc małą wyplatania z miękkich włókien mocowań do sandałów, wycinanych z opon samochodowych. Tylko raz spotkała ją za to krytyka. Miało być równo, a ona próbowała robić więcej. Na szczęście towarzysze ją obronili. Dziewczyna, która na nią doniosła, została zobowiązana do codziennego zamiatania kawałka ziemi przed salą zebrania. Otrzymała szansę dorównania Yat, której postawa nawet doczekała się pochwały.

O prawdziwym powodzie, dla którego Yat była tak pilna i pracowita, nie wiedział nikt. Fakt, że Ewa była głucha, został zaakceptowany przez kierownictwo obozu. Nikt nie oburzał się, że dziewczynka nie skanduje propagandowych haseł jak inne małe dzieci. Nie przejmowano się tym, uznając, że głuchonieme dziecko też może być dla Angkar wartościowe, choć w inny sposób. Jak długo mała uczestniczyła w życiu społeczności, pracując, można było przymknąć oczy na to, że nie wykrzykiwała z entuzjazmem bojowych wezwań. Yat zadbała, żeby Ewa wcale się nie odzywała. Kiedy dziewczynka próbowała wydawać te swoje dziwne odgłosy, niania zatykała jej buzię dłonią. Z czasem mała przestała otwierać usta w innym celu niż jedzenie.

Ewa nie tylko była głucha. Wgniezione kości czaszki spowodowały jeszcze jedno przerażające upośledzenie. To jednak ujawniło się dopiero po wielu miesiącach pobytu w obozie. Dziewczynka zapominała wszystko, co było odległe w czasie dalej niż trzy dni. Ci, których trzy dni nie widziała, byli dla niej po prostu nowo poznanymi ludźmi. Czynności, których nie powtarzała przez trzy dni, były nowymi, fascynującymi zajęciami. Ewa była upośledzona umysłowo, a Yat miała świadomość, że jeśli to się wyda, dziecko natychmiast zostanie zabite. Jedynym wyjściem z sytuacji, jedyną szansą uratowania życia córki Robam Sue było pokazywanie wszystkim, że mała jest wartościowym członkiem kolektywu.

A wartościowi byli jedynie ci, którzy pracowali. Nawet małe dzieci miały swoje obowiązki. Zamiatały kwatery, nosiły wodę, wykonywały wszystkie polecenia opiekunów. Ewie nikt nie wydawał poleceń, przecież była głucha, nie rozumiała ich. Dlatego Yat nauczyła małą zamiatać i wyplatać mocowania sandałów. Niezależnie od tego, jak bardzo była zmęczona codzienną pracą, powtarzała te czynności z Ewą codziennie. Gdyby przestała, mała po prostu zapomniałaby, jak to się robi.

Pięć lat Yat żyła w strachu o życie Ewy. Były wiecznIE głodne, wychudzone i wycieńczone pracą, ale żyły. Czasami, w porach suszy, kiedy głodowe racje żywnościowe jeszcze bardziej zmniejszono, Yat się zastanawiała, czy nie skończyć z tym wszystkim, nie wybrać szybkiej śmierci zamiast tego powolnego umierania. Wystarczyło tylko opuścić teren obozu albo z Ewą w objęciach zejść parę metrów z wyznaczonej ścieżki na pola. Dżungla wokół kolektywu była naszpikowana minami. Widziała szczątki paru śmiałków, którzy próbowali uciec. Umrzeć było

łatwo, żyć – o wiele trudniej. Jednak za każdym razem, kiedy patrzyła w bursztynowe oczy Ewy, widziała w nich spojrzenie swojej ukochanej pani Robam Sue. Zawdzięczała jej życie, powinna więc uczynić wszystko, aby uratować Ewę.

Tak minęło ponad pięć lat. Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku partia zdecydowała, by przenieść większość robotników z obozu na żyznych ziemiach prowincji Battambang dalej na zachód, bliżej granicy z Tajlandią. Trzeba było zbudować sieć kanałów irygacyjnych, umożliwiających zwiększenie produkcji ryżu w tamtym regionie. Długotrwałe susze, które przysły dwa lata z rzędu, pogłębiły i tak już panujący głód. Kolektywy nie wypełniały dobrze swojego zadania. Produkcja żywności, zamiast wzrastać, spadała.

Zbliżyły się siódme urodziny Ewy. Yat z przerażeniem myślała, co będzie, jak zabiorą od niej małą i przeniosą do kwater dzieci. Wtedy wszystko się wyda. Nie potrafiła już myśleć o niczym innym. Obawiała się każdego kolejnego zebrania, rozkaz oddania dziewczynki mógł przyjść w każdej chwili. Modliła się w duchu, aby głuchota sprawiła, że małej pozwolą pozostać przy matce. Przecież głuche dziecko nie słyszy rozkazów, nie nadaje się więc na żołnierza. W każdej chwili spodziewała się nieszczęścia.

Dlatego z ulgą przyjęła decyzję o przeniesieniu. Nie wiedziała, jak będzie w nowym obozie, nie wiedziała, czy reguły będą takie same. Czy dzieci zostaną rozdzielone z rodzicami, czy mężczyźni i kobiety będą się widywać jedynie na zebraniach. Nie miała pojęcia, co ją czeka, ale wolała tę niepewność od dręczącej pewności, że zabiorą jej Ewę i w rezultacie odkryją, jaka naprawdę jest. A wtedy ją zabiją. A może w tym nowym obozie będą mogły zostać razem? Ta krucha nadzieja sprawiła, że Yat cieszyła się z przeniesienia. Pewnego mglistego poranka wsiadła z grupą kobiet, mężczyzn i dzieci na ciężarówkę i ruszyli na zachód. Ufając, że będzie lepiej, Yat kołysała milczącą Ewę w ramionach.

Jechali ponad trzy dni. Ten obóz rzeczywiście był inny. Ale nadzieje Yat nie spełniły się tak, jak tego oczekiwała. Tu było gorzej. Ludzie spali na gołej ziemi, na klepisku osłoniętym zadasyzeniem z bambusa, pokrytym palmowymi liśćmi i otoczonym płotem z kolczastego drutu. Porcje żywnościowe były jeszcze mniejsze, za to pracy mieli dużo więcej. Nikogo od niej nie zwolniono, chorych i zbyt wycieńczonych zabierano do lasu i nigdy już nie wracali.

Nawet małe dzieci, młodsze od Ewy, musiały pracować. Zadaniem wszystkich było kopanie kanałów nawadniających, które miały doprowadzać wodę na przyszłe pola ryżowe. Rzeka, powoli zaczynająca się wypełniać wodą z monsunowych ulew, znajdowała się kilometry dalej od miejsca, w którym kopali. Setki ludzi gołymi rękami ryło twardą ziemię, raniąc dłonie o ostre kamienie. Kanały musiały być głębokie i stabilne. Czasami Yat spoglądała w górę, na skrawek błękitnego jasnego nieba, które było tak daleko. Napępniała kosze ziemią, a inni wyciągali je na długich, ponadtrzymetrowych sznurach na powierzchnię, a potem usypywali z tej ziemi wysokie wały.

Ewa kopała razem z nią. Pozwolono na to tylko dlatego, że była głucha. Yat potrafiła przekonać władze, że przy niej mała wydajniej pracuje. Kiedy próbowano włączyć Ewę do innej brygady, złożonej z samych dzieci, nie słyszała poleceń, które jej wydawano, i nie była tak efektywna jak przy „matce”. Tak więc zostały razem. Inne dzieci pracowały w kanałach, prawie tak samo głębokich, lecz dużo węższych. Nie było w nich wystarczająco dużo miejsca dla dorosłych. Maluchy, wciśnięte między osypujące się ściany, spuszczano na dół w koszach umocowanych na linach. Spędzały całe godziny, wygarniając ziemię i poszerzając kanały.

Deszcze były coraz częstsze i coraz obfitsze. Lawiny błota zasypywały dopiero co wykopane rowy. Ludzie umierali. Głodni, wycieńczeni wielogodzinną ciężką pracą, brutalnie poganiani

i bici, po prostu kładli się spać i już nie wstawali. Nie pozwalano im odpocząć, nie przewożono ich do innego obozu. Dla takich szkoda nawet było kulki, po prostu wyprowadzano ich do lasu, skąd już nie wracali. Z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Yat zdawała sobie sprawę z tego, że nie wytrzymają, bo to nie było już nawet egzystowanie, tylko powolna śmierć.

Przez pierwszy miesiąc pozwalano im przerywać pracę, kiedy zaczynała się ulewa. Potem, gdy deszcze stały się coraz częstsze, a właściwie już nie ustawały, komendant obozu zmienił zasady. Musieli kopać dalej. Zalewani strugami deszczu wygarniali z rowów błoto, które chwilę potem zsuwało się z mokrych ścian i znowu wypełniało cały kanał. To była syzyfowa praca.

Któregoś dnia, kiedy Yat pracowała na wałach, usłyszała głośne krzyki przy oddalonym o parę metrów wykopie, w którym pracowały dzieci. Ostrożnie spojrzała w tamtym kierunku.

– Ty! – zawołał do niej jeden ze strażników, który pochwycił jej spojrzenie. – Ty, chodź tu! Szybko!

Podeszła do niego, kuląc się odruchowo w oczekiwaniu na cios. Mężczyzna pchnął ją na ziemię.

– Kop tutaj! Szybko! Ziemia się osunęła! Kop! – wrzasnął i zaczął przywoływać innych robotników, pracujących nieopodal.

– Chodźcie tutaj, prędko! Kopcie!

Lawina błota osunęła się do wąskiego rowu, zasypując całkowicie pięcioro dzieci, które w nim pracowały. Ludzie kopali jak maszyny, jak stado wściekłych terierów. Kopali, jakby od tego zależało ich życie. Pierwszego chłopca wyciągnęli szybko. Pluł błotem i kaszłał, ale nic mu się nie stało. Kopali dalej, ale tylko ten jeden chłopiec wy dostał się z kanału żywy. Z pozostałej czwórki udało się wydobyć jedynie dwoje. Nie żyli. Udusili się. Po godzinie gorączkowego kopania strażnik machnął ręką i kazał ludziom wrócić do wyznaczonej na dziś pracy. Te dzieci musiały już tam zostać, przysypane zwałami błota. To był ich grób.

Przynajmniej spoczywały w jakimkolwiek. Inni zmarli nie mieli takiego szczęścia, ich ciała leżały porozrzucane wokół obozu, zalewane potokami wody i rozrywane na strzępy dziobami albo zębami padlinożerców. Tutaj, gdzie życie ludzkie nie miało wielkiego znaczenia, śmierć nie miała go wcale.

Tuż przed świtem, kiedy noc była najciemniejsza i wszyscy już spali, a czujność strażników osłabła, Yat przczołgała się pod ogrodzeniem z drutu kolczastego. Specjalnie położyła się na samym skraju klepiska. Odwrócona tyłem do śpiących towarzyszy, po cichu i ostrożnie wygrzebała w ziemi płytką jamę pod ogrodzeniem. Teraz przepchnęła tamtędy Ewę i sama precyzyjnie się za nią. Do dżungli było niedaleko. Czołgały się mozolnie naprzód. Yat słyszała, że w lesie są miny, i wiedziała, że ryzykuje natychmiastową śmierć, jeśli strażnicy odkryją jej ucieczkę. Natychmiast zabiliby je obie, ją i Ewę. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli tutaj zostaną, to i tak umrą.

Dotarły do lasu. Yat wzięła dziewczynkę na plecy i ostrożnie zagłębiła się w kambodżańską dżunglę. Ruszyła na zachód.

Godziny zmieniały się w dni, dni w tygodnie. Nie wiedziała, jak długo przedzierały się przez zwarty busz. Na początku uważnie wypatrywała na ziemi śladów min i szły jedynie za dnia. Potem przestała się bać. Im dalej były od obozu, im dziksza i surowsza stawała się przyroda, tym bardziej malał jej strach.

Wędrowały od świtu do późnego poranka. Najgorętsze godziny przeczekiwały, kryjąc się w cieniu drzew, a pod wieczór znów ruszały w drogę. Nie głodowały, a właściwie jadły nawet dużo więcej niż przez ostatnie sześć lat. W lesie można było znaleźć sporo owoców, a pod

ściółką ukrywały się różne insekty, smaczne i pożywne gąsienice, chrupiące pędraki. Stopy ich obu z czasem przyzwyczały się do monotonnego marszu. Mięśnie, choć wycieńczone, z każdym dniem coraz mniej bolały.

Kto powiedział, że dżungla jest niebezpieczna? Dla nich była przyjazna, dawała im pożywienie i schronienie. Dzikie zwierzęta? Bzdura. Zwierzęta były, mnóstwo zwierząt. Małpy przeskakiwały nad ich głowami, wrzeszcząc głośno, węże wyginały się między korzeniami drzew. Nie atakowały jednak. Widziały nawet dzikiego czarnego kota, pumę. Patrzyła na nie obojętnie, nie atakując ich. To nie zwierzęta są niebezpieczne, tylko ludzie. Zwierzęta nie zabijają bez powodu.

Yat nawet nie wiedziała, że przekroczyły granicę Kambodży z Tajlandią. Podążała uparcie przed siebie, na zachód. Dżungla zaczynała się przerzedzać. Wędrowały najpierw cały dzień jej skrajem, ale tuż przed zachodem słońca Yat zdecydowała się wyjść z lasu i iść dalej na zachód. Ewa była zmęczona. Yat wzięła ją na ręce, miała zamknięte oczy, pewnie niedługo usnie. Trzeba znaleźć odpowiednie miejsce na odpoczynek, dobrze ukryte, pomyślała Yat. Obawiała się, że może trafić na patrol Czerwonych Khmerów. I wtedy usłyszała ten dźwięk. Głuche metaliczne kliknięcie.

Zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na swoje stopy. Stała na minie przeciwpiechotnej. Wiedziała, że uruchomiła mechanizm. Jeden nieostrożny ruch i mina wybuchnie. Bardzo długo stała bez ruchu. Kręgosłup jej pękał z wysiłku. Śpiąca na rękach Ewa ciążyła coraz bardziej. Ręce Yat drżały, pot spływał jej po twarzy, mieszając się ze łzami. Pocałowała dziewczynkę delikatnie w czoło, a potem, wkładając w to całą siłę, rzuciła dziecko w stronę kępy miękkiej trawy, jak najdalej od siebie. Widziała, jak Ewa gwałtownie upadła na ziemię. Widziała, jak nagle rozbudzona rozglądała się zaskoczona dookoła, szukając niani.

Dokładnie w tym momencie Yat zsunęła stopę z zapalnika miny. Ziemia, krew, kawałki porozrywanego ciała rozprysnęły się na wszystkie strony. Yat poleciała w górę i jak szmaciana lalka opadła bezwładnie na ziemię parę metrów dalej.

Ewa nie słyszała huku wybuchu. Widziała tylko, jak Yat wylatuje w powietrze i spada na ziemię. Uśmiechnęła się radośnie, wstała i podbiegła do opiekunki. Yat leżała nieruchomo z szeroko otwartymi ustami. Krzyczała z bólu, ale dziewczynka tego nie słyszała. Widziała tylko otwarte usta i oczy wypełnione bólem i przerażeniem. Usiadła na ziemi obok niani i zaczęła ją głaskać po twarzy i ramionach. Yat krzyczała i płakała. Ból był potworny, po chwili jednak zaczęła się do niego przyzwyczajać. Wsparła się na łokciu i spojrzała w dół, na stopy. Stóp nie było, jej nóg nie było. Z bioder sterczały dwa urwane kikuty, z których tryskała na wszystkie strony krew.

Yat osunęła się bezwładnie. Ewa głaskała ją i uśmiechała się do niej słodko. Yat nie miała wiele czasu. Zaczęła gorączkowo szperać w zwojach pasa. Znalazła pasek różowego materiału i wcisnęła go dziewczynce w dłoń. Zacisnęła jej paluszki w piąstkę. Potem czule ją przytuliła i gestem kazała jej iść dalej, na zachód. Ewa patrzyła jej prosto w oczy, gładziła ją po twarzy i przecząco kręciła głową. Yat stanowczo odepchnęła ją od siebie, wskazując ręką kierunek. Była coraz słabsza. Obraz przed jej oczami falował, rozmywał się, aż w końcu znikł. Zamknęła oczy, zemdląca.

Ewa siedziała przy niej, głaszcząc ją po twarzy. Ze zdziwieniem dotknęła dłonią poszarpanych kikutów, z których nadal wypływała krew. Rozejrzała się wokół, wstała i urwała z pobliskiego krzewu parę szerokich liści. Przykryła nimi nogi Yat, a potem przytuliła się do jej boku i po jakimś czasie usnęła. Obudziła się w nocy. Była głodna, szarpnęła więc Yat parę razy za ramię.

Opiekunka nie obudziła się, leżała dalej całkiem nieruchoma. Ewa stłumiła głód, wtuliła się głębiej pod pachę Yat i usnęła ponownie.

Tak znalazł je patrol z obozu dla uchodźców. Następnego dnia rano Zofia Dembska po raz pierwszy zobaczyła swoją córkę Ewę.

Dzisiaj

Maj 2005, Wrocław, mieszkanie Zofii i Jana Dembskich

Zofia cały dzień zastanawiała się, co zrobić. Kiedy Janek po pracy wrócił do domu, zrelacjonowała mu rozmowę z Markiem.

– Myślisz, że to możliwe? – zapytała. – Że to może być ona? Ta sama Ewa?

– Nie mam pojęcia, Zosiu. To brzmi jak bajka, ale wszystko jest możliwe. Wtedy, w Tajlandii, znaleźliśmy małą przy zwłokach starszej kobiety. Założyliśmy, że to jej matka, ale to było tylko nasze założenie. Pamiętam jeszcze, jak ta kobieta wyglądała. Ewa jest do niej kompletnie niepodobna, a przecież ten facet powiedział Markowi, że Ewa wygląda dokładnie jak jego żona. Zatem albo ta kobieta w dżungli nie była matką Ewy, albo to wszystko przypadek i Ewunia nie ma nic wspólnego z tym, jak mu tam, Gwidonem. Nie mam pojęcia, czy ona może być jego rodzoną córką, ale łatwo to sprawdzić, wystarczy zrobić test.

– Test srest! – zirytowała się jego żona. – Wiem, że można, nie o to pytam!

– Nie wyrażaj się – odrzekł. – Czemu się na mnie wściekasz?! Pytasz, to odpowiadam, sam nie wiem, co o tym myśleć. Cała ta historia wydaje się nieprawdopodobna. Za dużo zbiegów okoliczności. I to, że nagle Marek, kompletnie obcy chłopak ze Świdnicy, ma zostać mężem naszej córki. I to, że właśnie kilka tysięcy kilometrów stąd pracuje dla faceta, który miałby być jej biologicznym ojcem. Wprost wierzyć się nie chce, za dużo zbiegów okoliczności.

– No właśnie. – Pokiwała głową. – I na dodatek ten brat bliźniak. Przesada.

– Naprawdę taki podobny? – zapytał Janek.

– Niby skąd ja mam wiedzieć? Nie widziałam go, Marek mówi, że absolutnie identyczny i że sam się pomylił. A przecież kto jak kto, ale Marek chyba dobrze wie, jak wygląda Ewa. Powiedziałabym nawet, że obecnie lepiej niż my. Przecież nie jesteś naiwny, wiesz, że oni ze sobą sypiają.

– No i dobrze, że sypiają. My też sypialiśmy przed ślubem. Przynajmniej nie kupują kota w worku. Nie odbiegaj od tematu. – Marek potrząsnął głową. – I co dalej? Co zamierzasz z tym zrobić?

– Sama nie wiem, Jasiu, dlatego z tobą rozmawiam. – Westchnęła. – Oglądałam dzisiaj pamiątki z tamtych czasów. Pamiętasz tę jej bransoletkę z imieniem? Nie chcę niepotrzebnie niepokoić Ewy i rozdrapywać starych ran. Ona jest taka szczęśliwa, przyjęła nasze wyjaśnienia o adopcji, przerobiła to sobie i przestała zadawać pytania. Żyje do przodu, nie wstecz. Nie chciałabym burzyć jej spokoju. A jeżeli wszystko to bzdura? Zbieg okoliczności?

– A jeśli to naprawdę jej ojciec? Jeśli ma brata? I rodzinę, korzenie? Postaw się w jej sytuacji. Gdybyś była na jej miejscu, to pewnie chciałabyś wiedzieć.

– Pewnie tak – przyznała niechętnie Zofia. – Ale w końcu nie wiemy nic pewnego. Możemy powiedzieć Markowi, żeby przestał drążyć i zostawił sprawy tak, jak są.

– Nie wiemy na pewno, ale możemy sprawdzić – odrzekł łagodnie jej mąż. – Zosiu, czy ty się

boisz, że jeśli Ewa odnajdzie swoją rodzinę, to przestanie cię kochać? Hej, popatrz na mnie.

Zofia podniosła oczy i spojrzała na męża żalonym wzrokiem skarconego psiaka.

– Nie... – wyszeptwała. – Tylko...

– Ty wariatko. – Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Jasiu, co nagle, to po diable. Wiem, że trzeba jej o tym powiedzieć. Niech sama decyduje, co dalej. Może jednak najpierw sprawdzimy, co się da, zanim jej powiemy?

– Co chcesz sprawdzać, Zosiu? Pewność i tak da dopiero test...

– Nie! – zaprotestowała. – Zanim dojdziemy do testów, są jeszcze inne możliwości. Możemy poprosić Marka, żeby zapytał na przykład o bransoletkę... Chociaż nie! – wycofała się natychmiast. – Bransoletka to będzie nasz as w kieszeni. Niech cię ręka boska broni mówić Markowi o bransoletce!

– Ale dlaczego? – zdziwił się Jan. – To bardzo dobry pomysł.

– To bardzo zły pomysł. A jeśli wszystko to jeden wielki szwindel? My powiemy o bransoletce, a ten gość oczywiście potwierdzi, że jego córka taką miała. Szast-prast i porwie nam dziecko.

– Oszalałaś? Zosiu, ty się naoglądałaś zbyt wiele oper mydlanych. – Popukał się wymownie palcem w czoło. – To nie jest dwa tysiące siedemset piętnasty odcinek *Mody na sukces*. Nikt ci nie zamierza porwać dziecka!

– Wredny jesteś! – burknęła. – Masz kamień zamiast serca.

– Kochanie, no już. – Przytulił ją. – Przestańmy się kłócić. Po prostu opowiedzmy Ewie o wszystkim. Jest mądrą, dorosłą kobietą. Niech sama podejmie decyzję, co dalej. To jej prawo.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie Zofia. – Ale obiecaj mi, że na razie nikomu nie powiesz o bransoletce. Ani Ewie, ani Markowi, ani żadnej innej osobie!

– Nie bądź dziecinna...

– Obiecaj!

– Zośka!

– Obiecaj!

– A niech ci będzie. – Janek machnął ręką zrezygnowany. – Obiecuję.

Ewa wróciła do domu później, niż się spodziewała. Spotkanie się przeciągnęło, była głodna jak wilk i zła. Po jaką cholere uparła się studiować właśnie filozofię? Sama sobie winna, teraz będzie biegała od Annasza do Kajfasza, a i tak nie dostanie sensownej pracy. W przedpokoju zsunęła z nóg szpilki, rzuciła torebkę na szafkę i otworzyła drzwi do swojego pokoju. Musi szybko włączyć komputer, bo niedługo Marek będzie na Skypie. Niech już się ładuje, ona tymczasem szybko zrobi sobie w kuchni chociaż małą kanapkę. Zawołała jeszcze do rodziców:

– Już jestem! Idę do siebie pogadać z Markiem. Potem wam opowiem, jak było!

– Ewa. – Ojciec wychylił głowę z pokoju. – Chodź najpierw do nas, proszę.

– Teraz nie mogę, jestem już spóźniona. Marek...

– Marek na razie nie będzie dzwonił. Rozmawialiśmy z nim przed chwilą, no chodź.

Zaskoczona Ewa zamknęła drzwi i poszła za ojcem. Popatrzyła ze zdziwieniem na nakryty stół. W tygodniu rzadko kiedy siadali razem do obiadu. Rodzice jedli w szpitalu, a ona robiła sobie sama coś na szybko. Przy rodzinnym stole w pokoju zasiadali tylko w dniach urodzin i przy innych ważnych okazjach. No i czasami w niedziele, jeśli tata miał ochotę coś ugotować. Mama nie przepadała za gotowaniem, poświęcała się tylko na święta.

– Rozmawialiście z Markiem? – spytała teraz zdziwiona. – Stało się coś? Co to za okazja? – Wskazała na zastawiony stół.

– Usiądź, Ewuniu. – Doktor Dembska poklepała krzesło obok siebie. – Jedz, póki gorące. Nic się nie stało. Marek dzwonił do mnie rano, u niego wszystko w porządku, ale jest pewna sprawa i prosił nas, żebyśmy ci wszystko na spokojnie wyjaśnili.

– O Boże! – Ewa przycisnęła dłoń do twarzy. – Znalazł sobie kogoś? Chce zerwać zaręczyny?!

– Bzdura! – zirytował się Janek. – Marek kocha cię tak samo jak jeszcze tydzień temu. Nic się nie zmieniło. To wcale nie chodzi o niego ani o was. Ta sprawa dotyczy tylko ciebie.

– Mnie? – zdziwiła się, ale już uspokojona usiadła przy stole i zaczęła nalewać sobie na talerz zupę. – I dzwonił do ciebie, mamó? Przecież mógł pogadać bezpośrednio ze mną. Byliśmy umówieni na teraz.

– Ciebie – potwierdził Jan. – A dokładnie twojej...

– Ty siedź cicho – przerwała mu doktor Dembska. – Jedz, Ewuniu. Może ja ci powiem od początku. Otóż Markowi przytrafiła się dziwna sytuacja...

– Od początku? – wtrącił się jej mąż. – Chyba od końca...

– Janek! – Oczy Zofii miały błyskawice. – Bardzo cię proszę, nie przerywaj mi, do cholery!

– Nie kłóćcie się! – Ewa przełknęła łyżkę rosółu. – Jak się zaczniecie kłócić, to będziemy tu siedzieć do wieczora.

– Przecież my się nigdy nie kłócimy – mruknął Jan. – Twoja matka i tak nie daje nikomu nigdy dojść do słowa. A już mnie to w ogóle. Wiesz sama, najważniejsze dwa słowa, jakie kobieta chce usłyszeć od mężczyzny...

– Wiem, tato, powtarzasz ten dowcip od wieków. Najważniejsze dwa słowa, jakie kobieta chce usłyszeć od mężczyzny, to: „Tak, kochanie” – dokończyła ze śmiechem Ewa.

– To wszystko bzdury i oszczerstwa – powiedziała stanowczo Zofia. – Zachowujesz się, jakbyś był ubezwłasnowolnionym pantoflarzem. Ja ci nie dam dojść do słowa?! Przecież zawsze wszystko, absolutnie wszystko z tobą uzgadniam. Nawet takie duperele jak gary do gotowania. Czy kiedykolwiek zrobiłam cokolwiek bez uzgodnienia z tobą?

– No, jeżeli uzgadnianiem nazwiemy stanowcze wyrażanie własnych życzeń i wiercenie mi dziury w brzuchu tak długo, aż dam za wygraną, nawet jeśli twoje pomysły za grosz nie mają sensu... – odparł Jan. – Przestań się czepiać garów, w końcu to ja gotuję, a ty jesteś gościem w kuchni. To chyba logiczne, że powinienem mieć coś do powiedzenia na temat garów.

– Ale te srebrne były ładniejsze!

– Ale niepraktyczne, miały metalowe uchwyty! To nie ma wyglądać, Zosiu, to ma się dać zdjąć z gazu bez ryzyka poparzeń!

– Ale...

– Przestańcie, błagam! – Ewa już prawie skończyła jeść. – Kupiliście te garnki prawie pół roku temu, kiedy przestaniecie się o nie kłócić? To tak jak przy brydżu. Podejrzewam, że będziecie jeszcze prawnukom opowiadać, jak to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pradziadek położył wykładanego szlemika w piki. Tato, litości! Myślałam, że chcieliście mi powiedzieć, po co Marek dzwonił do mamy.

– No tak – zreflektował się Jan. – Przepraszam, kochanie. To może rzeczywiście niech mama powie, w końcu do niej dzwonił.

– No właśnie – odrzekła zdecydowanym tonem Zofia. – No więc... wiem, nie zaczyna się zdania od „więc”. No dobrze... nie szkodzi. No więc Marek miał śmieszny sytuację. Spotkał twój sobowtóra.

– Sobowtóra? Poważnie? – zdziwiła się Ewa.

– Tak. – Doktor Dembska zrobiła poważną, zatroskaną minę. – Ale to rzeczywiście koniec, nie początek. Może nie przerywajcie mi i po prostu posłuchaj, Ewuniu.

Janek i Ewa w milczeniu skinęli głowami. Zofia łyknęła herbaty i zaczęła opowiadać.

– Okazało się tam, na miejscu, w Paryżu, że ta praca, którą ma wykonać, to nie dla jakiegoś obcego klienta, tylko dla syna tego architekta. Ci dwaj nie mogą się dogadać i dlatego jakoś tak się złożyło, że Marek nigdy wcześniej go nie widział, znaczy, tego syna. No i pojechał teraz na pierwsze spotkanie i go poznał. – Zofia nagle zamilkła, jakby szukając słów.

– No i co? – ponagliła ją coraz bardziej zaciekawiona Ewa.

– No i jakoś tak wyszło, że Marek najpierw był tam sam. Chyba ten architekt szukał miejsca na parking czy coś takiego. Marek wszedł do mieszkania i spotkał tego syna i go zamurowało, bo ponoć ten syn jest do ciebie niesłychanie podobny. Jak dwie krople wody. I tamten się zaczął strasznie awanturować, myślał, że Marek nie rozumie po francusku, no bo Marek z wrażenia słowa nie mógł wykrztusić. Dlatego jak już doszedł do siebie, to żeby jakoś się wytłumaczyć, pokazał twoje zdjęcie. Ale tamten to jakiś nerwus, awantura się zrobiła niesamowita. Potem przyszedł jego ojciec i zaczęli wyjaśniać... – Zofia znowu urwała bezradnie.

– Mamo? – Zdziwienie Ewy rosło. – I co z tego? Tego Marek nie mógł mi sam powiedzieć? Że spotkał mojego sobowtóra? Nie rozumiem. I co z tego? Chyba że... no powiedz już, Marek stracił tę robotę, tak? Nici z zarobku? Nie będzie domu? Chce przełożyć ślub? Bał się mnie rozczarować i dlatego zadzwonił do ciebie, żebyś mnie przygotowała, prawda?

Zofia spojrzała bezradnie na męża.

– Nie – odparł spokojnie Janek. – Mówiłem, że od końca się nie da. Nie obawiaj się, Ewuniu, Marek ma tę pracę, wszystko jest tak, jak miało być, jak zaplanowaliście. Będzie ślub i dom. Zacznijmy to wszystko jeszcze raz, od początku. Chodźcie, dziewczyny, na kanapę, bo pewnie będzie to długa rozmowa. Kto chce kawę?

– Okropnie maciecie – stwierdziła z niesmakiem Ewa. – Dobrze, możemy sobie posiedzieć i pogadać. I tak nie mam żadnych innych planów na wieczór. Dajcie mi tylko parę minut, niech ja wreszcie wejdę do domu. Nawet nie zdążyłam się przebrać ani umyć po całym dniu biegania. Ta bluzka jest szalenie elegancka, ale okropnie niewygodna. Pięć minut, dobrze? Kawy nie chcę, ale możesz otworzyć białe wino, tato, z przyjemnością się napiję.

Ewa zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Janek z Zosią posprząтали ze stołu i przygotowali niską ławę w saloniku. Postawili na niej kieliszki do wina i popielniczki.

– Namieszałam – mruknęła ze skruczą Zofia.

– Nie namieszałaś – Janek przytulił ją i pocałował w czoło. – To wcale nie jest takie łatwe. Sam bym nie wiedział, jak zacząć. Chyba nie ma innego wyjścia, tylko od samego początku. Jeśli chcesz, to ja spróbuję opowiedzieć.

– Dobrze, będę ci bardzo wdzięczna. Tylko proszę, spróbuj jakoś tak łagodnie, delikatnie. Ewa nie jest mimozą, ale mimo to nie chciałabym, żeby doznała szoku.

– Oczywiście, kochana, przecież to w końcu także moja córka.

Kiedy Ewa, już w domowym dresie, wróciła do saloniku, Jan i Zofia siedzieli obok siebie na kanapie przytuleni. Usiadła naprzeciwko nich, upiła łyk rieslinga z pękatego kieliszka i spojrzała na rodziców wyczekująco.

– Ewuniu... – Głos ojca był łagodny, ale bardzo poważny. – To wszystko naprawdę dotyczy jedynie ciebie, a konkretnie twojej przeszłości. Pamiętasz, jak jako nastolatka zaczęłaś się interesować swoim dzieciństwem?

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziała. – To było chyba w szóstej klasie, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie mam żadnych wspomnień z piaskownicy czy z przedszkola. Inne dzieciaki opowiadały, a ja nie. No bo przecież co z tego, że byłam głucha. Ale nie ślepa. Powinnam była mieć jakieś wspomnienia, jakiegokolwiek. A ja miałam tylko pustkę. Nic. Pamiętam, tato, jak wtedy mi opowiedzieliście o mojej chorobie i adopcji. Pewnie, że pamiętam.

Zofia siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami na kanapie. Zaciągnęła się głęboko papierosem i nagle w ułamku sekundy jej mózg zalała fala wspomnień.

Po powrocie z Tajlandii, prawie natychmiast po załatwieniu wszystkich sądowych formalności związanych z adopcją, dokumentami Ewuni, jej aktem urodzenia i tak dalej, zaczęli biegać po lekarzach. Właściwie to ona, Zosia, zaczęła. Janek bez większych problemów dostał etat w ich dawnym szpitalu. W końcu nie rzucili pracy, byli jedynie urlopowani na czas dwuletniego kontraktu u Lekarzy bez Granic. Zofia przedłużyła urlop o kolejny rok, a potem o jeszcze jeden. Postanowili wspólnie, że na parę lat odłoży karierę i zajmie się Ewą.

Dziewczynka nie nadawała się do przedszkola. Była dziwna. Szalenie sprawna motorycznie i inteligentna, jednak naprawdę coś było nie tak z jej pamięcią. Zdarzało się, że jeśli nie widziała dłużej Janka, bo wracał z dyżurów w godzinach, kiedy już spała, to zachowywała się, jakby był obcy, jakby go zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Nie bała się nieznanymi osobami, od początku była ufna i pogodna. Ale jej reakcje sprawiały wrażenie, jakby poznawała ojca od nowa. Dlatego Dembscy zdecydowali, że Zofia nie wróci jeszcze do pracy, tylko zajmie się córką. W pierwszej kolejności należało sprawdzić, czy wada słuchu jest odwracalna.

Już pierwszy laryngolog, do którego Zosia zaprowadziła małą, stanowczo stwierdził, że jeśli chodzi o jego dziedzinę, to dziewczynka jest absolutnie zdrowa. Nie było podstaw, by podejrzewać jakiegokolwiek zaburzenia narządu słuchu, które uniemożliwiłyby dziecku normalne funkcjonowanie. Ewa powinna była słyszeć, a jednak nie słyszała. Laryngolog odesłał je więc do neurologa. I w tym momencie, już po pierwszej wizycie u wrocławskiego profesora, rozpoczęła się długa, dwuletnia wędrówka po szpitalach, prywatnych gabinetach i nowoczesnych klinikach neurologicznych w całej Polsce, a potem Europie.

Pierwszy tomograf, służący do prześwietlania głowy, pojawił się w Polsce zaledwie cztery lata wcześniej, został wypożyczony przez koncern EMI oddziałowi radiologii szpitala przy Przybyszewskiego w Poznaniu. Na początku lat osiemdziesiątych wykonanie takiego badania było jednak właściwie nieosiągalne dla przeciętnych śmiertelników. Ale Dembscy przeciętni nie byli. Zosia już po paru miesiącach załatwiła badanie w Poznaniu. Potem jeździła z wynikami do wielu znanych i cenionych sław neurologii.

Pierwszą diagnozę postawił jeszcze w Polsce profesor Wender, jeden z najlepszych specjalistów. Jednak nawet on rozkładał ręce. Nikt w kraju nie chciał się podjąć operacji, była zbyt ryzykowna. Oczywiście istniała szansa, że uda się odblokować uciskane nerwy i obszary mózgu, ale nikt nie potrafił przewidzieć, jakie będą efekty takiego zabiegu. Mogło być lepiej albo i gorzej, pół na pół.

Pięćdziesięcioprocentowe ryzyko, że po tak skomplikowanej ingerencji dziewczynka stanie się oddychającym warzywem, sprawiało, że Zofia z uporem szukała innych rozwiązań.

Uraz, którego Ewa doznała we wczesnym dzieciństwie, spowodował wgniecenie czaszki, kości uciskały obszary hipokampu w mózgu i spowodowały przesunięcie się połączeń nerwowych, które po prostu przestały odbierać sygnały z aparatu słuchowego. Ale to, niestety, nie było wszystko. Neurologia jest nauką szalenie skomplikowaną. Zarówno Zofia – chirurg ortopeda – jak i Janek – chirurg jamy brzusznej – znali podstawowe pojęcia i naukę dotyczącą mózgu.

Jednak nie była to ich dziedzina. Znali różnice między pamięcią deklaratywną i proceduralną, wiedzieli, co oznacza uszkodzenie pamięci krótkotrwałej i jakie skutki mogą mieć takie schorzenia.

Ewa miała uszkodzoną pamięć deklaratywną. Nie wpływało to w żaden sposób na jej zdolności ruchowe czy manualne ani na jej inteligencję lub zdolność uczenia się. Nie była upośledzona umysłowo, a wręcz przeciwnie – szalenie inteligentna. Uczyła się bardzo szybko i w oszałamiającym tempie przyswajała sobie nowe czynności. Była zdumiewająco otwarta na wiedzę. Jednak, niestety, zapominała.

Ludzie, którzy stracili pamięć krótkotrwałą, pamiętają wszystko ze swojej przeszłości, do momentu urazu, który ten defekt spowodował. Wypadek Ewy zdarzył się, kiedy była bardzo mała, najprawdopodobniej w okresie niemowlęcym. Jedyne, co mogła zapamiętać z tego czasu, to twarze rodziców, ich zapach, ruchy, a także smak pożywienia i niewiele więcej. W momencie urazu jej mózg nie zgromadził wielu informacji, nie umiała jeszcze mówić i może nawet chodzić. Wypadek, który spowodował utratę słuchu, był zapewne również przyczyną utraty pamięci krótkotrwałej. I tak znajdowała się w lepszej sytuacji niż niektórzy pacjenci, cierpiący na tę chorobę. Zdarzają się tacy, których zdolność zapamiętywania trwa jedynie parę sekund, minut lub godzin. Z Ewą było inaczej. Jej zdolność przechowywania informacji utrzymywała się trzy dni. Jedyne czynności, które były codziennie powtarzane, pozostawały dłużej w jej pamięci. Podobnie obrazy, widziane każdego dnia, rozpoznawała po trzech dobach.

Tylko ile informacji można sobie przyswoić przez trzy dni? Było jasne, że stan, w którym się znajdowała, nigdy nie pozwoliłby jej prowadzić normalnego życia. Ewa nigdy nie pójdzie do szkoły, nie założy rodziny. Dembscy kochali ją tak bardzo, pragnęli dla niej normalnego, szczęśliwego życia. Tylko operacja mogła pomóc. Lecz mimo to, chociaż oboje wierzyli w potęgę i rozwój nauk medycznych, w prawie nieograniczone możliwości współczesnej medycyny, nie chcieli podejmować zbyt dużego ryzyka. To ich dziecko, a nie królik doświadczalny. A grzebanie w mózgu jest grzebaniem w mózgu. Bali się, że mogą stracić córkę.

Po dwóch latach upór Zofii przyniósł efekt. Poszukiwania, setki listów, dziesiątki kosztownych badań i konsultacji specjalistów sprawiły w końcu, że znalazł się zespół lekarzy w klinice psychologiczno-neurologicznej w Zurychu, który podjął się przeprowadzenia operacji i dawał siedemdziesięcioprocentową szansę powodzenia. Na więcej Dembscy nie mogli liczyć. Zaryzykowali. Wiosną roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego Ewa została zoperowana w Szwajcarii. I operacja się powiodła. Dziewczynka nie tylko odzyskała słuch, lecz także pamięć krótkotrwałą. Co prawda okres między urazem a operacją zniknął z jej pamięci bezpowrotnie, ale teraz nareszcie była w stanie zapamiętywać wszystko, czego się nauczyła. A uczyła się bardzo szybko.

W ciągu kolejnego roku po operacji, przez te kilkanaście miesięcy, Ewa najpierw uczyła się mówić, a potem w szalonym tempie nadrabiała stracone osiem lat swojego życia. Poszła do szkoły w wieku około dziesięciu lat. Przelatywała z klasy do klasy jak na skrzydłach. Ciekawa wiedzy, ciekawa życia. Przynosiła świadectwa z najlepszymi ocenami. Gdy tylko nauczyła się czytać, tonami połykała książki. Chowała się nocą z latarką pod kołdrą, zatopiona w lekturze. Bała się, że rodzice zagonią ją do spania. Od trzeciej klasy miała dodatkowe zajęcia z angielskiego. Jan i Zofia obserwowali, czy podoła, starali się jej nie przeciążyć. Już po paru miesiącach poprosiła o kolejny kurs językowy. Na regałach domowej biblioteki stało tyle książek po francusku. Ewa chciała i te czytać. Jej głód wiedzy był nienasycony.

W szóstej klasie zaczęła zadawać pytania na temat swojej przeszłości. Wtedy Dembscy

zdecydowali, że wyjawią jej prawdę o adopcji i chorobie. Jednak Zofia, która mimo wszystko cały czas obawiała się o delikatny system nerwowy córki, zmusiła męża do zaakceptowania decyzji, że nie musi to być cała prawda.

Niepotrzebnie, bo Ewa była silna, można jej było powiedzieć wszystko. Ale matka, mając w pamięci szalenie emocjonalną reakcję dziewczynki na lekturę dotyczącą czasów drugiej wojny światowej, postanowiła zataić przed Ewą jej pochodzenie. Mała była ciekawska, jeśli usłyszy o Kambodży, będzie tak długo grzebała, aż dogrzebie się wszystkich informacji o potwornościach Czerwonych Khmerów. Czy musi o tym wiedzieć? Nie wiadomo, jak zareaguje. W końcu była ciężko chora, miała uraz mózgu. Nikt nie mógł przewidzieć, jak taki stres może się odbić na jej zdrowiu. A jeśli znów zachoruje? Albo szok wywoła amnezję? Jeśli znów będzie w stanie zapamiętać jedynie te cholerne trzy dni? Nie! Zofia wolała nie ryzykować, a Jan jak zwykle jej uległ.

Te wszystkie wspomnienia w ciągu sekundy przesunęły się w pamięci Zosi, a potem gwałtownie wyhamowały w tym samym momencie, kiedy Ewa ze spokojem odpowiedziała na pytanie ojca:

– Oczywiście, że pamiętam... Mówiliście mi wtedy o mojej chorobie i adopcji.

– No właśnie. – Janek ujął żonę za rękę. – Powiedzieliśmy ci całą prawdę o chorobie, ale jeśli chodzi o adopcję, to zatrzymaliśmy coś dla siebie.

– Jak to? – zdziwiła się Ewa. – Przecież pokazywaliście mi nawet dokumenty z sądu. Co to jest? To coś, co zatrzymaliście dla siebie?

– Kochanie, sama sobie wydedukowałam, że wzięliśmy cię z domu dziecka, bo na dokumentach było napisane, że twoi rodzice najprawdopodobniej nie żyją i jesteś sierotą. Ale to nie była cała prawda...

– Tato, co ty opowiadasz? Moi naturalni rodzice żyją?!

– Nie – zdecydowanie oświadczył Janek. Zofia ścisnęła dłoń męża, prawie ją miażdżąc. – To znaczy, nie wiemy. Naprawdę. Nikt nic nie wie o twoich rodzicach.

Ewa w osłupieniu przesuwała spojrzeniem od matki do ojca.

– Tato, mam, ja was bardzo proszę, przestańcie zachowywać się tak tajemniczo. Dobrze, coś tam przede mną zatailiście. Cokolwiek by to było, wcale mi tego nie brakowało. Mam cudowną, kochającą rodzinę. Kiedy jeszcze żyły babcie, nasłuchiwałam się opowieści o waszym dzieciństwie, o historii rodziny. Mam ciotki, wujków, kuzynów rozsianych po całym świecie. Mam was. Nigdy nie czułam się w żaden sposób osamotniona ani poszkodowana. Przyjęłam wasze wyjaśnienie o moich zaburzeniach pamięci, pogodziłam się z myślą, że zostałam adoptowana i że moje dzieciństwo nie istnieje. Dla mnie to normalne, że moje życie zaczęło się od momentu, kiedy mam własne wspomnienia, od momentu operacji. A wy mi teraz, po dwudziestu latach, mówicie... Że co? Że być może gdzieś w Polsce żyją sobie moi biologiczni rodzice, że może mam jakąś przeszłość, jakąś inną rodzinę? I czego oczekujecie? Niby jak mam się zachować? Powiedzcie mi może w końcu całą prawdę. Czego się obawialiście, że rzucę się na poszukiwania tych, którzy mnie nie chcieli? Mamo, przecież ja cię kocham. Nie ruszę w Polskę szukać kogoś, kto się dla mnie nie liczy!

– Wiem, kochanie – szepnęła Zosia.

– Nie w Polskę – dodał Janek.

– Co? – Ewa spojrzęła ze zdumieniem na ojca.

– Nie w Polskę – powtórzył. – Adoptowaliśmy cię w Tajlandii.

– Jak to, w Tajlandii? W jakiej Tajlandii?! Przecież wy nigdy nie byliście w Tajlandii!

Widziałam zdjęcia, wszystkie albumy z waszych urlopów. Sama z wami jeździłam. Wiem wszystko. Nosa za Europę nie wychyliliśmy. Wy wcześniej też nie, zanim się urodziłam, to znaczy, zanim mnie adoptowaliście. Opowiadaliście mi o wyjazdach do Bułgarii i do DDR po gumisie. Przede mną byliście tylko raz na Zachodzie, we Francji. Oglądałam przecież zdjęcia z Paryża. Dwa lata temu zafundowaliście sobie wycieczkę do Egiptu i to wszystko. Wcześniej nic! W jakiej Tajlandii, tato, co ty opowiadasz? Przecież to Azja, Daleki Wschód.

– A jednak. Byliśmy tam i wróciliśmy stamtąd już z tobą. To już prawie dwadzieścia pięć lat temu. Byliśmy dwa lata w Tajlandii na kontrakcie Lekarzy bez Granic.

– Ale... dlaczego ja nic o tym nie wiem? Nigdy mi nie opowiadaliście. Nie ma żadnych zdjęć?...

– Ano nie ma – powiedziała szybko Zofia, ściskając mocniej dłoń męża. – Nie robiliśmy tam żadnych zdjęć. I nie opowiadaliśmy o tym, bo... Nie chcieliśmy opowiadać o tym okresie. Nawet jeśli zdobyliśmy mnóstwo cennych doświadczeń zawodowych, to chyba zwyczajnie chcieliśmy o tym wszystkim zapomnieć. Nie ma o czym opowiadać. To było... trudne.

– Dlaczego, mamu? – spytała miękko Ewa. – Przecież stamtąd mnie przywieźliście. To nie miało żadnego znaczenia? Opowiesz mi teraz, opowiecie oboje?

– Teraz nawet musimy ci opowiedzieć – oświadczył stanowczo Jan. – Pracowaliśmy jako lekarze na granicy Tajlandii z Kambodżą w obozie dla uchodźców. Ty byłaś jedną z naszych pacjentek. Znaleźliśmy cię w dżungli, obok twojej nieżyjącej matki. Uciekłyście z Kambodży Czerwonych Khmerów. Nie było wiadomo, jak się nazywasz, ile masz lat, nic. Byłaś jednym z bardzo wielu dzieci, które przewinęły się w ciągu tych dwóch lat przez obóz. – Zamilkł.

– Kambodża, no tak, hm... – mruknęła Ewa. – Czytałam trochę na ten temat. To było szaleństwo. Tyle ofiar.

– No właśnie – powiedziała cicho Zofia. – Dlatego nie dziw się, że nie wracaliśmy do tego czasu. Całe te dwa lata były straszne. Jesteśmy chirurgami, widok krwi i cierpiących, chorych ludzi jest dla nas normalny. Ale to, co było tam... – Pokręciła głową. – To było potworne, Ewuniu. Tylu amputacji, ile trzeba było wtedy zrobić, nie wykonałam przez całą resztę swojego zawodowego życia. Nie chciałam ci o tym opowiadać. Nie chciałam cię dręczyć. To takie bolesne.

– Mamu – Ewa podniosła się z fotela i przytuliła do matki skulonej na kanapie – przepraszam, kochana. Nie chciałam. To nieważne. Nie musisz wcale wracać do tych wspomnień. Jeśli nie chcecie, nie musimy już o tym rozmawiać. Ja przecież rozumiem.

– Musimy, córeczko. – Zofia odsunęła ją delikatnie, ale stanowczo. – Musimy, wcale tego nie chcę, ale musimy.

– Przestań. W porządku, już mi powiedzieliście, wiem wszystko. Jestem córką uchodźców z Kambodży. Moi rodzice zginęli. Ja przeżyłam. Wy mnie adoptowaliście. Koniec kropka. Nie muszę nic więcej wiedzieć. Nie mam żalu, że mi nie powiedzieliście wcześniej. Możemy zmienić temat i o tym zapomnieć. Wszystko w porządku.

– Kiedy to nie koniec – odparł Jan. – To właściwie początek, Ewuniu. Nie będziemy ci opowiadać o życiu tam, o tym wszystkim, co widzieliśmy. Ale musimy ci jeszcze chociaż troszkę opowiedzieć o okolicznościach znalezienia ciebie. No i oczywiście wyjaśnić, jak to wszystko wiąże się z dzisiejszą rozmową z Markiem.

– Och, rzeczywiście. Całkiem zapomniałam. – Ewa zakryła usta dłonią. – Dobrze. To ja już siedzę cicho i słucham. Mów, tato. Powiedz wszystko, co według ciebie powinnam wiedzieć.

– Po pierwsze, nie wiemy na pewno, czy twoi rodzice zginęli. – Janek patrzył w skupieniu

w oczy córki. – Znaleźliśmy cię przy zwłokach kobiety, która zginęła od wybuchu miny. Leżałaś przytulona do niej, więc założyliśmy, że to twoja matka. Jednak nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów, które by to potwierdzały. Tam nie robiło się sekcji zwłok, nie ustalało grupy krwi zabitych. Nie ma żadnej pewności, że byłąście spokrewnione. Znaleźliśmy tylko was dwie, żadnego mężczyzny przy was nie było. Więc nawet jeśli bez żadnego pewnego dowodu założymy, że to była twoja matka, to tak na pewno jesteś tylko pólsierotą, bo o twoim ojcu kompletnie nic nie wiadomo. Rozumiesz?

– Rozumiem – odrzekła poważnie. – Rozumiem, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Nie będę próbowała szukać śladów swojej rodziny w Kambodży. To przeszłość. Wy jesteście moimi rodzicami.

– Tak, kochanie, i jesteśmy z tego dumni, ale nie o to chodzi. – Janek pochylił się w stronę żony. – W gardle mi zaschło. Może ty mów dalej, Zosiu.

– No dobrze. – Zofia ujęła córkę za ręce. – Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że ten architekt, przyjaciel Marka, jest twoim ojcem. Co prawda brzmi to niewiarygodnie, ale nie oznacza, że jest niemożliwe.

– Ten architekt, monsieur Gwidon? – spytała zdumiona Ewa. – Ale jak? To jakaś paranoja. Co ma wspólnego znany paryski architekt z uchodźcami z komunistycznej Kambodży?!

– Też tak pomyślałam. – Zofia opadła na oparcie kanapy. – Okazało się, że on także uciekł z Kambodży.

Ewa patrzyła na nią osłupiała. Sięgnęła odruchowo po paczkę papierosów, leżącą na ławie. Zapaliła jednego i zaciągnęła się głęboko dymem.

– To jest obłąd! – oświadczyła. – To jakiś idiotyzm. Wytłumacz to po kolei.

– Sama nie umiem po kolei. Powtórzę ci po prostu, co powiedział Marek, dobrze?

Ewa bez słowa skinęła głową.

– Po tej całej awanturze, jak Marek zobaczył tego faceta, znaczy, tego syna, tego twojego sobowtóra, i był pewien, że to ty, i pokazał mu na dowód twoje zdjęcie, w końcu przyszedł do nich tamten architekt. Marek myślał, że on załagodzi konflikt, ale zrobiło się jeszcze gorzej, bo ten syn zaczął mu zarzucać, że go szpieguje i że po kryjomu robi mu zdjęcia. Podobno kompletnie stracił panowanie nad sobą, szalał ze złości. – Zosia rozłożyła bezradnie ręce. – No widzisz, ja też już się w tym gubię. Ciebie nie rozpoznał na zdjęciu, bo to przecież było twoje zdjęcie, to znaczy, Marka, no nie, twoje. Marka zdjęcie, na którym na pewno, na milion procent, byłaś ty. A on nie rozpoznał ciebie, to znaczy, jak nie rozpoznał, nie mógł rozpoznać, bo nawet ciebie nie zna.

– Zosiu, uspokój się, oddychaj. – Janek poklepał żonę po dłoni. – Strasznie wszystko płaczesz. Spokojnie, to nie wyścigi.

– No dobrze, masz rację. – Zofia wzruszyła ramionami. – No więc ten syn architekta upierał się, że na zdjęciu jest on, nie ty. A to na pewno było twoje zdjęcie.

– Żartujesz – odparła Ewa.

– Wcale nie żartuję. To właśnie jest takie dziwne. Marek twierdzi, że on też was pomylił. Powiedział, że jak go zobaczył, tego syna, gotów był przysiąc, że to ty, Ewuniu.

– Taki podobny?

– Podobno identyczny. To znaczy, ja nie wiem. Marek mówi, że identyczny.

– To jeszcze nic nie znaczy. Przypadek. Mogę mieć wielu sobowtórów na całym świecie. Nie jestem taka znowu wyjątkowa. I czego to ma niby dowodzić?

– To niczego – odrzekła Zofia. – I oczywiście, że jesteś wyjątkowa. Ale potem zrobiło się

jeszcze bardziej niesamowicie. Architekt najpierw zasłabł, a potem, jak już mu Marek przysiągł, że ty to ty, a nie jego syn, to upierał się, że jesteś jego zaginioną córką.

– Jak to, zaginioną córką?

– Opowiedział Markowi o swojej rodzinie. Wyobraź sobie, że on pochodzi z Kambodży. To znaczy, właściwie z Francji, ale spędził całe dzieciństwo w Kambodży, tam żył, tam się ożenił i dzieci mu się urodziły. A te dzieci to były bliźniaki, Adam i Ewa. Jak uciekali z Kambodży, to go rozdzielili z żoną i jemu z synem udało się uciec, ale na własne oczy widział, jak mu zastrzelili żonę i córkę. – Zofia zamilkła.

– Jeśli na własne oczy widział, że zastrzelili, to jak może myśleć, że to ja? – zapytała sceptycznie Ewa.

– No właśnie – przytaknęła energicznie Zofia. – I na dodatek ten jego syn jest starszy od ciebie, a bliźniaki z reguły są w tym samym wieku.

– I jeszcze takie samo imię. – Ewa cmoknęła z niesmakiem. – Coś za dużo tych zbiegów okoliczności. Ja w to wszystko nie wierzę, to przypadek.

– Też tak uważam – oświadczyła jej matka. – Mimo wszystko musieliśmy ci powiedzieć, żebyś się głupio nie czuła, jak go poznasz. W końcu masz jechać do Marka, jak skończy pracę. W tę waszą podróż przedślubną. Na pewno będzie chciał przedstawić cię temu Gwidonowi. Mogłabyś czuć się zaskoczona, gdyby tamten wpatrywał się w ciebie jak w ducha. Lepiej było wszystko zawczasu wyjaśnić. Dlatego postanowiliśmy z ojcem, że ci powiemy.

Janek patrzył uważnie na żonę, która znowu rozpędzała się w swoich wywodach jak lokomotywa. Położył jej dłoń na ramieniu i zwrócił się spokojnie do córki.

– Ewuniu, najprawdopodobniej cała ta historia to tylko zbieg okoliczności. Jednak pomyśl jeszcze. Może warto to sprawdzić? W dzisiejszych czasach to bardzo łatwe. Wystarczy zrobić test. Bo widzisz, kochanie, owych zbiegów okoliczności w tej historii jest zbyt dużo, żeby je tak po prostu zlekceważyć.

– Co ty opowiadasz! – zdenerwowała się Zofia. – Jakie za dużo! Zbieżność miejsca i nic więcej. Przecież córka tego człowieka byłaby ponad dwa lata starsza od Ewy. To fakt, czego chcesz więcej?

– Zosiu, nie bądź dzieckiem – zawstydził ją mąż. – Sami nie wiemy, kiedy naprawdę Ewunia się urodziła. Oszacowaliśmy jej wiek na oko, a datę urodzin wymyśliliśmy sami. To wszystko jest umowne. A jeśli się pomyliliśmy? Jeśli tak naprawdę Ewa jest dwa lata starsza? To możliwe. Nigdy nie próbowaliśmy tego ustalać badaniami, bo nie było nam to do niczego potrzebne. Czyli może już mamy w całej tej historii dwie zbieżności. Zbieżność miejsca i czasu? Kto wie? No i nie zapomi...

– Czyli co proponujesz? – przerwała mu Zofia, kopiąc go dyskretnie pod stołem w kostkę i gromiąc go wzrokiem.

– Aaa... – Janek stłumił syk bólu. Jego żona, lekarz ortopeda, wiedziała, jak kopnąć, żeby zabolalo. No tak, obiecał, że nie wspomni o wstążce, ale... – Nic nie proponuję. Uważam tylko, że nie można niczego wykluczyć. Test dałby jednoznaczną odpowiedź.

– I po co? – spytała Ewa. – Dla mnie jest dobrze tak, jak jest. To wy jesteście moimi rodzicami. Za parę miesięcy wyjdę za Marka, mam już rodzinę, nie czuję potrzeby zmieniania niczego.

Zofia z zapałem kiwała głową, przytakując każdemu słowu córki.

– Ty nie, Ewuniu, to prawda – odrzekł poważnie Janek. – Ale czy choć przez chwilę zastanowiłaś się nad tym, co czuje ten człowiek? Ten architekt? W tragicznych okolicznościach stracił żonę i córkę, prawie trzydzieści lat dręczył się wspomnieniami, może nawet się obwiniał,

że nie potrafił temu zapobiec. A jeśliby się okazało, że jego córka jednak żyje, że to ty? Naprawdę jest ci obojętne, co to by dla niego znaczyło?

– Tato?! Ty chcesz, żebyś ją zrobiła ten test?

– Nie, kochanie. Chcę tylko, żebyś spokojnie się zastanowiła i postąpiła zgodnie ze swoim sumieniem. Co postanowisz, to zrobimy.

Ewa opuściła głowę. Milczała.

– To co powiedzieć Markowi? – zapytała córkę przygnębiona Zofia.

– Nie wiem – szepnęła Ewa. – Muszę pomyśleć. Nie rozmawiajmy już o tym. Do Marka zadzwonimy jutro. Dziś już dajmy sobie z tym wszystkim spokój.

Następnego poranka, po źle przespanej nocy, Ewa weszła do kuchni. Zofia siedziała przy stole i malowała się w lusterku powiększającym, stojącym przed nią. Każdego ranka, ignorując duże lustro łazienkowe, przynosiła sobie na kuchenny stół worek kosmetyków i śmiesznie wykrzywiała twarz do małego lusterka. Twierdziła, że jest ślepa i potrzebuje światła do konserwacji zabytków, jak nazywała codzienny rytuał malowania. Ale tak naprawdę robiła makijaż w kuchni, żeby parę chwil dłużej cieszyć się ciepłą rodzinną atmosferą. Janek stał przy ekspresie do kawy odwrócony tyłem do drzwi. Ewa przytuliła się mocno do pleców taty.

– Dostanę też kawy? – miauknęła przymilnie. – Takiej puchatej, z pianką?

Janek się roześmiał.

– Siadaj obok mamy. Jakbyście nie umiały obsługiwać ekspresu! Jesteście obie okropnie rozpieszczone. Sam was tak rozpuściłem, moje śpiące królewny.

Po chwili postawił przed córką kubek z kawą.

– Jak spałaś, myszko? Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Nie chcę robić tego testu, tato – odpowiedziała poważnie.

– Dobrze. Będzie, jak chcesz. – Kiwnął głową. – Zadzwonimy do Marka i poprosimy go, żeby zapomniał o całej sprawie.

– Nie. – Ewa pokręciła głową. – Sama z nim porozmawiam. Nie zrobię testu, ale nie chcę tego tak zostawić. Wyjaśnimy sprawę do końca. Chciałabym sama się zobaczyć z tym Gwidonem i porozmawiać z nim. I to jak najszybciej. Na pewno na wszystko znajdzie się jakieś rozsądne wyjaśnienie. Widzicie, myślałam sobie, tak, jak powiedziałaś, tato, o jego uczuciach. Spróbowałam się postawić w jego sytuacji. Możemy go oczywiście okłamać i upierać się, że to wszystko niemożliwe, chociażby z powodu różnicy wieku między mną a tym Adamem. Możemy mu też powiedzieć prawdę i zrobić test. Wiecie, ile się czeka na wyniki, nie mówiąc już o kosztach? Minimum miesiąc, sprawdziłam w nocy w Internecie. To teraz postawcie się w jego sytuacji, jeśli się okaże, że jednak nie jestem jego córką. To będzie tak, jakby drugi raz ją stracił. Nie chcę. Uważam, że powinniśmy wszyscy pojechać do Paryża i rozeznąć się na miejscu. Bardzo bym chciała, żebyście byli tam ze mną. Znaie mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Widzieliście na własne oczy moją matkę. Możemy z nim porozmawiać i może w czasie tej rozmowy wyniknie coś, co pozwoli definitywnie wykluczyć nasze pokrewieństwo. Jeśli to nic nie da, zgodzę się zrobić test. Tylko... chciałabym oszczędzić temu człowiekowi fałszywej nadziei, rozumiecie?

Zofia popatrzyła poważnie na męża. Skinął nieznacznie głową i uśmiechnął się, dodając im otuchy.

– Dobrze, pojedziemy z tobą, córeczko. Oczywiście. Mogę wziąć urlop od poniedziałku, mam

zaległy tydzień i nie zaplanowałam żadnych operacji. Janek? – spytała Zofia.

– Ja też mam jeszcze urlop – powiedział. – Ale nie mogę go wziąć tak znienacka, muszę mieć zgodę szefa. Powinno mi się udać, pozamieniam się dyżurami, Wolski na pewno pójdzie mi na rękę. Poczekajcie do popołudnia. Wtedy będę wiedział na pewno.

– Jesteście kochani. – Ewa przechyliła się przez stół i pocałowała matkę w policzek.

– Tusz mi rozmazujesz, dziecko – burknęła z uśmiechem Zosia. – Jeśli będziesz po południu wolna, to jak ojciec do ciebie zadzwoni, idź i spróbuj zarezerwować bilety na samolot. I na pociąg do Warszawy. Nie weźmiemy samochodu, bo nas potem opłaty parkingowe na lotnisku zrujnują.

– Oj, mamo, przepraszam – zaczerwieniła się Ewa. – Nawet nie pomyślałam, ile taki wyjazd będzie kosztował, a ja przecież...

– Nie nudź, dziecko. – Zofia cyzelowała do perfekcji rzeszę. – Dawno już nam się należał urlop, możemy sobie pozwolić na spontaniczność. A Paryż chętnie znowu zobaczę. Byliśmy tam tylko raz, i to tak dawno. Podjedziesz do szpitala, to dam ci pieniądze. Muszę tylko w przerwie obiadowej wypłacić z banku.

– Zosiu, i trzeba będzie jeszcze jakiś hotel zarezerwować – przypomniał jej mąż. – Myślę, że na tydzień, jak sądzisz? Czy pięć dni wystarczy?

– Dostosujemy się do samolotu. Zobaczymy, co uda się załatwić Ewuni – zdecydowała. – A hotel niech nam znajdzie Marek. Jest na miejscu, załatwi to lepiej. Jak będziesz do niego dzwoniła, to mu powiedz, Ewuniu.

– Powiem – obiecała.

Kiedy rodzice wyszli, Ewa włączyła komputer i uruchomiła Skype'a. Nie miała szczęścia, Marka nie było przy komputerze. Pokręciła się po domu, sprzątnęła w kuchni, zjadła śniadanie i spróbowała ponownie, nadal bez powodzenia. Niecierpliwość wręcz ją zżerała. Zastanowiła się chwilę i wygrzebała z torebki notes z telefonami. Uważnie wybierała cyfry numeru, który podał jej Marek. Już po paru sygnałach w słuchawce rozległ się przyjemny męski głos.

– *Oui? Bendieux ici.*

– *Bonjour monsieur* – powiedziała z bijącym sercem. – Dzień dobry panu. Nazywam się Ewa Dembska. Chciałam rozmawiać z Markiem.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– *Monsieur?* Proszę pana, halo? Jest pan tam?

– Jestem, przepraszam panią – odezwał się Gwidon. – Przykro mi, Marka nie ma w domu. Pojechał po materiały. Normalnie wraca dopiero wieczorem, ale dzisiaj powinien być wcześniej. Planujemy jeszcze dziś wspólny wyjazd. Powinien być za godzinę, w południe. Rozumie mnie pani?

– Rozumiem doskonale. Dziękuję. Czy byłby pan tak miły i poprosił go, żeby się ze mną skontaktował? Będę czekała w domu, na Skypie. Albo żeby chociaż króciutko przedzwonił. Jestem jego narzeczoną. Ewa Dembska.

– Tak, wiem – odpowiedział Gwidon. – Oczywiście, że mu przekażę.

– Dziękuję panu. Do widzenia – Ewa pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Usiadła z filiżanką kawy przed komputerem i niecierpliwie spoglądała w ekran, czekając na połączenie. Telefon zadzwonił punktualnie w południe. Zerwała się z krzesła i pobiegła do pokoju rodziców.

– Cześć, kochanie. – Usłyszała rozradowany głos Marka. – Brakowało mi ciebie wczoraj. Tęskniłem. Gwidon powiedział, że dzwoniłaś. Co tam? Dostałaś tę pracę?

– Nie dostałam. Ale to teraz nieważne. Gdybyś od razu rozmawiał ze mną, a nie z mamą, to nie musiałbyś tak bardzo tęsknić. Zwariowana historia. Czemu nie chciałeś powiedzieć mi sam, od razu?

– Rozmawiali z tobą? – Głos Marka spoważniał. – Ewuniu, ja sam nie wiedziałem, co mam robić. To wszystko jest takie dziwne. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakim byłem szoku, kiedy zobaczyłem tego Adama. On wygląda kropka w kropkę jak ty. A że ty nigdy nie chciałaś rozmawiać o przeszłości, to pomyślałem, że najpierw opowiem o wszystkim twojej mamie. Wiesz, byłaś adoptowana i nie lubisz o tym mówić, nie chciałem niechcący zrobić ci przykrości... nie chciałem cię naciskać, włączyć z buciarami w twoje życie – tłumaczył się chaotycznie.

– Głuptasie, to ty jesteś moim życiem. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Nie rozmawiałam o tym, bo sama niewiele wiem. Właściwie niewiele wiedziałam, do wczoraj. Do wieczora rozmawiałam z rodzicami. Musimy poważnie pogadać.

– Dobrze, oczywiście, ale to chyba nie teraz – powiedział Marek, spoglądając na Gwidona, który stał za jego plecami. – Jesteśmy umówieni w magazynie na konkretną godzinę, Gwidon już mi tupie nogami w drzwiach. Możemy później?

– No dobrze – zgodziła się. – Chociaż pękam od natłoku informacji. Opowiem ci wieczorem, na Skypie. Jeszcze tylko jedno. Przyjeżdżam do Paryża, razem z rodzicami. Pewnie w przyszłym tygodniu.

– Naprawdę?! To cudownie! – ucieszył się Marek.

– Nie mów nic twojemu Gwidonowi. Wyjaśnię ci wszystko wieczorem, dobrze?

– Dobrze, kochanie, do wieczora.

Marek odłożył słuchawkę i podszedł do przyjaciela.

– Możemy jechać.

– I co, wszystko w porządku w Polsce? Narzeczona jeszcze cię kocha?

– Kocha, kocha, nie martw się. Chciała tylko umówić się ze mną na dłuższą rozmowę. Jakieś sprawy rodzinne czy coś tam. Wczoraj nie udało nam się porozmawiać. Nieistotne. Jedziemy?

– No to jedźmy. – Gwidon podrapał się po głowie. – Wiesz, życie jest zwariowane. Najpierw to niesamowite przeżycie z Adamem, potem zdjęcia twojej dziewczyny, a teraz jej telefon. Muszę ci powiedzieć, że byłem zszokowany. Jej głos jest taki, tak podobny... No dobrze, jedźmy już. Chyba ostatnio jestem szalenie emocjonalny, może coś w powietrzu albo się starzeję.

Janek otrzymał zgodę na urlop, a Ewa miała dużo szczęścia, bo udało jej się zarezerwować trzy ostatnie bilety na niedzielny lot z Warszawy do Paryża. Miejscówek na pociąg co prawda nie dostała, zgodnie z poleceniem matki, w pierwszej klasie, ale te sześć godzin do Warszawy drugą też jakoś wytrzymają. Jej było to całkiem obojętne, ale rodzice z wiekiem polubili wygodę. To już nie te czasy, kiedy byli gotowi podróżować z namiotem. A już zupełnie nie potrafiła ich sobie wyobrazić w spartańskich warunkach polowego obozu dla uchodźców. Jej myśli nie przestawały krążyć wokół tematu Kambodży. Wieczorem włączyła komputer i czekała na sygnał Skype'a. W końcu Marek się odezwał.

– To był długi dzień, kochanie. Zmęczony jestem okropnie, ale wszystko załatwiliśmy. Od jutra ruszam pełną parą.

– Mareczku, mogę godzinami słuchać o twoim zleceniu i opowiadać ci o bezskutecznych poszukiwaniach pracy. Ale chyba mamy o wiele ważniejszy temat. Możesz swobodnie gadać? Nie ma w okolicy twojego przyjaciela?

– Mogę, jestem sam w swoim pokoju. Gwidona nie ma, ale przecież nawet jakby był, to słowa po polsku nie zrozumie. Zofia opowiedziała ci o wszystkim?

– Opowiedziała. A tobie? Powiedziała ci, że jestem sierotą z Kambodży?

– Tak – potwierdził ostrożnie. – Ty nie wiedziałas, prawda? I jak się z tym czujesz? Wszystko w porządku, kochanie?

– Czuję się, jakby przejechał po mnie walec, ale dam sobie radę. Oczywiście, że jestem zaskoczona, chociaż w zasadzie to nic nie zmienia.

– Jak to, nic nie zmienia? A jeśli to wszystko prawda? Jeśli jesteś jego córką? To dużo zmienia. Myślisz, że to w ogóle możliwe?

– Nie mam pojęcia. Dla mnie to nic nie zmienia. Mam już ojca, najwspanialszego, jakiego można sobie wymarzyć, i tego nic nie zmienia.

– No tak, dla ciebie nic. Tylko dla niego bardzo dużo. Ewa, ja znam Gwidona od siedmiu lat, to wspaniały człowiek. Gdybyś była tutaj, gdybyś widziała, jak opowiadał o swojej żonie, o córeczce, o tobie...

– Hola, hola – przerwała mu zirytowana. – Może się nie rozpędzaj. Nie jestem jego córeczką.

– No tak, ale gdyby się okazało...

– Marek, nawet gdyby się okazało, że jesteśmy spokrewnieni, to nie jestem jego córeczką. Nie mam nic wspólnego z dzieckiem, które w tak tragicznych okolicznościach utracił wiele lat temu. Po pierwsze, na razie nic oprócz głupiego zbiegu okoliczności i podobieństwa nie świadczy o tym, że to ja, a po drugie, ja jestem córką Jana Dembskiego i niech tak zostanie.

– Ewuniu, nie denerwuj się. Przepraszam. Ty to ty i nikt inny. I masz rację, nic tego nie zmieni. Kocham cię właśnie taką, jaka jesteś, i nie chcę innej. Już dobrze?

– Dobrze. – Uspokoiła się. – To ja przepraszam, niepotrzebnie się nakręcam. Geny, to pewnie po mamusi. Marek, nie wiem, ile w tej historii jest prawdy, ale zdecydowałam się to wyjaśnić, a przynajmniej spróbować. Przylatujemy z rodzicami w niedzielę do Paryża i chcemy się spotkać z tym twoim Gwidonem.

– Fantastycznie!

– Nie przerywaj – fuknęła. – Tata proponował, żeby zrobić test, ale ja uważam, że to zbyt długo trwa i może tylko obudzić niepotrzebne nadzieje, więc na razie z tym poczekamy. Proszę, żebyś nam zarezerwował sensowny hotel.

– Przecież ty możesz mieszkać ze mną! – zaprotestował.

– Chciałabym, kochanie, ale w tych okolicznościach lepiej nie. Uporządkujmy najpierw ten cały bałagan. Potem pomyślimy, co dalej.

– Dobrze, ale powiedz mi jeszcze, jak zamierzasz to zrobić?

– Powiedziałam ci, że chcę się spotkać z Gwidonem i na spokojnie mu wyjaśnić, że mimo zewnętrznego podobieństwa nie jestem jego córką.

– Ewuniu, z całym szacunkiem dla twoich planów, na razie wszystko wskazuje na to, że jednak jesteś. To bardzo prawdopodobne. Na co ty właściwie liczysz?

– Na to, że jak mnie zobaczy, to się przekona, że nie mam z nim nic wspólnego. Do cholery, Marek, przecież ten facet na własne oczy widział, jak tamci zastrzelili mu żonę i córkę. Jak może twierdzić, że to ja? Zobaczy mnie, pozna, porówna i przestanie bredzić.

– Nie byłbym taki pewien. Ja zobaczyłem jego syna i zacząłem bredzić. Ewa, on jest naprawdę niesłychanie do ciebie podobny.

– Bla, bla, bla. Podobny to nie identyczny. No a jeśli nawet, to mam nadzieję, że jak dojdzie do rozmowy, rodzice i Gwidon ustalą fakty, a wtedy się okaże, że to niemożliwe. Oni widzieli na

własne oczy moją matkę. Może jak sobie nawzajem poopowiadają, to wyjdzie coś, jakiś szczegół, który udowodni, że to niemożliwe.

– Kochanie, a co będzie, jeśli to spotkanie niczego nie wyjaśni?

– To zrobię test – oświadczyła krótko.

– A jak test wykaże, że faktycznie jesteś...?

– To będę się później martwiła – przerwała mu. – Test nic takiego nie wykaże. To niemożliwe.

– Okej, to czego ty właściwie ode mnie oczekujesz, Ewuniu?

– Załatwienia jakiegoś hotelu i oczywiście zorganizowania spotkania. Najlepiej od razu w poniedziałek. Odbierzesz nas z lotniska oczywiście?

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno – dodała z nagłą niepewnością – może byś go jakoś dyskretnie wypytał o tę jego żonę. No wiesz, jak dokładnie wyglądała, znaki szczególne i jakoś tak. Ja przy okazji przesłucham rodziców na temat mojej matki, tak jak ją pamiętają z tego momentu, kiedy mnie znaleźli.

– Ewa, oszalałaś – stwierdził sucho. – Nie wyobrażam sobie, jak miałbym to zrobić. To cholernie delikatny temat. Znam Gwidona już siedem lat, przyjaźnimy się, a dopiero teraz, i to przez przypadek, dowiedziałem się, że w ogóle był żonaty. Zresztą mówiłem już Zofii, jak ona wyglądała. On widział twoje zdjęcia z zaręczyn. Spójrz w lusterko i wyobraź sobie taką samą kobietę, tylko z długimi włosami. Tak właśnie wyglądała jego żona. Nawet nie wiem, jak miałbym zacząć taką rozmowę. No chyba że mu powiem wszystko, co wiem, że jesteś z Kambodży i w ogóle.

– Niech cię ręka boska broni! – odparła groźnie. – Jak mu cokolwiek powiesz, to słowem do ciebie się nie odezwę. To tylko by pogłębiło jego złudzenia. Nie ma prawa wiedzieć o Kambodży, nie ma prawa wiedzieć nic nowego ponad to, co już wie. Nie trzeba budzić nadziei tam, gdzie jej być nie powinno.

– Dlaczego, przecież i tak zamierzasz mu powiedzieć?

– Zamierzam, ale osobiście i dopiero wtedy, kiedy nie będzie innego wyjścia. Na razie po prostu twoja narzeczona przyjeżdża z rodzicami na krótki urlop, całkowicie turystycznie i niezobowiązująco. A ty naturalnie chcesz, żeby twój mentor ją poznał.

– Ewa, daj spokój. Ja nie umiem kłamać. Będę się z tym głupio czuł.

– Wcale ci nie każę kłamać. To po prostu tylko część prawdy. Rodzice mają normalny urlop. A ja przyjeżdżam z nimi, bo tęsknię za tobą. Normalna sprawa.

– Tak nagle, urlop? Przecież Gwidon wie doskonale, że zaplanowaliśmy twój przyjazd na jesień, po skończeniu remontu. Będzie coś podejrzewał.

– Niech sobie podejrzewa, co chce, ale na pewno nic nie wie!

Sprzeczali się jeszcze bite pół godziny. Czasami Ewa bywała tak samo uparta jak jej matka, Zofia. W końcu Marek dał za wygraną. Jednak nie obiecał jej nic oprócz rezerwacji hotelu i zorganizowania spotkania z Gwidonem.

Dzisiaj

Maj 2005, Paryż, mieszkanie Gwidona Bendieux

Marek wyłączył komputer i wyszedł z pokoju. Gwidon siedział w salonie i oglądał telewizję. Marek wyjął z lodówki piwo i usiadł obok przyjaciela.

– Kto wygrywa? – zapytał, spoglądając na ekran.

– Marsylia, do dupy – mruknął architekt. – Nasi do niczego się nie nadają. Wylecą z pierwszej ligi jak nic. Są beznadziejni w tym sezonie.

Długo siedzieli w milczeniu na kanapie, popijając piwo i oglądając mecz. W końcu Marek zaczął ostrożnie:

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę w przyszłym tygodniu trochę krócej i mniej regularnie pracował.

– Nie ma sprawy – odrzekł jego przyjaciel. – Nie płacę ci za godziny, tylko za wykonaną pracę. Twoja głowa w tym, żeby mieszkanie było gotowe na czas, zanim mój wnuk się urodzi.

– Będzie, możesz mi zaufać – zapewnił go Marek. – Zresztą zostawię pomocnika, podgoni robotę. To sensowny chłopak. Co rano będę mu przydzielał zadania, a wieczorem sprawdzę, jak sobie poradził. Wszystko będzie zrobione. To tylko tydzień.

– Ufam ci. – Gwidon spojrzał na niego zdziwiony, jedynie na krótko odrywając oczy od ekranu telewizora. – Nie musisz się tłumaczyć.

– Wiem – odparł bezradnie Marek.

Sędzia odgwizdał koniec meczu, Paryż przegrał z kretesem. Gwidon odwrócił się w stronę swojego przyjaciela i zapytał:

– A co? Masz coś pilnego do załatwienia czy wzięłeś jeszcze jakąś lukratywną fuchę?

– Nie, no coś ty? Wiesz, że nigdy nie biorę dwóch robót jednocześnie. Moi teściowie przyjeżdżają na krótki urlop do Paryża i chciałbym trochę się nimi zająć.

– Aha! No jasne, rozumiem. – Gwidon pociągnął łyk koniaku ze stojącego na stoliku kieliszka.

– Z Ewą – dodał po chwili Marek.

– Z Ewą? – powtórzył jego przyjaciel. – Z twoją dziewczyną? Naprawdę? Przecież miała przyjechać do ciebie dopiero po remoncie, jesienią?

– Miała, ale teściowie uparli się, żeby zabrać ją ze sobą. Wiesz, ma kłopoty ze znalezieniem pracy i jest trochę przygnębiona. No i tęskni za mną. Oni i tak planowali wcześniej jakiś krótki urlop, no to zdecydowali się przyjechać z nią do Paryża, żeby trochę się odstresowała. Mam bardzo fajnych teściów, wiesz?

– Miło mi to słyszeć.

– Nie miałbyś ochoty ich poznać, no i Ewy oczywiście?

– Dlaczego? – Gwidon popatrzył na niego uważnie. – Rozmawiałeś z nimi? O mojej żonie i Adamie? To dlatego przyjeżdżają?

– Rozmawiałem – przyznał się odważnie Marek. – Ale nie dlatego przyjeżdżają – skłamał. –

Opowiedziałem im twoją historię, oczywiście, że są ciekawi Adama, sam rozumiesz. Oni są bardzo podobni, Adam i Ewa. Ale moi teściowie sądzą, że prawdopodobieństwo, iż Ewa jest twoją córką, jest znikome. Przyjeżdżają po prostu na urlop.

– Ale uważają, że jakieś prawdopodobieństwo istnieje?

– Nie, skąd. – Marek wiał się pod spojrzeniem przyjaciela. – Zresztą nie wiem. Bardzo krótko z nimi rozmawiałem, raczej nie.

Milczeli długą chwilę.

– Raczej nie... – powtórzył cicho Gwidon. – No tak. Dobrze, chętnie się z nimi spotkam. Muszę w końcu poznać narzeczoną mojego najlepszego pracownika. – Poklepał Marka po ramieniu i podniósł się z kanapy. – Oglądasz jeszcze? To był długi dzień. Ja idę spać.

– Ja też – odpowiedział Marek. – To co? Pasuje ci poniedziałek, w południe, na lunch?

Architekt zastanawiał się przez chwilę.

– Mogę zaprosić Adama? – zapytał.

– Oczywiście – odrzekł Marek. – Dlaczego nie?

– Dobrze, niech będzie poniedziałek. O dwunastej w Café de la Paix czy wolisz w Lasserre?

– Myślę, że Café de la Paix będzie doskonała. To jesteśmy umówieni?

– Zgoda. Dobranoc, Marku.

– Dobranoc.

Dzisiaj

Maj 2005, Paryż

Ta jedna rozmowa zaledwie parę dni temu zmieniła nieco stosunek Adama do ojca. Nie żeby mu wybaczył. Nie zamierzał rzucać mu się na szyję. Nie stali się wspaniałą szczęśliwą rodziną. Jednak mimo wszystko Adam złagodniał. Rozmowa z Gwidonem, poznanie historii rodziny i opowieść o tragedii w Kambodży – wszystko to pozwoliło mu do pewnego stopnia zrozumieć dziwną, chłodną obojętność, z jaką ojciec go traktował w czasach dzieciństwa.

Nadal czuł do niego żal i złość, ale twarda, uparta chęć zemsty osłabła. Jako mały chłopiec pragnął jedynie miłości, a zawsze czuł się odrzucany. Wtedy obwinił siebie, był pewien, że musi bardziej zasłużyć na miłość ojca, starał się, jak mógł, lecz bezskutecznie. Nie rozumiał tego.

Potem jako nastolatek wyparł to paskudne poczucie winy w głębokie zakamarki swojego umysłu. Wmówił sobie, że ojciec go odrzuca, bo pewnie obarcza go winą za grzechy matki, których Adam nawet nie znał. Wtedy przestał się starać, przestał zabiegać o jego miłość, udawał, że jest mu obojętna. Ale nie była. Żal rósł i przemieniał się w złość, a potem w chęć zemsty.

Już jako dorosły mężczyzna, kiedy ojciec w końcu zaczął próbować znaleźć jakąś drogę pojednania, Adam odmawiał mu cienia szansy. Owszem, spotykał się z nim niekiedy, lecz wyłącznie po to, żeby mu dokuczyć. Odmówić wszystkiego, czego stary nagle zaczął sobie życzyć. Trzymał ojca z daleka od swojej rodziny. Drażnił go, jak mógł. Odrzucał wszelkie propozycje zgody, wyszydzając je wręcz. Wytykał mu majątek, dając do zrozumienia, że pieniądze to jedyne, co tamten posiada. Odmowa szacunku, miłości, więzi, rodziny – to wszystko były małe zemsty Adama za jego smutne, samotne dzieciństwo.

Ta jedna rozmowa dużo zmieniła. Nawet jeśli nie potrafił ojcu wybaczyć, to nareszcie zrozumiał, dlaczego Gwidon tak się zachowywał. Początkowo jednak wcisnął historię swojej matki w utarte schematy własnego rozumowania. W stare koleiny, które wiodły go do nienawiści i zemsty. No bo jak ojciec mógł postępować w ten sposób? To straszne, że stracił żonę i córkę, ale przecież miał syna, który tak bardzo potrzebował jego miłości. Zostali sami na świecie, powinni być dla siebie oparciem, a tym czasem ojciec go odrzucił. Za co? Przecież nie był winien śmierci mamy. Miał wtedy zaledwie rok. To on był ofiarą. Ojciec stracił żonę, ale on, Adam, stracił matkę! Jak on mógł?! Dlaczego stał się taki bezlitosny?!

Adam nie był aroganckim, skłonny do kłótni draniem, na jakiego wyglądał na pierwszy rzut oka. Ten zimny i złośliwy awanturnik w rzeczywistości był łagodnym, ciepłym i kochającym rodzinę mężczyzną. Ożenił się z dobrą, miłą kobietą. Mieszkali wraz z jej rodzicami i braćmi na obrzeżach Paryża, gdzie czynsze nie są tak wysokie. Nie byli bogaci, ale też nie cierpieli biedy. Prowadzili proste, szczęśliwe życie. Dina, żona Adama, miała szóstkę rodzeństwa, ona była najstarsza. Jej dziadkowie przybyli do Francji z Kamerunu. Osiedlili się w dzielnicy, w której mieszkali prawie sami emigranci, tacy jak oni.

Właściwie to wcale nie było tak, że Adam zakochał się od pierwszego wejrzenia w Dinie i dla niej rzucił wszystko w diabły. Najpierw zakochał się w jej rodzinie. W ludziach, których dom był pełen śmiechu, wrzawy, żartów, pełen życia i miłości. Umówił się z Diną na randkę i chciał ją tylko zabrać do kina. Nie planował długiego romansu, a już na pewno nie myślał o małżeństwie, dzieciach i wspólnym życiu. Pojechał do jej domu, żeby ją zabrać, i ugrzązł, został na zawsze. Wieczory wypełnione wspólnymi rozmowami, gotowanie, wspólne śpiewy i zabawy z sąsiadami – to wszystko wydało mu się wspaniałe. To było życie, o jakim zawsze marzył i jakiego nigdy nie miał.

Tak naprawdę Adam nie ożenił się z Diną, ożenił się z całą jej rodziną. Mieszkali w dwanaście osób w czteropokojowym mieszkaniu. Dziećmi zajmowali się wszyscy po kolei. Co z tego, że mieli ciasno? Że do łazienki zawsze ustawiała się kolejka. No i co to szkodzi. Byli tacy szczęśliwi. Co prawda Adam rzucił studia, ale nigdy tego nie żałował. Pracował jako kelner w pobliskiej restauracji, w której Dina dorabiała wieczorami.

Jego żona skończyła studium dla księgowych i znalazła niezłe płatną pracę. Brała najróżniejsze dodatkowe zajęcia, tak samo jak jej rodzice i Adam. Wcale nie żyło się im źle. Czwórka dorosłych pracowała na utrzymanie szóstki dzieci. Dziadkowie Diny, dwójka emerytów, zajmowali się maluchami i domem. Wiedli normalne życie dużej szczęśliwej rodziny. Adam był szczęśliwy, nareszcie miał wielu krewniaków.

Kiedy Dina zaszła w ciążę, na początku nawet nie myśleli, żeby się wyprowadzić. Wszyscy cieszyli się na kolejne dziecko w domu. Jednak po dłuższym namyśle Adam z Diną zdecydowali się przyjąć zaległy prezent ślubny od jego ojca. Wcale nie dlatego, żeby mieć własny kąt i odciąć się od rodziny. Powód był inny. Dzieci rosły, siostry i bracia Diny uczyli się w różnych szkołach, ale wszystkie one znajdowały się na przedmieściach. Nie były najlepsze, niestety, poziom nauczania pozostawiał wiele do życzenia. Dobre szkoły miały swe siedziby w centrum.

Rodzina zastanawiała się, jak to zrobić, aby najmłodszy braciszek Diny, który był bardzo zdolny, mógł kształcić się dalej w dobrej szkole. To nie sfinansowanie jego wykształcenia stanowiło problem, tylko odległość. Dojazdy zajmowałyby minimum dwie godziny w jedną stronę. Dlatego właśnie Dina i Adam zdecydowali się na własne mieszkanie. Chłopiec miał zamieszkać z nimi i uczyć się w centrum.

Adam opowiedział żonie całą historię o Kambodży jeszcze tej samej nocy, a właściwie prawie przed świtem, kiedy wrócił do domu po spotkaniu z ojcem.

– Popatrz, Dina – powiedział na zakończenie swojej relacji. – Jak podłym i zimnym człowiekiem jest ten facet. Jak mógł tak traktować małe, bezbronne dziecko. Przecież ja miałem tylko jego!

– Adam, kochany. – Dina przytuliła się do męża. – Nie powinieneś tak o nim myśleć. Tak się pogrążyłeś w nienawiści, że już tylko nią żyjesz. To przecież twój ojciec. Zadbął o ciebie, dał ci bezpieczny dach nad głową, dobre wykształcenie. Nigdy nie byłeś głodny. Nikt cię nie bił. Jest wiele dzieci, które nie mogą się cieszyć takim szczęściem, jakie było dane tobie.

– Co ty opowiadasz? Jakim szczęściem? Jaki dach nad głową? – Roześmiał się ironicznie. – Chyba dach internatu. Ty masz wspaniałą rodzinę, nie rozumiesz tego. Ja byłem zawsze sam, popychany i przestawiany z miejsca na miejsce jak rzecz. Ciebie rodzice przytulali, całowali, bawili się z tobą. Czy ty naprawdę uważasz, że pełny żołądek, ciuchy, zabawki, szkoły to miłość? To tylko rzeczy, pieniądze. Dzieci nie potrzebują pieniędzy, potrzebują rodziców. Ja nigdy ich nie miałem, nie miałem ojca. Nie potrafisz tego zrozumieć, nigdy tego nie przeżyłaś!

– To prawda – zgodziła się z nim. – Nie przeżyłam, miałam szczęśliwe dzieciństwo. Jednak

spróbuj się postawić w jego sytuacji. Ja to widzę w ten sposób: gdyby nagle mama zniknęła, kiedy miałam roczek, a mojego rodzeństwa jeszcze nie byłoby na świecie, to nie wiem, czy tata byłby takim samym człowiekiem, jakim jest dzisiaj. Sam wiesz, że moi rodzice bardzo się kochają. Jasne, że wiesz. – Roześmiała się. – Siódemka dzieci jest wystarczającym dowodem, no i ich sypialnia przylega do naszej. Och, dzieci są cudowne, ale, mój drogi, one nie zastąpią tej najbliższej osoby, którą sobie sam wybrałeś. Którą kochasz. To ten ktoś jest twoim dopełnieniem, a właściwie częścią ciebie samego, rozumiesz?

– Tym bardziej – upierał się. – Ja byłem wszystkim, co mu po niej zostało, po mojej matce. Nie rozumiem, jak mógł mnie tak traktować? Nigdy mnie nie kochał. A przecież ja byłem tym jedynym, co po niej miał.

– Ale nie byłeś nią – odparła cicho Dina. – A teraz, pomijając seks i wszystkie intymne małżeńskie sprawy, nawet pomijając miłość, bo jej i tak się nie da zdefiniować, spróbuj sobie wyobrazić taki scenariusz. Nasze dziecko przyjdzie na świat i będziemy razem się nim opiekować. Oczywiście, że będziemy je oboje bardzo kochać. Ale nawet jeśli stanie się centrum naszego małego świata, to wciąż jesteśmy my dwoje. Nadal będziemy ze sobą rozmawiać, sprzeczać się, przytulać i prowadzić takie rozmowy jak ta dzisiejsza. I teraz wyobraź sobie, że nagle po tych wszystkich latach naszego małżeństwa i po roku naszego życia z tym dzieckiem ja umieram. Nieodwracalnie odchodzę. Wyobraź sobie, że nie ma całej mojej rodziny, nikogo bliskiego, kto by cię pocieszył, nikogo, z kim mógłbyś porozmawiać, kto wcześniej mnie znał. Nic. Jesteś tylko ty i dziecko. Jakie byłoby twoje życie, Adamie?

Patrzył na nią bezradnie. Wszystkie emocje, cały jego bunt i złość na ojca nagle gdzieś się ulotniły, została tylko pustka.

– A jeszcze – dodała cicho Dina – jeśli to dziecko będzie rosło i stawało się coraz bardziej do mnie podobne? I każde spojrzenie na nie będzie ci uświadamiało, co straciłeś?

– Przecież ojciec mógł mi chociaż o niej opowiedzieć. Mógł mi przekazać swoje wspomnienia. Mogłem z nim razem wspominać moją mamę. To chyba dałoby mu pociechę? – zapytał ze smutkiem.

– Bzdury opowiadasz, kochany. Nie pamiętasz swojej matki. Jeszcze parę dni temu nie miałeś nawet pojęcia, co się z nią stało. Jaką pociechę? Każda opowieść tylko jątrzyłaby ranę, która krwawiłaby latami. Tak było lepiej, kochany. Może nie dla ciebie, ale jemu było lepiej. Tak myślę...

Rozmowa z Diną sprawiła, że Adam złagodniał. Dawna złość nie zniknęła, ale przynajmniej rozumiał ojca. Nie wybaczył mu jeszcze, ale go rozumiał. A to jest pierwszym krokiem do wybaczenia.

Od tamtej rozmowy, kiedy Adam poznał historię swojej rodziny, widywał się z ojcem prawie codziennie. Było to konieczne, bo przyjął jego pomoc i zgodził się przebudować mieszkanie zgodnie z propozycjami Gwidona, choć nadal na własny koszt. Każdego dnia omawiali razem szczegóły prac, a potem jedli razem lunch w pobliskiej restauracyjce.

W czasie tych wspólnych posiłków Adam wypytywał o mamę, o ich wspólne życie w Kambodży. Nigdy nie prosił, aby ojciec opowiedział powtórnie o ich ucieczce i śmierci Robam Sue, ale ciekawiło go, jak żyli, jaki był ich dom. Dowiedział się wiele o plantacji, o dużym domostwie pełnym służby, o niani Yat, krawcowej, którą matka przygarnęła, kiedy ojciec tamtej kobiety ją pobił i złamał jej kość policzkową i nos. O tym, jak Yat szyła im słodkie dziecięce ubranka, w których wyglądali jak laleczki. Jak wyhaftowała ich imiona na cieniutkich bransoletkach ze wstążki, bo bliźniaki były nie do odróżnienia, nawet przez własnych rodziców.

O małej, grubej kłótlivej kucharce, której każdy się bał, a która uwielbiała tylko swą panią i ją jedyną tolerowała. O Robam Sue, mamie, która tańczyła z nimi w ramionach w cieniu drzewa banianu klasyczny taniec apsary. O tym, jak oboje śmiesznie wyginali pulchne łapki i stópki, próbując naśladować ruchy matki. Po każdym takim spotkaniu Adam ze zdumieniem odkrywał, że złość i żal słabną, przestają mieć znaczenie.

W piątek Gwidon niepewnie poruszył drażliwy temat.

– Adam? – zapytał ostrożnie. – Nie miałbyś ochoty towarzyszyć mi w poniedziałek? Zostałem zaproszony na lunch. Narzeczona Marka przyjeżdża do Paryża. To ta dziewczyna, z którą cię pomylił.

– Pamiętam – odrzekł Adam z dreszczykiem emocji. – Ta tak bardzo podobna do mamy. Myślisz, że...?

– Nie – szybko zaprzeczył Gwidon. – To niemożliwe. Wiesz, nie chcę sobie robić nadziei tam, gdzie jej nie ma. Twoja siostra nie żyje, jestem pewien, przecież sam widziałem jej śmierć. To tylko przypadek, że ta Polka jest tak bardzo podobna do Robam Sue, no i do ciebie. Jest młodsza i... Nie, to niemożliwe. Chcę ją poznać głównie ze względu na Marka, bardzo go lubię i cenię.

– Fakt, to przyzwoity facet.

– Ale nie tylko dlatego. – Gwidon westchnął ciężko. – Chyba chcę sam sobie udowodnić, że to nie ona. Że to po prostu zwyczajna miła dziewczyna, jedynie podobna do mojej Robam. I szczerze mówiąc, trochę się boję tego spotkania. Sam wiesz, ile mnie kosztowało samo spojrzenie na jej fotografię. Dlatego... Wiesz, Adam, ja nie mam nikogo oprócz ciebie. Wiem, że nie jesteśmy blisko, że nie chcesz mnie w swoim życiu. Rozumiem i szanuję twoją decyzję. To naprawdę nie jest żadna próba zbliżenia się do ciebie. Ale... byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś ze mną poszedł. Potrzebuję cię, bo... ja się zwyczajnie boję – szepnął bezradnie i skulił się jak od uderzenia.

Adam patrzył uważnie na ojca. Jeszcze parę dni temu odmówiłby mu brutalnie i stanowczo. Dzisiaj było inaczej.

– Pójdę z tobą – odrzekł krótko. – Jeśli chcesz, poproszę Dinę, żeby wzięła wolne. Pójdziemy całą rodziną.

Po policzku Gwidona spłynęła powoli łza. Popatrzył z wdzięcznością na syna.

– Dziękuję – szepnął.

Dzisiaj

Maj 2005, Paryż, Café de la Paix

Marek odebrał ich z Orly i zawiózł do hotelu. Kiedy rodzice, zmęczeni wielogodzinną podróżą, poszli do swojego pokoju, Ewa z Markiem wybrali się jeszcze na krótki spacer przed snem.

Prawie do północy siedzieli przytuleni w ogródku kafejki na Montmartrze, patrząc na ogromny księżyc błyszczący w tle oświetlonej kolorowymi reflektorami, odległej wieży Eiffla. Nie rozmawiali o Gwidonie i Kambodży. Snuli plany na przyszłość, głośno marzyli o swoim przyszłym domu i wspólnym życiu. Całowali się namiętnie, nie zwracając uwagi na ludzi wokoło. Wrócili objęci do hotelu i prawie do świtu kochali się w pokoju Ewy. Rano Marek zjadł śniadanie z teściami i narzeczoną i pojechał dopilnować swojego pomocnika. Zostawił im plan metra z wyraźnie zaznaczonymi stacjami obok najsłynniejszych zabytków. Mieli się spotkać w południe w Café de la Paix.

Dembscy, nieco zmęczeni trzygodzinnym zwiedzaniem Paryża, przyszli do restauracji trochę wcześniej. Zajęli miejsca przy dużym, ośmioosobowym okrągłym stole zarezerwowanym przez Marka. Zamówili napoje chłodzące. Do spotkania pozostał jeszcze kwadrans.

– Jeśli on będzie się zachowywał jak gdyby nigdy nic, to w ogóle nie rozmawiamy na ten temat, zgoda? – spytała, a raczej stwierdziła Zofia, bawiąc się nerwowo bawełnianą serwetką.

– Zosiu, uspokój się – powiedział karzącym tonem Jan. – Zachowujesz się jak nastolatka przed pierwszą randką. Przyjechaliśmy tu w konkretnym celu. Trzeba tę sprawę wyjaśnić i tyle. Przestań wszystkim dyrygować, pozwól Ewie samej decydować o przebiegu tego spotkania. To w końcu o nią tutaj chodzi.

– Nie, tato. – Ewa wzruszyła ramionami. – Mama ma całkowitą rację. Jeśli on sam nie poruszy tego tematu, to znaczy, że wszystko jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Na pewno nie będzie próbował rozmawiać o swoich prywatnych sprawach z kompletnie obcymi ludźmi, jeśli nie będzie miał istotnych powodów, by sądzić, że coś nas może łączyć. Jak nie będzie pytał, to znaczy, że nie rozpoznaje rysów swojej żony ani córki. Wtedy zrobimy tak, jak mówi mama. Nie będziemy poruszać tego tematu i zapomnimy o całej sprawie.

– Ewa, co ty gadasz?! – zirytował się doktor Dembski. – Zdecydowaliśmy się na tę zwariowaną wyprawę tylko po to, żeby mieć pewność. Postawiliśmy wszystko na głowie, żeby wyjaśnić twoją sytuację. Przecież to może być twoja rodzina!

– Wy jesteście moją rodziną – upierała się Ewa. – Wcale nie potrzebuję innej. I wiecie co, teraz sobie myślę, że całe to spotkanie to jednak głupi pomysł. Trzeba było wszystko zostawić tak, jak było. Przepraszam, że was tu ciągnęłam.

– Dziecko, przecież musimy przedstawić temu człowiekowi wszystkie fakty – tłumaczył spokojnie Janek. – Prawdopodobieństwo jest bardzo duże. A on nawet nie wie, że ty też pochodzisz z Kambodży!

– I to nazywasz faktem?! – oburzyła się Zofia. – I co z tego, że z Kambodży?! W Kambodży

żyje kilkanaście milionów ludzi. Prawdopodobieństwo jeden do kilkunastu milionów uważasz za fakt. Janek, ty chyba jesteś zdrowo stuknięty.

– Sama jesteś! – zdenerwował się jej mąż. – Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy! Czego się, do cholery, boisz? Nic nie zmieni faktu, że Ewa jest twoją córką, naszą córką. Czy to do ciebie nie dociera, kobieto? A faktem jest, że urodziła się w Kambodży, że może być dokładnie w wieku córki tego faceta, że jest bardzo podobna do jego żony i ma domieszkę europejskiej krwi. I na pewno nie jest dzieckiem jakichś wieśniaków, tylko wykształconych, bogatych ludzi. To są fakty! – oświadczył z satysfakcją.

– Chwileczkę. – Ewa ruchem ręki uciszyła matkę, która już otwierała usta do kolejnej riposty. – Przestańcie się kłócić, bo mnie tu zaraz szlag trafi. Co to znaczy wykształconych, bogatych ludzi? Skąd wiesz? Przecież nic nie wiadomo o moich rodzicach. Wręcz przeciwnie, ponoć moja matka wyglądała na zwykłą khmerską wieśniaczkę.

– I właśnie o tym mówię! – Janek wałnął dłonią w stół. – Nie ma absolutnie żadnego dowodu, że kobieta, przy której cię znaleziono, była twoją matką. Pamiętam jej twarz i nie dostrzegam absolutnie żadnego podobieństwa między tobą a nią. A na bransoletce było przecież wyhaftowane całe zdanie po khmersku. Ktoś, kto to zrobił, musiał być wykształcony, umiał pisać! I musiał być bogaty, dzieciom wieśniaków nie haftuje się jedwabnych bransoletek.

Nagle zapadła absolutna cisza. Janek umilkł i popatrzył niepewnie na żonę. Zofia z przerażeniem wpatrywała się w twarz Ewy. Ta zaś zbladła i przez chwilę siedziała nieruchomo.

– Jakich bransoletek? – zapytała wreszcie. – Co to znaczy?

Zofia powoli otworzyła torebkę. Wyjęła z bocznej kieszeni skrawek materiału i podała na wyciągniętej dłoni córce, patrząc jej błagalnie w oczy.

– Ewuniu, ja...

– Co to jest, mamó? – spytała Ewa drżącym głosem.

Zofia milczała. Po jej twarzy płynęły łzy.

– Znaleźliśmy to przy tobie wtedy, tam, w Kambodży. Ścisłałaś tę wstążkę w rączce – wyjaśnił cicho Jan. – Na tym są wyhaftowane po khmersku słowa, które znaczą: „Niech przodkowie cię chronią, Ewo”. To dlatego daliśmy ci na imię Ewa.

– I wy to cały czas mieliście? – Ewie łamał się głos, wpatrywała się w pasek materiału, leżący na dłoni matki. – Dlaczego? Mamó, dlaczego? Przecież wcale nie musieliśmy tu przyjeżdżać. Wystarczyło zapytać o bransoletkę. Przecież... – Urwała bezradnie.

– Ja... – Zofia płakała, łzy płynęły strumieniem po jej twarzy, rozmazując makijaż.

Nie wiedziała, co powiedzieć, nie potrafiła znaleźć żadnych słów wytłumaczenia, żadnych argumentów na swą obronę. Chciała tylko uchronić swoje dziecko przed cierpieniem. Chciała je ustrzec przed oszustwem. Boże, jakim oszustwem, przecież to ona sama chciała oszukiwać! Nie próbowała nawet dociekać prawdy, zataiła przed córką jedyny fakt, który mógł tę prawdę ujawnić. Bo się bała.

Bała się, że ta wstążka może udowodnić, że Ewa istotnie ma jeszcze jakąś inną rodzinę, tę prawdziwą. Zofia bała się, że może stracić córkę. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ten kawałek materiału może dowieść czegoś wręcz przeciwnego. Może być dowodem, że Ewa wcale nie jest córką tego człowieka. Że nie mają ze sobą nic wspólnego. Za bardzo się bała, żeby logicznie myśleć. Boże! Patrzyła teraz przez łzy na poszarzałą twarz swojego dziecka i nie potrafiła znaleźć nic na swoją obronę.

– Ja... – Chlipnęła bezradnie i umilkła.

Drzwi do lokalu otworzyły się i stanął w nich Marek. Ewa, siedząca przodem do wejścia,

patrzyła oszołomiona, jak za nim weszła piękna czarnoskóra kobieta, trzymająca pod ramię starszego, siwego mężczyznę. Ewa podniosła się i zrobiła krok w kierunku tych dwojga.

Twarz mężczyzny była jej obca, a jednak w jakiś dziwny sposób znajoma. Pochwycił jej spojrzenie i zatrzymał się gwałtownie. Kobieta pochylała się z troską w jego stronę. I właśnie wtedy zza ich pleców wyłonił się drugi mężczyzna, młody człowiek. Ewa patrzyła na niego z osłupieniem. Był chyba w jej wieku, śniady, jej wzrostu, miał długie, czarne włosy, falujące wokół twarzy. Bursztynowe oczy patrzyły z zaskoczeniem prosto na nią. Ewa miała wrażenie, że stoi przed lustrem. Nerwowo poruszyła dłonią. Palce połączyły się i wygięły w stronę nadgarstka. I wtedy ten młody mężczyzna podbiegł do niej, chwycił ją w objęcia.

– To ty! – wykrzyknął ze łzami. – To ty! – Ścisnął ją boleśnie, prawie dusząc. – Ewa, ty jesteś Ewa!

Nagle puścił ją, cofnął się i wyciągnął w jej stronę rękę. Jego palce wygięły się, jakby nie miały kości, jakby były z gumy.

– Ty jesteś Ewa! – powiedział. – Ja wiem na pewno, że to ty!

Ewa patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Ruchy jego palców były tak oczywiste, tak znajome. Z tyłu, gdzie stał Marek, jak przez mgłę dotarł do niej głośny łoskot. Adam odwrócił się w stronę ojca. Ten unosił dłoń do piersi i oddychał gwałtownie, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Nagle zachwiał się i, troskliwie podtrzymywany przez Dinę, opadł na krzesło, które przytomnie podsunął mu Marek.

Ewa poruszyła się wreszcie i podbiegła do starszego mężczyzny. Uklękła przy nim, podniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Teraz już była pewna. Widziała tę twarz już wcześniej, dawno temu. Na pewno inną, młodszą, ale to była ta sama twarz, te same oczy. Zalało ją dziwne, niewytłumaczalne uczucie radości. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Powoli kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. Uśmiechała się do tego człowieka, nie mając pojęcia dlaczego.

– Tata? – szepnęła pytająco.

– Ewa... – wykrztusił z siebie Gwidon. – Ewa?!

Dotykał palcami jej policzków, włosów, ust, jak ślepiec. Jakby musiał się upewnić, że to naprawdę ona, czy oczy go nie zwodzą, czy własne zmysły go nie okłamują.

– Tato? – Adam z niepokojem pochylał się nad nimi. – Dobrze się czujesz? Wezwać lekarza?

– Nie. – Gwidon przecząco pokręcił głową, spoglądając na syna. Potem szybko, jakby się bał, że Ewa zniknie, powrócił wzrokiem do jej twarzy. – To Ewa? – powiedział ni to pytającym, ni to twierdzącym tonem.

Zofia Dembska podeszła do nich powoli. Trzymała w dłoni pognieciony i poplamiony wąski pasek jedwabnej, haftowanej wstążki. Bez słowa podstawiała rękę prawie pod nos architekta. Patrzył na bransoletkę jak zahipnotyzowany.

– Ewa, córeczko... – wyszeptał. – Ewa...

Ewa spojrzała na Zofię przez ramię. Podniosła się z kolan i chwyciła ją za rękę.

– To moja mama, tato – powiedziała łagodnie do Gwidona. Poszukała wzrokiem Jana. – To moi rodzice, tato, Zofia i Jan Dembscy.

Od autorki

Jesienią dwa tysiące szesnastego roku byłam w Kambodży na miesięcznym urlopie. W tym samym czasie swoją podróż, będącą powrotem do korzeni, odbywali także Gwidon Bendieux z synem Adamem i jego żoną Diną oraz Marek i Ewa Lisek, córka Gwidona i jej mąż. Dzieci Adama, jedenastoletnia Mati, siedmioletnia Klara i pięcioletni Pierre, jak również pięcioletnie bliźniaczki Lisków, Robam i Zosia, zostały w Paryżu pod opieką licznych cioc i wujków, rodzeństwa Diny. Również dziadkowie, Zofia i Jan Dembscy, już emeryci, przyjechali na miesiąc do Paryża, żeby się zająć wnukami. Marek skończył studia i przejął firmę architektoniczną teścia. To była wspaniała, kochająca się rodzina. To Ewa zorganizowała ten wyjazd. Gwidon był świetnym przewodnikiem. Wspaniale znał historię Siem Reab, Battambang i całego regionu. Doskonale mówił po khmersku, nie zapomniał przez te wszystkie lata niczego. Potrafił opowiadać takie cudowne historie o starych świątyniach, o potędze dawnego imperium khmerskiego i jego architekturze.

Właśnie tam go wymyśliłam. Gwidon był obok mnie w ruinach świątyni Ta Prohm, kiedy w strugach lejącego nieprzerwanie deszczu siedziałam oparta o pień potężnego banianu. Deszcz szumiał, a ja widziałam piękną tancerkę apsary, która ostrożnie kuśtykała po ocienionym korytarzu, zastanawiając się, jakie będzie teraz jej życie, skoro nie może już tańczyć dla bogów.

Wymyśliłam sobie to wszystko. Wcale tak nie było. Ale przecież mogło być, prawda?

*

Przygotowując się do napisania tej powieści, korzystałam z wielu źródeł, książek, filmów, dokumentacji, informacji z Internetu. Nie jestem w stanie wymieni ich wszystkich, ale zainteresowanych historią religii odsyłam do trzech ciekawych tytułów: *Historia religii*, Kazimierz Banek; *Zelota*, Reza Aslan; *Nie ma boga oprócz Allaha*, Reza Aslan.

Sz szczególnie dwie ostatnie lektury mocno wpłynęły na moje spojrzenie na religię i wiarę. To dzięki nim włożyłam w usta A'iszy słowa: „Bóg jest jeden”.

Zainteresowanych historią Kambodży, a zwłaszcza mrocznymi czasami Czerwonych Khmerów, odsyłam do książki *Pol Pot. Pola śmierci* Philipa Shorta. Nie czyta jej się łatwo, ale warto.

Przerazające jest, że tak niewiele wiemy o okrucieństwach, które wydarzyły się w naszych czasach. Zaledwie dwa lata temu, w styczniu dwa tysiące piętnastego roku, proces dwóch z wielu zbrodniarzy reżimu Czerwonych Khmerów został po raz kolejny przełożony. Żyjemy w świecie pełnym przemocy i zabijania. Tak wiele wojen i zbrodni uzasadniano wolą Boga albo wolą ludu. Dlaczego zapominamy, że to my jesteśmy owym ludem?

Dziękuję serdecznie mojej wspaniałej rodzinie – Irenie, Uwemu i Zuzi za wsparcie; bez Was pewnie nie powstałaby żadna moja książka.

Dziękuję szefowi, Barneyowi, za cierpliwe znoszenie mojej pasji i regularne urlopy na pisanie.

Dziękuję pracownikom Wydawnictwa Prószyński Media, a zwłaszcza pani Ani Derengowskiej i mojej wspaniałej pani redaktor Ewie Witan, bez której moje książki dużo by straciły.

Przede wszystkim zaś dziękuję moim wspaniałym, wiernym czytelnikom. To dla Was piszę. Jesteście moją motywacją. Dziękuję.

Joanna Miszczuk

Spis treści

[Wstęp](#)

[Dzisiaj. Marzec 2005, mieszkanie Zofii i Jana Dembskich we Wrocławiu](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, apartament Gwidona Bendieux w Paryżu](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, mieszkanie Adama Bendieux w Paryżu w Dzielnicy Łacińskiej](#)

[Przodkowie. Wrzesień 1270, siedziba Umara Maliki, ulema1 na dworze emira](#)

[Tunisu, Muhammada](#)

[Przodkowie. Grudzień 1270, Saint-Omer, rezydencja rodu d'Artois](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, mieszkanie Adama Bendieux w Paryżu](#)

[Przodkowie. Listopad 1270, Ta Prohm, świątynia buddyzmu mahajana w Angkor, stolicy imperium Khmerów](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, mieszkanie Gwidona Bendieux w Paryżu](#)

[Ewa. Kambodża, maj 1975, między plantacją Phum Bak Prea a Battambang](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, Wrocław, mieszkanie Zofii i Jana Dembskich](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, Paryż, mieszkanie Gwidona Bendieux](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, Paryż](#)

[Dzisiaj. Maj 2005, Paryż, Café de la Paix](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)